

Koło Absolwentów
Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki
Politechniki Warszawskiej

KSIĘGA WSPOMNIENÍ

1953–2022

KOPA LAT
WYDZIAŁU MECHATRONIKI
dawniej
MECHANIKI PRECYZYJNEJ
POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

TOM III

Warszawa 2022

Księga Wspomnień

1953–2022

TOM III

Koło Absolwentów i Przyjaciół
Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki
Politechniki Warszawskiej

KSIĘGA WSPOMNIENÍ

1953–2022

KOPA LAT
WYDZIAŁU MECHATRONIKI
dawniej
MECHANIKI PRECYZYJNEJ
POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

TOM III

Warszawa 2022

KSIĘGA WSPOMNIENÍ

Absolwentów i Przyjaciół
Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki
Politechniki Warszawskiej
1953–2022

Tom III

KOPA LAT
WYDZIAŁU MECHATRONIKI
dawniej
MECHANIKI PRECYZYJNEJ
POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

Materiały zebrał zespół redakcyjny:
Janusz Piskorz
Franciszek Szafranski (redaktor naczelny)
nie ingerując w formę i treści przekazane przez autorów

© Copyright by: zespół redakcyjny, 2022

ISBN 978-83-7789-681-5

Wydanie publikacji wsparły osoby i firmy:
Absolwenci Mechatroniki/Mechaniki Precyzyjnej
Leopold Płowiecki, Francja
Impol-1 Sp. J., Warszawa
MEFA Sp. z o.o., Błonie
Technosystem S. z o.o., Lesznowola

Wydano na zamówienie Fundacji Politechniki Warszawskiej,
Koła Absolwentów
Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki PW
<http://www.absolwenci.mchtr.pw.edu.pl>

Opracowanie wydawnicze: Iwona Nitek, Joanna Iwanowska



Łukasiewicz – Instytut Technologii Eksploatacji
Wydawnictwo Naukowe
ul. K. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom, tel. (48) 364-42-41
e-mail: instytut@itee.lukasiewicz.gov.pl <http://www.itee.lukasiewicz.gov.pl>

Drogie Koleżanki i Koledzy

Minęło sporo czasu od naszego wydania tomu drugiego KSIĘGI WSPOMNIENÍ absolwentów Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki, publikacji wpisującej się jednocześnie w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę. Nakład tej publikacji rozszedł się prawie błyskawicznie i podobnie jak tom I Księgi Wspomnień, wzbudziła ona wielkie zainteresowanie i wysoką ocenę. Spełniając życzenia absolwentów, Zarząd Koła podjął trud opublikowania kolejnych wspomnień w księdze, tom trzeci, na obchody 60-lecia Wydziału Mechatroniki PW przypadającej na rok 2022.

Podobnie jak w wydaniach poprzednich dokumentujemy wysiłkiem wielu osób atmosferę życia Wydziału, atmosferę wydarzeń kulturalnych, sportowych spotkań klubowych czy prywatnych zabaw, rozwijania się naszych dróg zawodowych.

Dziękujemy autorom, którzy podjęli trud udokumentowania swoich przeżyć głównie sprzed wielu lat oraz wszystkim, którzy wsparli nas w zbieraniu prac i przygotowaniu ich do wydania. Również wielkie dzięki sponsorom.

Publikacja powstała w trudnym okresie pandemii koronowirusa COVID 19, w którym byliśmy zmuszeni do ograniczenia kontaktów i gdy wielu z nas było dotkniętych tą chorobą.

Nie doczekali do wydania publikacji autorzy Mirek Ginter oraz Alek Retajczyk, których będziemy mieć w sercu na zawsze.

Jest to też czas wojny w Ukrainie po najeździe przez antycywilizacyjną Rosję.

Warszawa, kwiecień 2022 r.

*Franek Szafranski
Prezes Koła Absolwentów i Przyjaciół
Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki*

Mirosław Ginter



Studia: 1966-1972
Specjalność: Automatyka Mechaniczna

WSPOMNIENIA MP

Wstęp

Po przeczytaniu dwóch pierwszych tomów Księgi Wspomnień absolwentów Mechaniki Precyzyjnej i po usłyszeniu, że po decyzji Zarządu Koła Absolwentów MP rozpoczęło się zbieranie materiałów do tomu trzeciego – postanowiłem i ja dorzucić swoje wspomnienia – z lat tuż przedstudenckich, studenckich, postudenckich i jeszcze bardziej postudenckich – zwłaszcza, że są one absolutnie nietypowe jak na losy przeciętnego absolwenta Politechniki przystało.

Wszystkie przedstawione w dwóch pierwszych tomach dzieje absolwentów ukazują ich życie inżynierskie w mniejszym lub większym zakresie, ale jednak związane z ukończonymi studiami na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej.

W moim przypadku było trochę inaczej – a mówiąc dokładniej – dużo bardziej niż trochę inaczej...

Zacząłem się nawet zastanawiać – skoro moje życie „postudenckie” było aż tak bardzo inne od typowych życiorysów absolwentów Politechniki, to może w ogóle nie powinienem się wychylać z tymi wspomnieniami? Ale po 2-letnim namyśle (niezbyt długim – przyznaję) postanowiłem jednak moimi wspomnieniami się podzielić – a w razie zbyt dociekliwych pytań tłumaczyć, że mój przypadek jest tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę.

1962–1966 – przed studiami na Mechanice Precyzyjnej

Przed studiami były cztery lata w Liceum Ogólnokształcącym nr 35 im. Bolesława Prusa na Saskiej Kępie w Warszawie. Byłem w klasie z językiem łacińskim, jako że wybierałem się na medycynę. Nie pamiętam dokładnie, czy to ja się wybierałem na te studia, czy tak zostało ustalone w rodzinie. W każdym razie nie miałem nic przeciwko temu, żeby zostać lekarzem, zwłaszcza że na początku liceum nic nie wskazywało na to, abym był matematycznym orłem. Po dwóch latach liceum (klasa ósma i dziewiąta), prawdopodobnie „dzięki” (tak się pocieszałem) co chwila zmieniającym się nauczycielom z matematyki (w ciągu dwóch lat było ich aż czworo), ciągle nie widziałem najmniejszej różnicy między różnicą kwadratów a kwadratem różnicy. W klasie dziesiątej, a więc przedmaturalnej, otrzymaliśmy kolejnego matematyka. Była to, uchodząca w szkole za niesłychanie wymagającą i ostrą nauczycielkę – pani Maria Wojtowicz. To jej zawdzięczam, że moje życie, na razie szkolne, stanęło na głowie – oczywiście w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Okazało się, że aby wiedzieć, o co chodzi w matematyce, a przy okazji mieć z niej dobre oceny, nie trzeba uczyć się na pamięć bez zrozumienia różnych formułek i wzorów – wystarczy rozumieć i logicznie myśleć. Nie wiem, jakim cudem pani profesor doprowadziła do tego, że bojący się matematyki przez dwie pierwsze klasy licealista – po dwóch kolejnych latach w jej rękach uzyska na maturze z matematyki jedną z trzech jedynych piątek (wszystkie w mojej klasie), które przypadły na pięć klas maturalnych.

O ile pod koniec klasy dziesiątej zacząłem się wahać, czy pomysł o studiach medycznych jest słuszny, to na początku klasy jedenastej już nie miałem żadnych wątpliwości – stwierdziłem, że idę na Politechnikę. Wybór padł na Mechanikę Precyzyjną. A z łaciny pozostała mi znajomość wielu przysłów, a także zapadłe w pamięć, chyba już na zawsze, po kilka – kilkanaście linijek z dzieł klasyków – choćby Owidiusza: „Aurea prima sata est aetas que vindice nullo...” itd. („Złoty był wiek pierwszy...”). *Nomen omen.*

1966–1972 – lata studiów

Na początku lipca egzaminy, a 12 lipca oficjalna informacja (z podpisem dziekana prof. Henryka Treberta), że zostałem studentem Wydziału Mechaniki Precyzyjnej – z główną siedzibą jeszcze w gmachu Nowej Technologii (zdj. 1).

Byłem w ciągu (sorry, ale tak to się nazywało), który w październiku rozpoczął rok akademicki od nauki, a dopiero w drugim semestrze miał praktykę w PZO. Ale wcześniej, we wrześniu, była króciutka praktyka w warsztatach w gmachu Starej Technologii. Oczywiście nie obyło się bez tradycyjnego szlifowania młotka. O takich rzeczach nie będę pisał, gdyż moje koleżanki i koledzy w dwóch poprzednich tomach Wspomnień zrobili to lepiej i dokładniej. Nie będę też pisał o innych typowych rzeczach zazwyczaj spotykających większość studentów. Skoncentruję się natomiast na sprawach, które, z różnych powodów, przydarzyły się chyba tylko mnie.



zdj. 1

Dotyczyć one będą trzech różnych dziedzin: pracy społecznej, nauki i sportu. Sportu – bo choć to niezbyt znana „specjalizacja” w pracy inżyniera, to jednak w moim życiu sport, a dokładniej tenis, odegrał przeogromną rolę. Przypadki uprawiania sportu przez studentów nie były niczym nadzwyczajnym. Nawet u nas na Wydziale byli w tym czasie studenci, którzy godzili naukę ze sportem i to na poziomie bycia członkiem narodowej reprezentacji – Eulalia Zakrzewska-Rolińska w strzelaniu i sprinter Edward Romanowski. Jednak w moim przypadku było, a do tego zakończyło się to wszystko zupełnie inaczej.

Do sportu nawiążę jeszcze później – bo tenis wróci do mnie, lub może bardziej ja do niego, w następnych latach.

Praca społeczna

Na pierwszym roku zapisałem się do Zrzeszenia Studentów Polskich i zaraz potem zgłosiłem swoją chęć pracy w Radzie Wydziałowej ZSP – oczywiście w Komisji Sportu. W ZSP pracowałem do końca studiów – na początku jako zwykły członek Komisji, potem przez prawie 3 lata jako jej szef, a przez ostatni rok studiów jako wiceprzewodniczący Rady Wydziałowej (zdj. 2).



zdj. 2

Przez wszystkie lata studiów nie dałem się namówić na członkostwo w ZMS (na wszelki wypadek przypomnę – Związek Młodzieży Socjalistycznej). Jak się później miało okazać – wyszło mi to bokiem.

Bardzo ciepło wspominam lata spędzone w Komisji Sportu – z Mietkiem Pohlem, Maćkiem Kościelnym (obecnie profesor w Instytucie Automatyki), jego bratem Andrzejem i Włodkiem Wiktorowem. Była to świetna odskocznia od nauki, a do tego robiłem coś i w czymś, co lubiłem. Dotychczasową działalność Komisji – czyli opiekę nad najlepszymi zawodniczkami i zawodnikami Mechaniki Precyzyjnej przed różnego rodzaju rozgrywkami międzywydziałowymi, połączoną potem z ich pilotowaniem w corocznych Mistrzostwach Politechniki Warszawskiej – rozszerzyliśmy o wewnętrzne Mistrzostwa Mechaniki Precyzyjnej w mniej popularnych, a czasami dość dziwnych dyscyplinach – takich jak szachy (grałem i nawet raz wygrałem), tenis stołowy (grałem – „ugrałem” II miejsce) (zdj. 3). A ponieważ zdjęcie to wisiało na tablicy wydziałowej,

więc jacyś dowcipnisie zaciemni mi okulary; przez całe życie potem zastanawiałem się skąd ten dowcipniś-artysta wiedział, że już za parę lat taki atrybut będzie bardzo na czasie.



zdj. 3

Zorganizowaliśmy też Mistrzostwa MP w „cymbergaju” (odbyły się tylko raz, również grałem – nie pamiętam wyników). Wielokrotnie te wydziałowe imprezy otwierał nasz ówczesny dziekan – prof. Henryk Trebert (zdj. 4).



zdj. 4

Z tego co pamiętam, to w tym okresie jedynie dwa razy jako Wydział MP zdobyliśmy medale w Mistrzostwach Politechniki Warszawskiej – srebrny w roku 1969 w siatkówce dziewcząt (zdj. 5) – (co prawda nie grałem, ale jako szef Komisji Sportu załapałem się razem z wiceszefem Mietkiem Pohlem na wspólne zdjęcie z naszymi „sreberkami”) oraz rok później – brązowy medal w koszykówce chłopców (grałem) (zdj. 6 – z eliminacji).



zdj. 5



zdj. 6

Do tego dochodziły mistrzowskie tytuły dla Wydziału w Akademickich Mistrzostwach Warszawy w tenisie – i indywidualnie i jako drużyna, gdyż Mechanika Precyzyjna miała silną ekipę – trzech turniejowych zawodników sprzed studiów (w tym ja).

W ramach działalności powiedzmy „kulturalnych” – organizowaliśmy jako Rada Wydziałowa ZSP różne imprezy z „przymrużeniem oka”. Raz (październik 1969), w ramach „otrzęsin”, dla rozpoczynającego studia rocznika zorganizowaliśmy obowiązkowy wykład zapoznawczy z Wydziałem. Temat wykładu (który jako organizatorzy otrzęsin ustaliliśmy) w jakiś sposób nawiązywał do prawa Archimedesesa. Szczegółów oczywiście nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że wykład odbył się w audytorium 321 lub 301, jeszcze w Nowej Technologii. Wykład prowadził Krzysiek Patorski, student chyba ostatniego roku, przyszedł wieloletni profesor w Instytucie Optyki i prodiakan w latach 1981–1984 na naszym Wydziale. Kluczowym rekwizytem (jako, że prawo Archimedesesa) była balia do prania wypełniona wodą stojąca od początku wykładu na katedrze. Scenariusz przewidywał, że w czasie tego wykładu, przez jedne z drzwi audytorium od strony katedry wbiegnie, nagle i w dużym pośpiechu, facet tylko w kąpielówkach i w szlafroku w paski i, widząc stojącą balię wypełnioną wodą, zatrzyma się, powolutku i ostrożnie do niej podejdzie, spojrzy do środka, a po sekundzie z głupkowskim uśmiechem wskoczy na blat katedry, zdejmie szlafrok i – zapominając na chwilę, że jest uciekinierem z domu wariatów i że go gonią sanitariusze z tegoż domu (odgłosy na korytarzu było słyhać) – z błogą miną i z chlupotem usiądzie w balii. Tak też się stało – i zgodnie ze scenariuszem wylądowałem w balii (zdj. 7).

Po chwili do audytorium wbiegli sanitariusze z kaftanem bezpieczeństwa, na widok których nasz bohater z wrzaskiem na ustach i w ociekających wodą kąpielówkach drugimi drzwiami wybiegł z sali. Nie wiem niestety, w którym momencie bractwo zorientowało się, że są to wygłupy – ale żałuję, że nikt nie zrobił im zdjęcia w momencie pojawienia się golasa na wykładzie i nie uwiecznił ich raczej zdziwionych buziek. Duże brawa dla Krzyska, że tych kilka dziwnych chwil wytrzymał z kamienną twarzą i nie parsknął śmiechem.

Z okresu pracy w ZSP pozostały mi, odnalezione niedawno wśród zapomnianych studenckich pamiątek: flaga Zrzeszenia Studentów Polskich (zdj. 8), nasz znaczek wydziałowy zaprojektowany przez kolegę z roku Romka Kowalkowskiego (zdj. 9) i moja czapka studenta Politechniki Warszawskiej (zdj. 10).



zdj. 7



zdj. 8



zdj. 9



zdj. 10

Nauka

Nawet i na tym polu przytrafiły mi się rzeczy raczej nietypowe dla studenta – przyszłego inżyniera (choć kto wie, czy w tamtych, jedynie słusznych czasach, tak bardzo nietypowe).

Na początku było raczej normalnie – pierwsze dwa lata, to w zasadzie całkowity brak czasu. Można powiedzieć, że jako absolwent liceum dopiero uczyłem się studiować na uczelni technicznej. Spotykałem się z rzeczami całkowicie dla mnie nowymi, a które dla absolwentów techników były oczywistą oczywistością. Może dlatego tyle czasu mi to wszystko zajmowało. Poza tym, bardziej zależało mi na tym, aby zaliczyć ćwiczenia, zdać egzaminy i mieć święty spokój, niż uzyskiwać jak najwyższe

oceny. Po dwóch latach, kiedy okrzepłem już jako student, postanowiłem powalczyć o lepsze oceny. Udało się – dwa lub trzy razy przyznano mi w następnych latach nagrodę rektorską (przeciętna z egzaminów w sesji powyżej 4) – co wiązało się nie tylko z satysfakcją, ale i z pewną gratyfikacją finansową (o ile pamiętam ówczesne 700 zł).

Nadszedł czas wybrania specjalności. Pamiętam wydarzenie, które w bardzo dużej mierze zadecydowało o tym, że poszedłem na Automatykę. Kiedyś do salki, w której mieliśmy jakieś zajęcia, zajrzał prof. Henryk Leśkiewicz – szef Instytutu Automatyki. Stał w drzwiach i w ramach „reklamowania” swojej specjalizacji zgasił, a po chwili ponownie zapalił światło mówiąc: „światło zapalone – to „jedyńka”, światło zgaszone – to „zero”. A po chwili dodał: „wszystkie informacje możemy zapisać w takim dwójkowym systemie – nawet zdjęcia z księżycy są przysyłane w ten sposób”. I wyszedł. A ja, po tych kilku chwilach, już wiedziałem, jaką specjalizację wybrać. Nie wiem, czy przez to pstryknięcie światłem, czy z innego powodu – ale zawsze wolałem automatykę cyfrową od analogowej.

A oto zdarzenie doskonale potwierdzające (zwłaszcza w „komunie”) powiedzenie „samo życie” – czyli kwalifikacje wydziałowe na wakacyjne międzynarodowe praktyki studenckie IAESTE. Wyjeżdżali ci, którzy uzyskali absolutorium (zdane wszystkie egzaminy i uzyskane zaliczenia), a została im tylko do napisania praca magisterska. Były trzy warunki konieczne do spełnienia: dobre wyniki w nauce, odpowiednia znajomość języka obcego i praca społeczna. Wstępnie (po zaliczeniu języka) ukierunkowywano studentów w zależności od tegoż języka. Najbardziej atrakcyjnym miejscem dla mnie (język angielski) było Tokio. Moje niezłe wyniki w nauce (nagrody rektorskie) i wieloletnia praca w Radzie Wydziałowej ZSP – w porównaniu z innymi kandydatami robiły ze mnie (na nieszczęście nie tylko w moich oczach) głównego kandydata na wyjazd do Japonii. Niestety, kilka tygodni przed ostatecznym rozdziałem miejsc, ówczesny przewodniczący wydziałowego ZMS (celowo nie podaję jego nazwiska – spuśćmy na to zasłonę miłosierdzia) przypomniał sobie, jak przez pierwsze lata studiów ciągle odmawiałem jego propozycjom szczytnej pracy w ZMS i postanowił mi udowodnić, że nie miałem wtedy racji. Do Japonii pojechał jego kandydat, nieudzielający się społecznie, ale za to członek ZMS – a był to wtedy poważny argument. Na otarcie łez musiałem przyznać, że był trochę lepszym ode mnie studentem, choć to i tak nie miało w tej sytuacji najmniejszego znaczenia. Mnie, zamiast w Tokio, przypadła „praktyka” w dawnej Jugosławii.

Piszę praktyka w cudzysłowie, bo to jednak nie była praktyka, na jaką liczyłem. W FAMIZ Potisje (fabryka obrabiarek) w mieście Ada

– po pierwsze nie byli na nią kompletnie przygotowani, a po drugie – co ja, automatyk, miałem „praktykować” przy produkowaniu typowych obrabiarek. Gdy mnie na miejscu odbierali z pociągu, powiedzieli, że o tym, iż przez dwa miesiące mają mieć praktykanta, dowiedzieli się kilka dni wcześniej. A do tego wszystkiego, nikt tam w zasadzie nie znał języka angielskiego – jedynie członek dyrekcji, który wyszedł po mnie na stację, znał kilka słów. Taka sytuacja miała też swoje dobre strony – przez dwa miesiące nauczyłem się zupełnie niezłe szwargotać po serbsku. Jedyną w zasadzie przydatną rzeczą, którą przywiozłem z Jugosławii to rapidograf (przysłał się przy kreśleniu dyplomu) oraz wspomnienia i zdjęcia z niezapomnianymi widokami ze zwiedzanych miejsc – Sarajewo, Belgrad z pięknym Kalemegdanem (fortyfikacje wybudowane za czasów celtyckich, znajdujące się na wysokim wzgórzu – z widokiem na ujście Sawy do Dunaju), Zagrzeb, Nowy Sad... Wszystko jeszcze przed rozpadem Jugosławii i przed wojną na Bałkanach.

Po powrocie nadszedł czas na napisanie pracy dyplomowej. A więc koniec studiów – a mnie, jakby na pożegnanie, znowu spotkało coś, co raczej chyba niezbyt często spotyka przeciętnego studenta. Moim prowadzącym dyplom był p. Jędrzej Koj, a tematem pracy – konstrukcja urządzenia o nazwie „Sygnalizator graniczny systemu PNEFAL-3”. System dopiero powstawał, a sygnalizator był jednym z jego elementów, który trzeba było zrobić. Zrobiłem na ocenę 4. Przeciągałem termin oddania pracy, gdyż zbliżała się wiosna, a z nią początek letniego sezonu tenisowego. A ponieważ już postanowiłem na poważnie powrócić do klasyfikowanej, w ramach Polskiego Związku Tenisowego, gry turniejowej – więc jak najpóźniej chciałem podejść do obrony, gdyż po niej miałem jedynie bodajże dwa miesiące do podjęcia pracy. Wreszcie otrzymałem termin obrony – 23 maja 1972 r. Dzień ten będzie mi się śnił do końca życia.

W międzyczasie, gdzieś pod koniec zimy wpadłem na pomysł, aby kontynuować naukę i zapisać się na studia doktoranckie z automatyki połączonej z cybernetyką. Przy składaniu dokumentów (o ile pamiętam na Wydziale Elektroniki) dowiedziałem się, że byłoby dobrze, abym dołączył opinię z dotychczasowej uczelni. I tu po raz pierwszy dostałem prztyczka w nos – profesor odmówił napisania opinii już teraz. Powiedział, żebym wpieryw poszedł do pracy w przemyśle, a dopiero po zdobyciu jakiegoś doświadczenia, czyli po mniej więcej dwóch latach, poszedł na studia doktoranckie. Pomimo moich argumentów, że znam siebie i że jak wyjdę z „trybu uczenia się”, to już do niego nie powrócę – nie przekonałem profesora. Zostały mi więc dwa wyjścia: albo odpuścić sobie dalszą naukę i iść do pracy, albo złożyć dokumenty bez opinii ze swojego

Instytutu. Wybrałem to drugie rozwiązanie. Po paru tygodniach, tuż przed egzaminem, w czasie rozmowy z moim prowadzącym zastanawiałem się głośno, czy to, że złożyłem dokumenty bez „błogosławieństwa” profesora nie odbije mi się czkawką na egzaminie. „Nie” – usłyszałem – „profesor nie jest taki”.

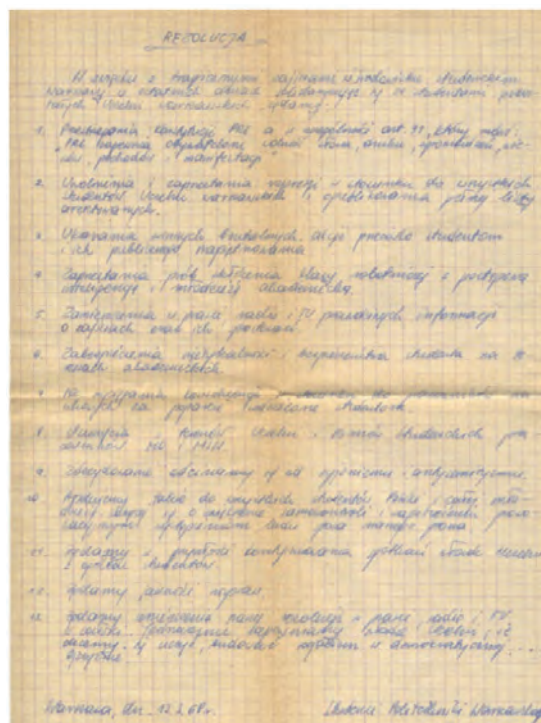
Okazało się jednak, że moje obawy były słuszne. Zazwyczaj wszystkie obrony prac trwały kwadrans, w czasie którego delikwent opowiadał o swojej pracy dyplomowej, a na koniec otrzymywał ocenę minimum 4. W moim przypadku egzamin trwał ponad 1,5 godziny – i nie opowiadałem o pracy dyplomowej. Na początku był egzamin z automatyki ze wszystkich lat – z którego się zupełnie nieźle wybroniłem, ale kiedy inni członkowie komisji egzaminacyjnej zobaczyli, co wyrabia ze mną mój profesor – też postanowili sobie pofolgować, każdy w swojej specjalności i oczywiście z materiału całych studiów. Wisienką na torcie było pytanie „technologa” z komisji, abym wymienił dane, które są umieszczone na tabliczce znamionowej maszyny odlewniczej-wtryskarki POLAK, którą przewidziałem w procesie technologicznym przy produkcji mojego dyplomowego sygnalizatora granicznego. Nie wiem, co finalnie spowodowało otrzeźwienie komisji – może moja mina, dość, że ktoś wtedy powiedział, że jest to jednak zbyt szczegółowe i nieistotne pytanie, potem spojrzeli na zegarki – i na tym zakończyła się obrona mojej pracy dyplomowej. Dostałem wpisaną na dyplomie ocenę końcową 3 – pomimo nagród rektorskich (z czego ta ostatnia była za semestr kończący studia), pomimo egzaminów z automatyki zdawanych na oceny 4,5–5, pomimo pracy dyplomowej na 4. Było to tym bardziej przykre, że wielu moich kolegów ledwo prześlizgujących się z semestru na semestr – bez żadnych problemów otrzymało na dyplomie końcową ocenę 4. Trzeba było widzieć po egzaminie twarz mojego prowadzącego, który powiedział jedynie – „no, nie przypuszczałem”. Po jakimś czasie dowiedziałem się od jednego z asystentów, że profesor miał na jakimś spotkaniu w Instytucie powiedzieć: „miałem studenta, który chciał iść na studia doktoranckie – chyba mu to wyperswadowałem...”. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo to przeżyłem. Poza moją rodziną, nie wiedział o tej trójce chyba nikt. Dyplom schowałem na dno szuflady. Wymarzony dzień zakończenia studiów i zostania inżynierem – stał się dniem mojego osobistego Waterloo. Napoleona spotkało to 18 czerwca 1815 roku – mnie 23 maja 1972 roku. Dopiero teraz, po prawie 50 latach mówię o tym bardziej otwarcie, choć cały czas z zadrą w sercu.

Kto mógł wtedy przypuszczać, że za niespełna 20 lat, będąc, i to dwukrotnie, z reprezentacją młodych polskich tenisistów na

międzynarodowym turnieju w Waterloo, będę zwiedzać to miasto, łącznie z muzeum i umieszczoną w nim panoramą bitwy. Potraktowałem to jako pewnego rodzaju rekompensatę...

Egzaminacyjna przygoda, dzięki Bogu, nie przełożyła się na mój przysły stosunek do „automatyki”.

Zanim zakończę okres studencki, muszę choć w paru słowach wspomnieć o marcu 1968 roku – byłem wtedy na drugim roku studiów. Nigdy nie zapomnę środy 13 marca i strajku studentów w Gmachu Głównym PW, a potem nocy tam spędzonej – kiedy to pisaliśmy ręcznie ulotki (dwie z nich, przeze mnie napisane, udało mi się zachować do dziś; jedna z nich jest poniżej (zdj. 11) – a nasz dziekan prof. Henryk Trebert chodził wśród nas jak ojciec i co jakiś czas podchodził do piszących i się pytał: „Dzieci, czy wy na pewno wiecie, co robicie?” „Wiemy panie profesorze” – odpowiadaliśmy. „No, to dobrze” – uśmiechał się i odchodził do innej grupki. Był z nami całą noc. Tak się złożyło, że ponad dwadzieścia lat później, na parę miesięcy przed Jego śmiercią, byłem u Niego w mieszkaniu na Starym Mieście, zanosząc jakieś książki. Niezapomniana postać...



zdj. 11

Sport

Sport w moim życiu znaczył i nadal znaczy bardzo dużo. Lekkoatletyka – kiedy to z kolegami z podwórka rywalizując ze sobą naśladowaliśmy gwiazdy naszego wunderteamu – od Józefa Szmidta (trójskok), przez Mariana Foika (sprinty), Edwarda Czernika (skok wzwyż) po Edmunda Piątkowskiego (rzut dyskiem). Kiedyś na błoniach Stadionu Dziesięciolecia znalazłem metalową obręcz po prawdziwym dysku; dysk ten po wypełnieniu drewnem i odpowiednim wyszlifowaniu (na szkolnych lekcjach prac ręcznych) służył nam przez wiele lat. Mam go zresztą do dzisiaj (aktualne zdj. 12).



zdj. 12

Poza lekkoatletyką (czwartki lekkoatletyczne na głównej murawie Stadionu wtedy Dziesięciolecia) była koszykówka, siatkówka, piłka ręczna, no i najważniejszy – tenis.

Przygoda z tenisem zaczęła się jak miałem 10–11 lat. Na jedną z lekcji wychowania fizycznego przyszedł trener tenisa Adam Królak – kolega ze studiów naszego nauczyciela od wf Janusza Pawłowskiego – i zabrał całą klasę na korty AZS znajdujące się niedaleko szkoły, bo w Parku Skaryszewskim. I wtedy właśnie zostałem zarażony bakcylem tenisa, jak się później miało okazać – na całe życie. Bardzo szybko zdecydowałem się na poważniejsze treningi, a potem na starty w turniejach. Na początku było mi bardzo trudno w rywalizacji z zawodnikami z innych klubów, którzy trzy–cztery lata wcześniej niż ja zaczęli swoje treningi. Dlatego największym sukcesem w tym okresie, poza lokalnymi tytułami w singlu i w deblu w Mistrzostwach Warszawy w kategoriach do 14 i do 16 lat, był brązowy medal w Drużynowych Mistrzostwach Polski Juniorów (kat. do lat 18) zdobyty na początku września 1966 roku (miałem wtedy 17 lat) – było to półtora miesiąca po egzaminach na studia. W nagrodę

zostaliśmy zaproszeni do Telewizji Polskiej, mieszczącej się jeszcze na Placu Powstańców Warszawy, na krótki wywiad (zdj. 13).



zdj. 13

Studia – to okres, zwłaszcza dwa pierwsze lata, praktycznie bez tenisa. A na pewno bez turniejów. Na trzecim roku, kiedy trochę się „poluzowało” z nauką i kiedy to „nauczyłem się” już uczyć, udało mi się wymyśleć, stworzyć, zorganizować, a potem prowadzić jako przedstawicielowi AZS Warszawa Międzyuczelnianą Ligę Tenisa. Był to cykl corocznych akademickich drużynowych rozgrywek „każdy z każdym” (dwie gry pojedyncze i jedna gra podwójna), do których prawie wszystkie warszawskie uczelnie wystawiały swoje tenisowe reprezentacje. Startowały drużyny z Akademii Medycznej, SGPiS, AWF, UW i dwie ekipy z Politechniki – Mechaniki Precyzyjnej (grałem) i Wydziału Elektrycznego. Rozgrywki istniały cztery lata, do końca moich studiów.

1972–1983 – po studiach – praca w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Automatyki Przemysłowej

Po obronie dyplomu i po trzech miesiącach spędzonych na turniejach rozgrywanych na terenie całej Polski – 1 września 1972 roku zameldowałem się w Zakładzie Doświadczalnym Elementów Automatyki Pneumatycznej w Warszawie, przy ul. Wiatracznej 15 – przekształconym w grudniu 1974 roku na Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Automatyki Przemysłowej „Mera-Pnefal”.

Przydzielono mnie do Biura Automatyzacji Obiektów Przemysłowych do pracowni konstrukcyjnej – bo w pracowni systemów logicznych, gdzie pracowało już dwóch moich kolegów z roku (Romek Izydorczyk i Marek Rybak) – zabrakło miejsca (przyszli do pracy, kiedy ja uganiałem się za tenisową piłką).

Z tego co pamiętam kierownikami Biura AOP za moich czasów byli kolejno: Janusz Rudzisz, Władysław Polok (absolwent MP z roku 1960/61), Wiesław Bobrowski (absolwent MP z roku 1966/67), Jan Jacewicz (absolwent MP z roku 1960/61) – twórca pneumatycznego systemu logicznego MERALOG i chyba na króciutko, bo zaraz potem został oddelegowany do PAP w Falenicy – Włodzimierz Skrzynecki.

Trafiłem do przesympatycznej pracowni dowodzonej właśnie przez Włodka (oficjalnie Eugeniusza) Skrzyneckiego (absolwenta MP z roku 1964/65) – taty kilkuletniej wtedy Kasi Skrzyneckiej z grupy taneczno-wokalnej Gawęda, obecnie – Katarzyny Skrzyneckiej, aktorki. W sekcji konstrukcyjnej byli jeszcze: Basia Lipiec (z d. Kopczyk, absolwentka MP z roku 1969/70), Lucynka Wojciechowska, Józio Żurawski, Rysio Morawski, Leszek Pliszka, Rysio Baranowski, Henio Kulisz, Zygmunt Żelazko. Pracowało się świetnie, a atmosfera była niemal rodzinna (zdj. 14).

Wspomnę, że w sekcji „logicznej” oprócz wspomnianych wcześniej Romka i Marka byli jeszcze: Marysia Błaszczuk (z d.?, absolwentka MP z roku 1967/68), Adaś Błaszczuk (absolwent MP z roku 1967/68), Andrzej Waclawik (absolwent Elektroniki), Krzysio Kamiński (absolwent Elektrycznego), Stasio Koch, Wiesio Wilczek i Krzysio Gołaszewski.



zdj. 14

„Męczyłem” się jako konstruktor zaledwie 3–4 miesiące – do momentu, kiedy trafił się temat jakby specjalnie dla nas (i dla mnie) stworzony – automatyzacja procesu gotowania cukrzycy, czyli jednego z etapów w procesie wytwarzania cukru.

Temat wymagający zarówno prac konstrukcyjnych (stworzenie przetwornika lepkości), jak i projektowych. Cieszyłem się przeogromnie, bo jako nieopierzony inżynierem zostałem osobą odpowiedzialną za cały układ automatycznego sterowania tym, trwającym 5–7 godzin, fragmentem procesu wytwarzania cukru.

W naszej krajowej pneumatycznej automatyce analogowej mieliśmy wtedy do dyspozycji znane już przetworniki m.in. poziomu, ciśnienia, temperatury – teraz, do realizacji zadania, trzeba było „tylko” wymyśleć i skonstruować przetwornik lepkości cukrzycy.

W tamtym czasie Polska, w ramach RWPG (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej), była odpowiedzialna w bloku komunistycznym za cukier. „Odpowiedzialna” oznaczało m.in. to, że musieliśmy (jako kraj) być w stanie wykonać na każde zamówienie przychodzące z bratniego kraju projekt cukrowni, potem ją wybudować, wyposażyć w urządzenia zdolne zrealizować proces technologiczny prowadzący do powstania cukru, a wszędzie tam, gdzie to było możliwe – zastosować sterowanie automatyczne. Wiele etapów w takiej produkcji cukru było już zautomatyzowanych. Ale nie wszystkie.

A teraz kilka słów wyjaśnienia dla niewtajemniczonych. Proces gotowania cukrzycy (w trakcie którego następuje krystalizacja), to kolejny – po płukaniu buraków, ich krojeniu, ekstrakcji, oczyszczaniu soku, odparowaniu – etap w wytwarzaniu cukru. Na początku procesu gotowania jest tzw. „podgęszczanie” – czyli gotowanie soku gęstego z wyparki w 20-tonowym warniku o wysokości ok. 5 m. W trakcie gotowania, kiedy gotowany sok uzyskuje odpowiednią lepkość, następuje tzw. „zasypka”, czyli zassanie do warnika np. garści cukru. To powoduje samoistne „wytrącenie” się odpowiedniej liczby kryształków. Dalszy etap gotowania, aż do napełnienia całego warnika, musi być tak prowadzony, aby aktualna lepkość/konsystencja cukrzycy nie pozwalała na dalsze samoistne powstawanie nowych kryształków, a jedynie na powiększanie się tych, które powstały w momencie zasypki. Gotowanie odbywa się w warniku, do którego „dociąga się” w odpowiednich momentach zagęszczony sok z wyparki lub wodę. Odbywa to się w zależności od wartości wskaźników gotowanego soku (a po zasypce cukrzycy) – jego temperatury, podciśnienia panującego w warniku, temperatury pary podgrzewającej sok, poziomu napełnienia warnika.

I wszystkim tym miał sterować układ automatycznego gotowania cukrzycy na podstawie najważniejszego wskaźnika mówiącego o lepkości zagęszczonego soku, a po wytrąceniu się kryształów – o konsystencji gotowanej cukrzycy.

Proces prowadzenia gotowania cukrzycy już po dokonanej zasypce i wytrąceniu się kryształów był dość skomplikowany. Należało tak go prowadzić aż do napełnienia cukrzycą całego warnika (czyli przez 5–7 godzin), aby, tak jak już wcześniej wspomniałem, wytrącone po zasypce kryształy tylko się powiększały, ale żeby nie tworzyły się nowe. Przy ręcznym gotowaniu cukrzycy nagminne tworzenie się co jakiś czas nowych kryształów powodowało, że po napełnieniu całego warnika cukrzyca miała bardzo nierównomierny kryształ (od tego dużego powstałego na początku tuż po zasypce, do bardzo drobnego, powstałego pod koniec napełniania warnika), co z kolei powodowało potem zatykanie się sit w wirówkach. Przy automatycznym gotowaniu balansowanie na cienkiej granicy między lepkością soku kiedy mogą (choć już nie powinny) wytrącać się nowe kryształy, a konsystencją cukrzycy, kiedy już istniejące kryształy się „rozrastają” tak, aby było więcej „cukru w cukrze” – miał zapewniać przetwornik cukrzycy, który dopiero miał być skonstruowany. Tak prowadzony proces powodował, że spuszczana do mieszadeł, a potem podawana do wirówek cukrzyca miała równy kryształ, bardzo skracający etap wirowania. Drugą korzyścią automatycznego gotowania była możliwość zaprogramowania układu, tak aby warnik mógł „ugotować” cukier dowolnej wielkości: gruby, średni lub najbardziej pożądanym (bo najdroższym) cukier drobny, tzw. FN (ang. *fine granulated*).

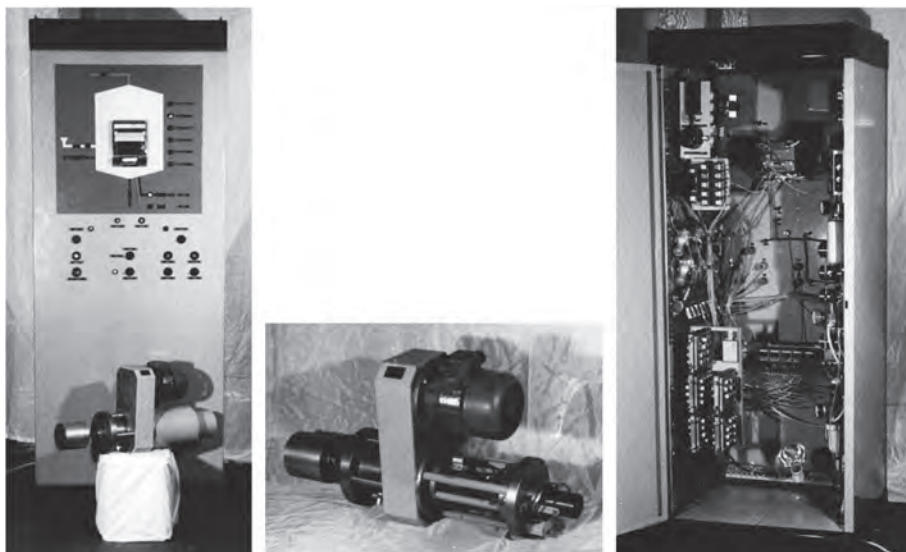
Proces gotowania cukrzycy metodą lepkościową był na tyle skomplikowany, że niewiele firm decydowało się na to, aby się tego podejmować. Metoda lepkościowa wydawała się być następczynią znanej do tej pory, acz niezbyt dokładnej, tzw. metody przewodnościowej. A ponieważ nie było łatwą sprawą skonstruowanie pneumatycznego przetwornika lepkości/konsystencji cukrzycy współpracującego z też pneumatycznym układem sterowania – więc wówczas na świecie tylko firma Fischer dysponowała pneumatycznym przetwornikiem i układem.

Przedsiębiorstwo Automatyki Przemysłowej „Mera-Pnefal” w Falenicy, które projektowało i uruchamiało cukrownie miało do wyboru – albo układy automatycznego gotowania cukrzycy sprowadzać z zagranicy, albo stworzyć coś swojego. Do wykorzystania było w zasadzie tylko jedno urządzenie – wspomnianej wyżej austriackiej firmy Fischer. Jedno – bo ze względu na wybuchową atmosferę (jak np. w górnictwie) musieliśmy się opierać na automatyce pneumatycznej. Minus takiego pomysłu

z Fischerem był w zasadzie tylko jeden, ale za to dość zasadniczy – cena. Komplet austriackiego układu automatycznego gotowania cukrzycy kosztował 1,1 mln zł. Dla porównania – moja pensja wynosiła wtedy 2400 zł (na stażu 1600 zł), a maluch (Fiat 126p) kosztował 46 tys. zł. Nasz układ gotowania cukrzycy wraz z przetwornikiem lepkości, jak się okazało po prawie trzech latach pracy, kosztował 130 tys. zł.

Pod koniec 1972 roku zapadła decyzja, że nasza pracownia ma się tym zająć – Włodek Skrzynecki został głównym konstruktorem przetwornika, a ja miałem odpowiadać za układ sterowania.

Nie wiem, czy dlatego, że to był mój pierwszy samodzielny projekt, czy dlatego, że nikt tego jeszcze w Polsce nie zrobił, czy też dlatego, że od początku pracy podświadomie marzyłem o takim wyzwaniu – dość, że kompletnie mi „odbiło”. Każdą chwilę w pracy i każdą wolną chwilę w domu poświęcałem na „dłubanie” przy projekcie, który musiał być taki, aby już na etapie prototypu, mógł spełniać wszystkie możliwe „zachcianki” technologów z cukrowni, którzy chcieli mieć pewność, że układ może zrealizować gotowanie wg dowolnie przez nich zaprogramowanej krzywej – co w praktyce dawało możliwość ugotowania cukru o różnej wielkości kryształu. Nie było to więc jakies hipotetyczne zadanie egzaminacyjne, ale rzecz, która faktycznie miała szansę być stosowana w cukrowniach w kraju i za granicą.



zdj. 15, 16, 17

Wzięliśmy się na tyle solidnie do pracy, iż nie dość, że przez 8 miesięcy zrobiliśmy i projekt układu sterowania, i konstrukcję przetwornika – to jeszcze, stojąc potem godzinami „motywująco” w zakładzie produkcyjnym (wtedy jeszcze Zakładzie Doświadczalnym) – udało nam się zdążyć z prototypem przetwornika i układu (zdj. 15, 16, 17) już na pierwszą kampanię cukrowniczą, a więc na drugą połowę września 1973 roku.

Na próby obiektowe pojechaliliśmy z Włodkiem do cukrowni Opalenica – ok. 40 km za Poznaniem (zdj. 18). Z małymi przerwami spędziliśmy tam prawie 3 miesiące – do domu wróciliśmy na Święta Bożego Narodzenia.



zdj. 18

W trakcie projektowania, oprócz normalnych prac inżynierskich, trzeba było poznać, i to bardzo dokładnie, technologię gotowania cukru. Nieocenioną rolę w tych korepetycjach odegrał pracownik Instytutu Cukrownictwa dr Józef Marczyński. Uzyskane wiadomości przydały się nie tylko przy projektowaniu układu, ale również potem, podczas prób w cukrowni, kiedy to „gotowacze” pracujący przy warnikach, obawiając się utraty pracy (jako że miały się pojawić „automaty” i pozbawić ich tej pracy) próbowali nas swoimi czynnościami wprowadzać w błąd. Na zaworach, których pokrętło miało średnicę ok. 30 cm, a które służyły do dociągnięcia do warnika albo soku z wyparki, albo wody – kładli ręcznik

(który cały czas mieli przy sobie, gdyż temperatura przy warniku dochodziła do 60 st. C) i ruszając dłońmi na ręczniku leżącym na danym zaworze udawali, że go odkręcają, podczas gdy sam zawór pozostawał nietknięty. Jak się zorientowali – widząc w jaki sposób pobieramy próbki z warnika, a potem na ich podstawie prawidłowo oceniamy aktualny stan cukrzycy – że na takie „numery” nie dajemy się nabierać, zrezygnowali z dalszych takich dowcipów. A po jakimś czasie, jak się przekonali, że te „automaty” nie dość, że nie zabiorą im pracy, a tylko w niej pomogą (bo próby w cyklu automatycznym wychodziły już nadspodziewanie dobrze) – zaczęli nas zupełnie inaczej traktować. Doszło do tego, że kiedyś, gdy po krótkiej nocnej drzemce (a potrafiłszy być przy warniku po 16–20 godzin na dobę) podszedłem rano do gotowacza i spytałem się, czy wszystko w porządku – gotowacz (o ile pamiętam Jan Witajewski), zamiast pobrać próbkę z warnika, jak zazwyczaj to robił (zdj. 19), podszedł do rejestratora (zdj. 20) i patrząc tylko na wykresy lepkości i poziomu, skinął dostojnie głową i potwierdził, że wszystko gra. Jak wyjeżdżaliśmy pod koniec kampanii w końcu grudnia, to pytali, czy i w następnym roku przyjedziemy.



zdj. 19



zdj. 20

Przyjechaliśmy i to nie raz. Po 2–3 kampaniach w cukrowni Opalenica, podczas których „dopieszczaliśmy” nasz produkt, finalnie przekazaliśmy go do pracowni projektowej w PAP „Mera-Pnefal”. Pracownia ta,

zajmując się głównie projektowaniem nowych cukrowni – w kraju (np. Głinojeck, Łapy) i w ramach RWPG za granicą (np. Kaba – Węgry, Dolna Mitropolia – Bułgaria) – wykorzystywała w nich nasze urządzenie.

Nam, czyli OBR, przypadło w udziale modernizowanie cukrowni krajowych – a ja jako „uruchamiacz” naszego „układu gotowania cukrzycy metodą lepkościową”, jeździłem jeszcze na początku lat 80., aby to robić. W cukrowniach Krasnystaw, Werbkowice, Ropczyce, Opalenica (gdzie dodatkowo zamówiono automatyczne sterowanie na wszystkich pięciu warnikach cukrzycy I) oraz w Kabie – spędzałem każdego roku w trakcie kampanii cukrowniczej w sumie po ponad 2 miesiące.

W efekcie naszych prac po latach Urząd Patentowy przyznał trzy patenty: 23 września 1981 roku za „Układ automatycznego gotowania cukrzycy w warnikach periodycznych z zastosowaniem wiskozymetru rotacyjnego” (patent nr 146182) (zdj. 21), 26 października 1983 roku za „Pneumatyczny przetwornik rotacyjny lepkości” (patent nr 165750) (zdj. 22) i 24 września 1984 roku „Rotacyjny przetwornik lepkości” (patent nr 175760) (zdj. 23).



zdj. 21



zdj. 22



zdj. 23

Napisałem „po latach”, gdyż dopiero po tym, jak PAP „Mera-Pnefal” kończyło produkcję naszego urządzenia, rzecznik patentowy PAP otrzymał zgodę na to, aby nasze wnioski patentowe przesłać do Urzędu Patentowego PRL.

Dlaczego dopiero wtedy? Bo gdybyśmy uzyskali patenty w czasie trwania produkcji – to musieliby nam wypłacić potężne pieniądze (za tych kilkadziesiąt wyprodukowanych przez lata kompletów) liczone wg algorytmu: znaczący % od zysku, który uzyskało przedsiębiorstwo, stosując nasz układ, a nie Fischera – czyli: (1100 tys. zł – 130 tys. zł) x kilkadziesiąt

kompletów. Uzbierałaby się niezła kwota. A tak, przyznano nam jedynie nagrodę – mnie przypadło 630 tys. zł, co było równowartością ok. 12 ma-luchów. Dobre i to, bo przecież mogliśmy nie otrzymać nic...

W roku 1980, w ósmym roku mojej pracy w OBR, dostałem propo-zy-cję objęcia stanowiska kierownika Biura Automatyzacji Obiektów Prze-mysłowych. Z jednej strony dla 31-latka był to spory awans, ale z drugiej strony oznaczało to odejście od pracy typowo inżynierskiej i zajęcie się, jak to się teraz mówi „menedżerką”. Żał mi było co prawda moich uko-chanych układów sterowania, ale ponieważ chyba zawsze lubiłem wy-zwania – zgodziłem się. Postawiłem dyrektorowi jednak jeden warunek (choć nie pamiętam z jakiego powodu tak mu powiedziałem): 1 promil od przekroczonego planu miał iść do podziału na całe nasze Biuro AOP – czyli 2 pracowni, ok. 15 osób. Przychody (plan) naszego Biura wy-no-siły wtedy ok. 5 mln zł. Dyrektor, z niezrozumiałym dla mnie (wówczas) uśmiechem zgodził się od razu. Szybko zrozumiałem, skąd wtedy wziął się ten uśmiech.

Chcąc dotrzymać słowa, które dałem pracowni o dodatkowej premii za przekroczenie planu, zacząłem się zastanawiać, jak to zrobić. Zacząłem dowiadywać się, dlaczego żadna z pracowni w OBR swojego planu nie wykonuje. Po krótkim czasie zrozumiałem wszystko, łącznie z uśmiesz-kiem dyrektora. Otóż, plan na każdą jednostkę organizacyjną był wyzna-czany w następujący sposób: liczba osób x liczba dni pracy w miesiącu x liczba godzin każdego dnia x stawka 1 godziny OBR. W praktyce ozna-czało to, że jeśli ktoś opuścił w miesiącu choć 1 godzinę pracy, to jednost-ka organizacyjna nie wykonywała planu. Do momentu mojego warunku przedstawionego dyrektorowi, rzadkie były przypadki w ogóle wykony-wania planu przez jakąkolwiek pracownię – a przekroczenia planu nie było nigdy, gdyż z założenia było to niemożliwe. Tego jednak wtedy nie wiedziałem.

W zaistniałej sytuacji pomogło mi chyba podejście do trudnych i nie-typowych sytuacji wyniesione z tenisowego kortu, czyli znalezienie, bez względu na to, jak zły jest aktualny stan meczu, najkorzystniejszego roz-wiązania dającego jakąkolwiek szansę na zwycięstwo. W tym przypadku dodatkowo pomogła mi moja kompletna nieznajomość ekonomii socjali-zmu (swoją drogą – jak ja ją zaliczyłem na studiach?). Na zdrowy chłop-ski rozum wykombinowałem, że aby zasłużyć na premię, musimy jako pracownia na tyle dużo przysporzyć OBR pieniędzy, aby nawet chorując i tak przekroczyć plan. Wpadłem na pomysł, aby z naszymi kontrahen-tami podpisywać umowy, których załącznikiem był szczegółowy kosz-torys wyceniający nasze prace – wraz z dołączonym harmonogramem.

A pracę naszą wyceniałem na tyle wysoko, że wpływające do kasy OBR kwoty wystarczały, bez względu na choroby, na regularne co kwartał przekraczanie planu. To nasze „cenienie się” wynikało z faktu, że mieliśmy naprawdę dobrą opinię i w „mleczarstwie” i w „cukrownictwie” – i to nie tylko ze względu na jakość naszej pracy, ale również na terminowość jej wykonywania, a potem wdrażania wraz z pilotowaniem projektu na obiekcie. Dotrzymywaliśmy terminów nawet mimo zdarzających się czasami chorób. W takiej sytuacji potrafiliśmy w 2–3 osoby pojawić się w domu chorego – a prowadzącego dany temat – by „współ w zespół”, pod jego nadzorem, na czas ukończyć projekt. Stanowiliśmy grupkę zaprzyjaźnionych osób postępujących według zasady muszkietierów: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Osoba odpowiedzialna za projekt mogła spokojnie chorować, bo wiedziała, że koledzy nie dopuszczą do niedotrzymania terminu.

Tak było przez 3 lata, a żaden z panujących wtedy dyrektorów OBR nie znalazł podstaw prawnych (tak tłumaczyli), aby dotrzymać danego przed laty słowa i wypłacać nam kwartalne premie. Wreszcie, a było to w połowie stycznia 1983 roku, po kolejnej odmowie wypłaty, oznajmiłem dyrektorowi, że dłużej już nie mogę świecić oczami przed pracownią i jeśli po najbliższym kwartale znowu nie otrzymamy finansowej gratyfikacji, składam wypowiedzenie. Dyrektor chyba mi nie uwierzył – może dlatego, że moja żona była w połowie pierwszej ciąży. Na początku kwietnia, jak się okazało, że znowu przekroczyliśmy plan i że znowu nie dostaniemy premii – złożyłem wypowiedzenie. 30 kwietnia 1983 roku był ostatnim dniem mojej pracy jako inżyniera.

A oto incydent z tamtego okresu, który zapadł mi głęboko w pamięć. Otóż na kolegiach (cotygodniowe u dyrektora zebrania kadry kierowniczej wszystkich pracowni OBR) przypadło mi miejsce obok sekretarza organizacji partyjnej. Jeszcze na początku, po którymś z rzędu przekroczeniu planu – zwrócił się do mnie (na wszelki wypadek podaję tylko inicjały T.R.) tymi słowami: „Czy wiecie kolego inżynierze, jak bardzo niebezpieczne jest takie wychylanie się ponad przeciętność i przekraczanie planu? Wie pan, jak by to wyglądało na zewnątrz, gdyby tak wszyscy postępowali?” Musiałem mieć bardzo głupkowaty wyraz twarzy, który mój rozmówca pewnie zrozumiał opatrnie. „Ale niech pan się nie przejmuj, inne pracownie planu nie wykonują, więc plan całego OBR też nie będzie wykonany – a więc wszystko jest w porządku, nie wychylimy się...”

1983–1991 – przygotowanie do nowego etapu życia

O d pierwszego maja 1983 roku stałem się bezrobotny, a zaraz potem zostałem ojcem – w środę 4 maja, o godzinie 18.23 urodziła się Ania. Dodatkowy powód, aby zacząć pracować. I to szybko. Podejrzałem, że nieprędko znajdę równie ciekawą pracę, jak ta w OBR, a jeśli już, to płaca pewnie będzie na podobnym jak dotychczas poziomie – w miarę wystarczająca na życie kawalerskie, ale z pewnością niewystarczająca na życie w powiększonej rodzinie. A poza tym, spodobało mi się przez te 3 lata „kierowniczania” bycie niezależnym. Bardziej mi odpowiadało podejście „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz” niż „czy się stoi, czy się leży...”. Wiedziałem, że nawet zmieniając miejsce pracy, nie zmienię sposobu wynagradzania za nią. Nie w tym systemie. Przez dotychczasowe lata optymistycznie myślałem, że skoro robimy bardzo dobrą robotę, za którą zleceniodawcy chcą płacić, to powinniśmy – jako Biuro Automatyzacji Obiektów Przemysłowych – otrzymywać zapłatę nie tylko za przychodzenie do pracy, ale również za dodatkowe profity finansowe dla OBR. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że sześć lat później wicepremier od finansów prof. Leszek Balcerowicz w czasie wystąpienia w sejmie powie: „Trzeba zerwać z fałszywą grą, w której ludzie udają, że pracują, a państwo udaje, że płaci”. Przez 3 lata obroty naszego Biura wzrosły z 5 do 17,5 mln zł. A myśmy chcieli tylko 1 promil (dla niewtajemniczonych – jedna tysięczna część całości) z przekraczanego planu do podziału na Biuro AOP. Ale socjalizm nie przewidywał przekraczania planu w ramach ustawowych godzin pracy.

Gdybym wtedy wiedział, że wkrótce zniosą stan wojenny i niedługo potem wprowadzona zostanie gospodarka rynkowa, to pewnie próbowałbym te lata jakoś przetrwać na państwowej posadce, a potem założyć jakąś prywatną pracownię projektową. Ale nie wiedziałem. Pewnie nikt nie wiedział...

Musiałem więc zmienić zawód – choć słabość do automatyki pozostała mi do dzisiaj, a sposób rozumowania, analizowanie i wyciąganie wniosków z popełnianych (jednak) błędów – jest na porządku dziennym (coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego w automatyce).

Naturalną rzeczą, która prawie od razu nasunęła mi się wtedy na myśl – był tenis.

Patrząc teraz z perspektywy tych 38 lat chyba rozumiem ludzi, raczej dobrze mi życzących, którzy wtedy znacząco pukali się w czoło – wpierw, kiedy podjąłem decyzję o opuszczeniu OBR i potem, kiedy postanowiłem

otworzyć własną firmę. Otwieranie prywatnej działalności w komunie i do tego w stanie wojennym, to było igranie z ogniem.

Wreszcie kłamka zapadła. Po 3 miesiącach, z dniem 1 sierpnia 1983 roku oficjalnie otworzyłem firmę pod nazwą GINTER, która miała dwie specjalności: Szkołę Tenisa i Wytwórnę Testów Psychologicznych. Testy miały być dodatkiem do tenisa, ale wkrótce się okazało, że przez pierwszych 5–7 lat to dzięki nim mogłem utrzymywać rodzinę. Bo, aby móc wszystkim udowodnić, że jestem niezłym trenerem i w związku z tym mieć klientelę, trzeba było odczekać, aż pierwsi wychowankowie coś osiągną (= zaczynają wygrywać turnieje). Dyplom trenera – dyplomem, ale jednak to wyniki sportowe wychowanków były najlepszą reklamą. Sam motyw przewodni Szkoły Tenisa: „mens sana in corpore sano” (w zdrowym ciele zdrowy duch – sorry, znowu łacina) w latach 80. znaczył jeszcze niewiele. Na sukcesy wychowanków trzeba było jednak poczekać kilka lat. A jeść trzeba było od zaraz. Zwłaszcza, że rodzina się powiększyła – w niedzielę 1 września 1985 roku, o godzinie 16.20 urodził się Tomek.

Testami zająłem się w sumie przypadkiem, jednak gdy zobaczyłem jak bardzo są one w Polsce potrzebne do diagnozowania, zwłaszcza dzieci, i jak bardzo ułatwiają psychologom podejmowanie kluczowych dla dzieci decyzji (kiedy po zdiagnozowaniu aktualnego rozwoju umysłowego takiego dziecka trzeba było je skierować do właściwej szkoły, często specjalnej) – zmieniłem podejście do tematu i bardzo się zaangażowałem. Wszystkie szpitale, poradnie psychologiczne, poradnie zawodowe, ośrodki diagnostyczne – miały państwowe pieniądze, ale nie miały na co ich wydawać. Istniejące rzemieślnicze firmy, a było ich w Polsce dwie lub trzy, wykonywały te testy (zwłaszcza różnego rodzaju układanki) metodą chałupniczą, mozolnie tnąc i szlifując do nich części ze sklejki. Z tego powodu czas oczekiwania na taki test wynosił od 2 do 3 lat. Testów, z których wówczas korzystali psychologowie, było kilkanaście. Oczywiście wszystkie można było kupić za granicą... za dewizy. A tych nie było.

Postanowiłem zrealizować dwie rzeczy za jednym zamachem – wykorzystać niszę na rynku i, stosując „inżynierskie” podejście do tematu, zlikwidować ten koszmarnie długi czas oczekiwania. Dziecko bardzo często musiało być zdiagnozowane w ciągu paru dni. W przypadku kiedy tych testów nie było, psycholog wystawiał diagnozę „na oko”. Od jego doświadczenia zależało, jak bardzo jego diagnoza odbiegała od tej przy użyciu testów.

Stworzyłem coś w rodzaju nietypowego ciągu technologicznego. Nie mając parku maszynowego, postanowiłem wykorzystywać firmy już istniejące, a specjalizujące się na co dzień w czymś innym. I tak, części

składowych układanek nie rzeźbiłem w sklejce, tylko – po zaprojektowaniu i wykonaniu form na wtryskarce – oddawałem je przyjacielowi z roku Bogusiowi Niemcowi, który nie dość, że miał taką wtryskarce, to jako absolwent MP po Technologii Sprzętu Teleelektrycznego, w bardzo wydajny sposób przyczynił się do zaprojektowania i wykonania tych form. Podczas studiów Bogdan (z którym w tamtych czasach przejechałem autostopem Polskę wzdłuż i wszerz) był szefem Komisji Kultury w Radzie Wydziałowej ZSP i jednocześnie kierownikiem klubu „Mechanik”.

Postępując w analogiczny sposób (tj. podzlecając), instrukcje do produkowanych testów zamiast odbijać na powielaczu – oddawałem do drukarni, rysunki na tworzywowych układankach były nanoszone w pracowni sitodruku, pudełka, do których wkładałem testy – były robione u introligatora itd. Oczywiście na mnie spadało przygotowanie i kontrola całej produkcji, a potem kompletowanie całości. Zająłem się testami najbardziej pracochłonnymi, a i tak prawie w rok doprowadziłem do sytuacji, że testy można było u mnie kupować w zasadzie od ręki. A do tego, ich jakość była dużo lepsza od tych ręcznie rzeźbionych. Doszło nawet do tego, że w roku 1990 na Międzynarodowych Targach Książki w Pałacu Kultury i Nauki zdobyłem za nie wyróżnienie.

Przypadkiem okazało się – jako że stan wojenny trwał w najlepsze – że wytwarzanie testów psychologicznych jest objęte rządowym programem operacyjnym służby zdrowia. Podstawową korzyścią bycia w takim programie były przydziały talonów benzynowych. W tamtych czasach rzecz bezcenna.

W testach „byłem” do 1990-91 roku. Pierwsze lata gospodarki rynkowej pokazały wszystkim, że aby na czymś zarabiać, to nie wystarczyło to coś wyprodukować – trzeba było to jeszcze potem sprzedać. Wszyscy chcieli mieć testy psychologiczne, ale już nikt nie miał na nie pieniędzy. Państwo przestało dofinansowywać „psychologię”. Poszczególne jednostki służby zdrowia oczywiście dostawały pieniądze na swoje funkcjonowanie, ale to już one we własnym zakresie musiały zdecydować, czy stać je na zakup testów, czy też są jakieś ważniejsze rzeczy do zrobienia. A ponieważ prawie zawsze były – ruch w mojej Wytwórni Testów Psychologicznych ustał prawie zupełnie. Doszło do tego, że wszystkie zamówione i wyprodukowane testy (a było ich pod 100 kompletów) – rozdałem za darmo, a zaraz potem zamknąłem Wytwórnę. Zakończył się kolejny etap mojego życia – etap, w czasie którego miałem okazję bezpośrednio zetknąć się również z tą gorszą stroną życia – z ludzkim nieszczęściem...

Od tego momentu skoncentrowałem się już tylko na tenisie

Zanim jednak opowiem, co było z tym tenisem, powrócę do czasu, kiedy przerwałem wspomnienia w momencie, jak kończąc w 1972 roku studia, zamierzałem 2–3 miesiące, przed obowiązkowym rozpoczęciem pracy, poświęcić na grę turniejową.

Tak też się stało. Blisko 3 lata zajęło mi doganianie innych – tych, którzy nie poszli na studia w ogóle, a także tych, którzy poszli na AWF (Akademia Wychowania Fizycznego) i studiując, mieli praktycznie obowiązek gry w tenisa.

A to doganianie wcale nie było proste. Latem było łatwiej, bo było więcej kortów i do tego dostępnych w bardziej przyjaznych dla mnie godzinach (w OBR pracowałem od 7.30 do 15.30). Gorzej było w zimie. Były lata, że na treningi (2–3 razy w tygodniu) musiałem tramwajem jeździć z Saskiej Kępy na AWF (Bielany) na godzinę 5.40 rano (brrr!!!). A i tak byłem wdzięczny, że mogę w ogóle w zimie gdzieś trenować. Aby zdążyć na trening, musiałem z domu wychodzić ok. 4.30. Po godzinnym treningu przysnąć i bezpośrednim tramwajem przejazd do OBR na Grochów. A na turnieje odbywające się na terenie całej Polski wykorzystywałem urlopy i nadgodziny z cukrowni. Trzykrotnie zdarzyło się (z czego dwukrotnie w Szczecinie – ok. 500 km), że już w pierwszej rundzie trafiałem na aktualnego Mistrza Polski. No i taki wyjazd kończył się szybciotko. Dzień podróży pociągiem „tam”, niecały dzień na miejscu i znowu dzień w podróży z powrotem. Ale się nie wściekałem – zdawałem sobie sprawę, że trochę to musi jednak potrwać zanim powrócę do poziomu gry turniejowej sprzed studiów.

Tak więc jak widać, nie miałem „normalnych” wakacji, ale i tak się cieszyłem, że dostawałem zgodę od dyrektorów, aby urlopy dzielić na części. Dyrekcja patrzyła na mnie jak na niegroźnego szaleńca i wyrażała zgodę na to odbieranie urlopu w kawałkach – pewnie dlatego, że z cukrowni nadchodziły bardzo dobre wyniki i oceny naszej pracy.

Nie wiem, jak długo by trwało takie życie, gdyby nie wyjazd w maju 1975 roku (w barwach mojego warszawskiego AZS) do Belgii, do miasta Louvain (lub z flamandzka Leuven), na towarzyski mecz drużynowy z reprezentacją tamtejszego słynnego uniwersytetu. Niezapomniany tydzień – nie dość, że w miarę łatwo wygraliśmy, nie dość, że sporo miejsc zwiedziliśmy (z Brukselą, Louvain i Waterloo włącznie), to jeszcze od szefa tamtej ekipy prof. Kazimierza Wielkiego – Polaka z pochodzenia – dostałem propozycję, abym na dwa zbliżające się wakacyjne miesiące przyjechał do nich i podszkolił tenisowo ich ekipę. Oczywiście nie za darmo.

Zaproszenie – a wtedy to był warunek sine qua non, aby wyjechać – mieli wysłać natychmiast.

Ponieważ to zaproszenie jakoś długo do mnie nie przychodziło, zadzwoniłem do Belgii i dowiedziałem się, że zaproszenie już dawno zostało wysłane na adres Zarządu AZS. Długo trwało zanim doszedłem do tego, co się stało. Zaproszenie oczywiście przyszło od razu, ale „góra” w AZS postanowiła „obdarować” nim kogoś ze swoich znajomych-trenerów. Bardzo się zdziwili, jak z Belgii przyszła odpowiedź: albo Ginter, albo nikt. Więc nie pojechał nikt.

Szkoda mi było i samego wyjazdu i niewykorzystania paszportu. Ponieważ nadchodził koniec wakacji i nie było już czasu na załatwianie innych wiz – postanowiłem paszport jednak wykorzystać i pojechałem na krótko do bezwizowej Szwecji. Nie mogłem na dłużej, bo pod koniec września zaczynała się kampania cukrownicza. A wyjechać za granicę chciałem chociaż na trochę, aby w przyszłości mieć argument, że jestem „odpowiedzialnym obywatelem”, który na czas wraca do kraju.

Przygoda z Louvain spowodowała, że zacząłem o tenisie myśleć ciut inaczej. Po pierwsze – uświadomiłem sobie, że moje posiadane od trzech lat uprawnienia instruktora tenisa mogą się jednak na coś przydawać, po drugie – nadgodziny, które miałem z pracy w cukrowniach mogę wykorzystać nie tylko na turnieje w Polsce, ale także na wyjazdy tenisowe za granicę. Ba, ale dokąd?

Trzy lata trwało – bo w Louvain nie chcieli mieć więcej do czynienia z kombinatorami z Polski – zanim znalazłem jakiś bardzo daleki i niepewny kontakt. Było to Visé – jedna z licznych małych miejscowości przylegających do miasta Liège w Belgii. Miałem paszport – i, jak tylko doczekałem się odbioru mojego Fiacika 126p – pod koniec września 1978 zdecydowałem się wyjechać na rekonesans. Ponad 1300 km z kolanami przy uszach – jako że mam 192 cm wzrostu – ale wtedy nie myślałem o tym. Cały czas się zastanawiałem, co mnie czeka. A czekało niewiele. Z tego wyjazdu najbardziej pamiętam dzień po wyborze Karola Wojtyły na papieża, kiedy to wielu mieszkańców miasteczka przychodziło mi gratulować (wiedzieli już, że jestem z Polski). Było to bardzo przyjemne i wzruszające – ale przecież nie po to tam pojechałem. Tenisowo – bryndza. Każdy by chętnie zagrał – ale bez płacenia, bo w tych małych prywatnych klubikach mieli już trenera.

Ale jak to z inwestycjami – bywa różnie. Trzeba być cierpliwym i liczyć na łut szczęścia. Po tym pierwszym wyjeździe wyciągnąłem wniosek podstawowy – musiałem szukać większego klubu, a więc bliżej centrum Liège.

I tego przysłowiowego łutu szczęścia wreszcie się doczekałem. Stało się to pod koniec wakacji w 1979 roku, tuż przed powrotem do kraju. Po jednym z wielu testowań w różnych klubach, George Gevers, dyrektor sportowy ogromnego, prześlicznie położonego, prywatnego 12-kortowego klubu „Sart Tilman” powiedział, że chciałby mnie sprawdzić również w bardziej poważnej grze na punkty. Oczywiście się zgodziłem. Przyjechałem następnego dnia i się okazało, że mam zagrać sparing z reprezentantem Belgii w Pucharze Davisa, Jeanem Scuvie. A więc najwyższa belgijska tenisowa półka. Byłem trochę przerażony – a mówiąc szczerze, dużo bardziej niż trochę. Nazwisko Belga robiło wrażenie, a poza tym, ja byłem amatorem, a on zawodowcem grającym na wszystkich kortach świata. Na szczęście dla mnie, a na nieszczęście dla niego – i to był ten drugi łut szczęścia – zaczynałem ciut, ciut się domyślać o czym się mówi, jak się mówi po francusku. W pewnym momencie – a jesteśmy w szatni, przebieramy się – słyszę, jak Belg zwraca się do swojego znajomka – „poczekaj na mnie chwilę, to nie potrwa długo, zaraz jedziemy”. Trafił mnie szlag. Zdenerwowanie gdzieś zniknęło. Lepszej motywacji nie miałem chyba nigdy w całym życiu. Zamiast kilkunastu minut, graliśmy seta 1,5 godziny. Przegrałem 5/7 czy 6/7 – ale nie miało to większego znaczenia. Reakcja widzów stojących dookoła kortu, których sympatia w trakcie gry zaczęła się przechylać na moją stronę, ich komentarze „davicupowiec-zawodowiec, a nie może pokonać amatora z Polski” – i wreszcie najważniejsze słowa G. Geversa: „Jak przyjedziesz w przyszłym roku, to ci załatwię treningi w dużym klubie, ale musisz się nauczyć francuskiego, bo choć z dorosłymi dogadasz się po angielsku, to z dziećmi tylko po francusku. Zadzwoń do mnie w marcu”.

Zadzwoniłem, mając już, jako przykładowy obywatel – bo przecież zawsze powracający na czas do kraju – paszport w kieszeni. Kończyłem też wtedy „studiować” samouczek Antoniego Platkowa „Mówimy po francusku” – 70 lekcji kursu podstawowego z kasetami. Przerabiałem systematycznie i dogłębnie jedną lekcję dziennie. Zaczynałem też przeglądać – pożyczony od Krzyśka Kuskowskiego (absolwenta MP z roku 1967/68), konstruktora w PAP „Mera Pnfał” w Falenicy – francuski podręcznik do nauki gry w tenisa i zapoznawać się z tenisowymi językiem. Było warto. W Belgii pierwsze zajęcia dostałem w nowym klubie akurat z dziećmi – jeden z trudniejszych moich egzaminów. Ponieważ się nie śmiały, a do tego z grubsza robiły to, o co je prosiłem – byłem wniebowzięty. Był to rok 1980, a klub RFCL w Liège (Royal Football Club Liègeois) z 11 kortami stał się „moim” podstawowym klubem. Grałem tam po ok. 2 miesiące w roku (maj, czerwiec) do roku 1987. Jeden miesiąc urlopu, drugi za

nadgodziny w cukrowniach. Odliczając oczywiście 2 lub 3 sezony na stan wojenny, bo wtedy nawet „przykładnych obywateli” nie chcieli nigdzie wypuszczać.

Zabawnie to trochę wyglądało – nadgodziny na wyjazd miałem z pracy jako inżynier, a do Belgii jechałem zarobić po to, aby w Polsce móc pracować jako inżynier. Samo życie...

Do Liège po raz ostatni do pracy wyjechałem w 1987 roku. Zaznaczam, że do pracy, bo do Belgii jak i do innych państw europejskich – zwłaszcza francuskojęzycznych – wyjeżdżałem wielokrotnie w latach 90. jako coach Polskiego Związku Tenisowego z polskimi reprezentacjami 14- i 16-latków na międzynarodowe turnieje (zdj. 24 – lipiec 1991 roku, „Walibi Cup” turniej w Waterloo).



zdj. 24

W 1987 roku zdecydowałem, że wyjeżdżam tylko na miesiąc, gdyż w połowie czerwca miałem egzaminy kończące moje Studia Podyplomowe w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, na które zapisałem się w międzyczasie – gdy stwierdziłem, że uczenie innych (zwłaszcza dzieci) sprawia mi frajdę.

Dzięki Bogu, od samego początku miałem świadomość tego, że nauczenie kogoś po prostu grać w tenisa – nie jest problemem. Wyzwaniem było znalezienie sposobu, jak należy trenować kogoś (od wieku dziecięcego począwszy), aby wydobyć z niego w ciągu kilku-kilkunastu lat treningu wszystko to, co ma w sobie najlepszego. A najlepiej, aby takie „wydobywanie” zakończyło się przynajmniej medalem Mistrzostw Polski. Własne doświadczenie zawodnicze (zdj. 25) i wiedza na poziomie instruktora tenisa były do tego niewystarczające. Postanowiłem, że jeśli chcę pracować „na swoim” w tenisie, to muszę być niezły nie tylko jako gracz, ale także jako nauczyciel. Stąd pomysł studiowania w AWF.



zdj. 25

Po ich skończeniu i po obronie pracy dyplomowej uzyskałem tytuł trenera Klasy II. Potem, po pewnej przerwie spowodowanej rozwijaniem Szkoły Tenisa, poszedłem za ciosem (tak, jak to chciałem zrobić prawie trzydzieści lat wcześniej ze studiami doktoranckimi) i zakwalifikowałem się na organizowany przez Centralny Ośrodek Sportu (komórka w strukturze Ministerstwa Sportu) kurs doszkoleniowy na wyższy stopień trenerski. Po 2 latach, po ukończeniu kursu i obronie pracy dyplomowej – zostałem trenerem Klasy I. Był rok 2001. Parę lat później, a dokładniej w roku 2009, zakwalifikowałem się na kolejny kurs doszkoleniowy organizowany przez COS. Po dwóch latach obroniłem kolejną już pracę dyplomową i uzyskałem tytuł trenera tenisa Klasy Mistrzowskiej – najwyższy

stopień trenerski w Polsce (i na świecie). Nie pamiętam dokładnie samego egzaminu, ale doskonale pamiętam słowa, które padły już po nim z ust przewodniczącego komisji egzaminacyjnej: „Gratuluję tytułu – Klasa Mistrzowska to profesura wśród trenerów”. Później się okazało, że od początku istnienia Polskiego Związku Tenisowego (tzn. od 27.08.1921 roku – w tym roku obchodzimy 100-lecie istnienia) byłem 9. trenerem, który na przestrzeni ostatnich 90 lat otrzymał w tenisie Klasę Mistrzowską. Nie muszę chyba mówić, jak się wtedy czułem...

Kilkanaście lat wcześniej, a dokładniej na wiosnę 1991 roku, oficjalnie i jako pierwszy w historii polskiego tenisa zarejestrowałem w Polskim Związku Tenisowym prywatną Szkołę Tenisa GINTER.

Jako motto Szkoły przyjąłem, umieszczając jednocześnie na swojej stronie internetowej, dwuwiersz noblisty Rudyarda Kiplinga – wiszący przed wyjściem z szatni dla zawodników na kort centralny Wimbledonu: „If you can meet with triumph and disaster and treat those two impostors just the same” – co w wolnym tłumaczeniu oznacza: „Jeśli triumf i niepowodzenie z równą odwagą znosisz i honorem”.

1991 – do dzisiaj

Choć z pierwszym moim „tenisowym” dzieckiem, wtedy 7-letnim Marcelim Mizerskim, zacząłem pierwsze zajęcia jeszcze w maju 1983 roku, to dopiero 5 lat później zaczął on odnosić poważniejsze sukcesy. Zanim to nastąpiło, dwa lata wcześniej zdecydowała się na tenis również jego młodsza siostra Anita i zaraz za nią jej jeszcze młodsza koleżanka Ania Gąsiorek. To była moja pierwsza grupka przyszłych wyczynowców.

W 1988 roku Marceli jako 12-latek zdobył brązowy medal w Warszawskiej Olimpiadzie Młodzieży w kat. do lat 13. Rok później jako 13-latek zdobył Mistrzostwo Warszawy w kat. do lat 14 (Młodzicy). I dalej już się potoczyło...

Nie będę oczywiście opowiadał o wszystkim, co mnie/nas (jako Szkołę Tenisa) spotkało na tym tenisowym poletku. Były i sukcesy i porażki.

Największą porażką było to, że przez tych 38 lat zajmowania się tenisowym szkoleniem nie udało mi się zorganizować własnego „warsztatu pracy” – czyli kortów, którymi mógłbym zarządzać, tzn. decydować, ile kortów i w jakich godzinach przeznaczam na szkolenie dzieci i młodzieży, a ile przeznaczam na komercyjny wynajem. Oczywiście nie miałem własnych pieniędzy na takie przedsięwzięcie, ale zawsze miałem chętnych inwestorów – najczęściej rodziców trenujących u mnie dzieci. Znajdowałem

tereny przeznaczone pod sport i rekreację, widziałem zachwyty i śmiejące się oczy burmistrzów, jak im pokazywałem, co chcę zrobić i jaka to będzie nietuzinkowa wizytówka dzielnicy, załatwiałem niezbędne zgody i pozwolenia i tylko czekałem na ostateczną oficjalną decyzję dzielnicy – ale wtedy nagle zaczynały się schody. Nie było ostatecznej zgody na piśmie potwierdzającej ustne ustalenia, nie było żadnych wyjaśnień dlaczego tak się dzieje, zaczęło brakować czasu na spotkania ze mną. Na takie bliźniaczo podobne zachowania natknąłem się we wszystkich dzielnicach Warszawy przez 3–4 kolejne kadencje samorządów. Kiedyś, po latach, zaprzyjaźniony urzędniczyzna niższego szczebla, na moje pytanie, dlaczego tak się dzieje – odpowiedział krótko: „a ile pan im zaproponował?” Widząc moją zdziwioną minę dodał: „pan się stara o tereny sportowo-rekreacyjne, czyli z założenia dużo tańsze od terenów budowlanych – jaki więc miałyby sens finansowy (dla dzielnicy, a przede wszystkim dla decydentów tej dzielnicy) oddanie panu tych terenów już teraz, skoro mogą jeszcze trochę poczekać do czasu, aż te tereny uda się przekwalifikować na dużo droższe tereny budowlane? A deweloperzy wiedzą jak się zachowywać i jak rozmawiać w takiej sytuacji...”

Po tych kilkudziesięciu latach starań pozostało mi w spadku 9 grubasnych skorowidzów z planami, rysunkami i wizualizacjami jako pamiątka po tych wszystkich terenach, które znalazłem. A było ich kilkadziesiąt. Przykre w tym wszystkim jest to, że wiele z nich do chwili obecnej leży odłogiem, a na pozostałych stoją mniejsze lub większe zabudowania.

Pytanie, które sobie dość często zadaję – czy gdybym miał własne korty, a więc z założenia normalne warunki do pracy trenerskiej – czyli zajęcia z dziećmi w godzinach stałych, po szkole, bez ciągłego zastanawiania się, czy w następnym tygodniu nie wyrzucą nas z danego klubu za to, że stanowimy zbyt dużą konkurencję dla miejscowych trenerów – to, czy wyniki, które osiągnęliśmy mogłyby być lepsze? A może byłoby wręcz przeciwnie?

Ale pomimo utrudnionych warunków – gdyż jako szkoła trenowaliśmy na prawie wszystkich kortach Warszawy (a potrzebowaliśmy ich jednak sporo, bo na treningi przychodziło 250–300 dzieciaków), trenowaliśmy w godzinach, które akurat były wolne, a nie w tych najbardziej dzieciom odpowiadających – osiągnęliśmy sukcesy. Nie będę oczywiście opowiadał o wszystkich. Powiem tylko, że do chwili obecnej moi bezpośredni wychowankowie zdobyli, w różnych kategoriach wiekowych, 19 medali Mistrzostw Polski (5 złotych, 4 srebrne, 10 brązowych), a w pozostałych „mniej ważnych” imprezach typu Mistrzostwa Województwa,

Mistrzostwa Regionu, Mistrzostwa Warszawy i Warszawska Olimpiada Młodzieży – 233 medale (64, 62, 107).

Pierwszy dla nas medal w Mistrzostwach Polski zdobyły dziewczęta do lat 12 (zdj. 26).



zdj. 26

W Drużynowych Mistrzostwach Polski Skrzatek, 23 września 1993 roku (dniu finałów), po paromiesięcznych ogólnopolskich eliminacjach, drużyna w składzie (od lewej): Kasia Ziółkowska, Ania Ginter, Ania Dołińska, Karolina Klim, Ania Gąsiorek – wywalczyła srebrny medal. Złoto przegraliśmy z Olszą Kraków jedynie jednym setem (przy stanie 3/3 mieliśmy gorszy stosunek setów 6/7). Jak olbrzymia to była niespodzianka na tenisowym rynku świadczą artykuły w gazetach (zdj. 27) i dwukrotny udział w programie telewizyjnym „Gem, set, mecz”. Tydzień później Ania Gąsiorek zdobyła srebrny medal Mistrzostw Polski w grze pojedynczej.

Jednak na jeszcze większe wyróżnienie zasługują moi multimedaliści. Wspomniany wcześniej Marceli (na zdj. 24 – stojący pierwszy od lewej, obok niego blondynka, to jego siostra Anita), który w latach 1994 i 1995 zdobył 6 medali na Mistrzostwach Polski – 3 złote i 3 brązowe. Złote były w grze podwójnej, a brązowe, na tych samych Mistrzostwach, w grze pojedynczej. Pod koniec lat 90., będąc ok. 600 miejsca na liście ATP w grze pojedynczej i ok. 500 miejsca w grze podwójnej, Marceli uzyskał tenisowe stypendium i poleciał na studia do USA.

Druga osoba, to Przemek Leśniewski – także zdobywca 6 medali na Mistrzostwach Polski – 2 złotych, 1 srebrnego i 3 brązowych. Najważniejsze były te dwa złote medale uzyskane w grze pojedynczej. Pierwszy z nich został zdobyty w 2001 roku w kategorii Juniorów (do 18 lat), (pół roku po uzyskaniu przeze mnie stopnia trenera Klasy I). Przemek miał wtedy lat 17. Rok później Przemek obronił tytuł Mistrza Polski (zdj. 28) – i w ten sposób został 6. juniorem w historii polskiego tenisa, któremu udało się pod rząd zdobyć Mistrzostwo Polski Juniorów mając 17 i 18 lat. W 2002 roku Przemek znalazł się na 960 miejscu ATP.

Pewną ciekawostką jest to, że swój pierwszy tytuł mistrzowski Przemek zdobył w 2001 roku na kortach w Opalenicy, tej samej, gdzie 28 lat wcześniej rozpoczynałem swoją inżynierską przygodę w „cukrownictwie”. Drugą ciekawostką jest to, że pod koniec lat 90., w czasie pobytu na jednym z turniejów w Opalenicy, wziąłem 4 chłopców z grupy, którą trenowałem (m.in. Przemek i mój syn Tomek) i oprowadziłem ich po pracującej wtedy w czasie kampanii cukrowni. Skłamałbym, gdybym powiedział, że ta podwójna wycieczka – bo dla mnie była to również wycieczka w czasie – nie była dla mnie sporym przeżyciem...

Zakończenie

Dość długo się zastanawiałem, czy o tym okresie, tzn. o latach po 1983 roku cokolwiek pisać. Ten okres przecież nie ma nic wspólnego z Mechaniką Precyzyjną – no, może poza wyniesionym z Politechniki sposobem myślenia i postępowania w sytuacji, kiedy coś nie funkcjonuje i trzeba znaleźć tego przyczynę.

Zdecydowałem się to zrobić, gdyż doszedłem do wniosku, że nawet jeśli nie pracuję jako inżynier, to i tak jestem absolwentem Mechaniki Precyzyjnej. I nikt mi tego nie odbierze. Nigdy. A że tak potoczyły się moje losy? Powtórzę kolejny raz – samo...

Przez całe po studenckie życie szczyliłem się tym, że jestem automatykiem – absolwentem Mechaniki Precyzyjnej. Przez cały czas po studiach starałem się utrzymywać kontakt z Wydziałem. Byłem na wszystkich organizowanych co 5 lat Zjazdach Wydziałowych oraz na 22 (od 1998 r.) corocznych Zjazdach Absolwentów mojego roku – do organizacji których w sporej mierze się przyczyniałem. A w roku 2013, gdy padła propozycja utworzenia Koła Absolwentów Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki, znalazłem się wśród członków-założycieli tego Koła.

Wiele razy w swoim życiu zadawałem sobie pytanie: „co by było, gdyby...”. Nie dlatego, żebym czegokolwiek żałował. Nie, nie żałuję niczego, naprawdę.

Tego „nieżałowania” i nieoglądania się wstecz nauczyłem się na korcie. I też nie od razu, ale dopiero, gdy zacząłem grę turniejową. Dość szybko dotarło do mnie, że w trakcie meczu historia się nie liczy – że liczy się „tu i teraz”. Rozpamiętywanie ostatniej rozegranej piłki – bez względu na to, czy się ją we wspólny sposób wygrało, czy też w durnowaty sposób przegrało – nie ma najmniejszego wpływu na piłkę następną. Chociaż nie, ma wpływ – rozmyślanie nad tą ostatnią na ogół nie pozwala się odpowiednio skoncentrować do rozegrania następnej. Zasadę tę bardzo szybko wprowadziłem do codziennego życia. Oczywiście tymi wygranymi piłkami można się potem delectować i o nich rozpamiętywać. Ale ważniejsze jest, aby z tych przegranych piłek, a przede wszystkim przegranych meczów wyciągać wnioski i starać się nie powtórzyć tych samych błędów w przyszłości. Bo jak to kiedyś powiedział John McEnroe – jeden z najlepszych tenisistów świata lat 80.: „Najważniejsza rzecz w życiu to uczyć się czegoś za każdym razem, kiedy się przegrywa” – bo wtedy taka przegrana, to tylko przegrana danego meczu, a jeśli nie wyciągnie się wniosków z takiej przegranej, to taka przegrana staje się porażką.

Powracam do pytania, co by było, gdyby moje życie w paru kluczowych momentach potoczyło się inaczej.

Co by było, gdyby do naszej klasy w liceum nie przyszła prawdziwa matematyczka-pedagog p. Maria Wojtowicz? (Pewnie zostałbym lekarzem). Co by było, gdyby prof. Leśkiewicz wyraził zgodę na moje studia doktoranckie? (Pewnie pracowałbym naukowo). Co by było, gdyby dyrektor OBR dotrzymał obietnicy i wypłacał nam obiecane premie? (Pewnie nadal pracowałbym w zawodzie). Co by było, gdyby udało mi się przez te tenisowe lata znaleźć własny „warsztat pracy” do normalnej pracy trenerskiej? (Pewnie nie miałbym tak silnej motywacji, aby pokazać wszystkim, że nawet mając tak trudne warunki do pracy, wychowankowie mogą zdobywać medale Mistrzostw Polski). Co by było, gdyby...

Nie wiem – i nie chcę się nad tym zastanawiać. Widocznie tak miało być. Każdy z etapów w moim uczniowskim, studenckim i zawodowym życiu sprawiał mi autentyczną satysfakcję – jak dostałem z matematyki ocenę 5 na maturze, jak dostałem się na studia, jak je skończyłem (pomiędzy oceną), jak trafił mi się temat życia już na samym początku pracy inżynierskiej, jak zasmakowałem w „kierownictwie” i w „wykołowaniu” socjalistycznego systemu w „przekraczaniu” planu, jak podjąłem decyzję o założeniu własnej firmy i wzięciu odpowiedzialności za życie moje i rodziny we własne ręce (dosłownie), jak pomogłem psychologom w ich odpowiedzialnej pracy, jak się cieszyłem, gdy tenisowi wychowankowie stawali na podium Mistrzostw Polski, jak...

Pewnie dlatego nie żałuję, że nie poszedłem na medycynę, nie żałuję, że nie poszedłem na studia doktoranckie (może, gdyby nie ta ocena na dyplomie – powiedziałbym nawet, że się z tego cieszę), nie żałuję, że zdecydowałem się dotrzymać słowa danego pracowni i w konsekwencji odszedłem z OBR, nie żałuję, że zmieniłem zawód i z inżyniera-automatyka stałem się trenerem tenisa. Zawodowa praca w czymś, co od 10. roku życia jest twoją pasją – to coś, co nie zdarza się często. A uczucie, gdy wychowanek stoi na podium i odbiera złoty medal Mistrza Polski jest porównywalny z tym, gdy... samemu stoi się na takim podium (zdj. 29).



zdj. 29

Ale nigdy nie zapomniałem i nigdy nie zapomnę, jakiego Wydziału jestem absolwentem...



Zbigniew Kusznerewicz



Studia 1963–1970
Specjalność: Drobne Mechanizmy
i Przyrządy Precyzyjne

SWOJĄ PRZYGODĘ Z WYDZIAŁEM MECHANIKI PRECYZYJNEJ...

Wstęp

Swoją przygodę z Wydziałem Mechaniki Precyzyjnej zacząłem w 1963 roku, w drugim roku istnienia Wydziału. Zbiegiem różnych okoliczności, a głównym była ustawa za rządów Premier Ewy Kopacz, jestem związany z tym Wydziałem do chwili obecnej, czyli przeszło 58 lat. Mam umowę bezterminową, czyli zgodnie z obowiązującymi przepisami nie mogą mnie zwolnić mimo 77 lat. Dwa lata temu na naszej Uczelni były tylko 4 osoby w takiej sytuacji jak ja.

Byliśmy ostatnim rokiem z 6-letnim programem studiów. Na pierwszym roku studiów mieliśmy semestralną praktykę w PZO, w trakcie której uzyskaliśmy uprawnienia tokarza, frezera określonej klasy. Początkowo ze względu na skromną kadrę dydaktyczną związaną z Mechaniką Precyzyjną nasze zajęcia odbywały się na sąsiednich wydziałach. Część z nich była daleka od mechaniki precyzyjnej. Pamiętam zajęcia w pierwszym semestrze z doc. L. Gosztowttem – maszynoznawstwo. Miałem pytanie na egzaminie związane z lokomotywą parową z kotłem płomieniówkowym a było to w czasach, gdy w Belgii oddano ostatnią lokomotywę parową do muzeum. Po latach mogłem pochwalić się przed wnukami tą wiedzą, będąc w Muzeum Kolejnictwa na Towarowej w Warszawie.

Drugim takim przedmiotem już na III roku studiów było laboratorium z TMC w gmachu ITC na Nowowiejskiej, gdzie na 4 piętrze sypaliśmy węgiel do pojemnika taśmowego zasilającego palenisko.

Mój alfabet

Arczewski Krzysztof

Zaprzyjaźniliśmy się na III roku studiów po wspólnej wpadce na zajęciach z Hydromechaniki. We dwójkę przez rok zaliczyliśmy ten przedmiot u Kijkowskiego na Wydziale MEiL. Mechanikę Płynów Prof. Bukowskiego poznaliśmy jak mało kto na Wydziale. W późniejszych latach z tym Zakładem mieliśmy



wiele wspólnego. Krzysiek został dyrektorem Instytutu Techniki Lotniczej i Mechaniki Stosowanej największego instytutu na Politechnice Warszawskiej, w skład którego wchodził Zakład Aerodynamiki. Ja współpracowałem z dr. inż. Krzysztofem Kubryńskim przy aerodynamice żagla podczas przygotowań do Igrzysk Olimpijskich w 1996 roku. Z Krzyskiem po studiach mieszkaliśmy razem w hotelu asystenckim na ul. Tatrzańskiej, a później wspólnie przez kilka lat wynajmowaliśmy mieszkanie na Poznańskiej. W międzyczasie pozakładaliśmy rodziny, porodziły się dzieci. Krzysiek jako pierwszy z naszego rocznika w 1975 roku obronił pracę doktorską. Obecnie czę-

sto korzystam z monografii „Drgania Układów Fizycznych”, którą napisał Krzysiek razem z Józefem Pietruchą i Janem Tomaszem Szusterem.

Ducal Tadeusz

Zaprzyjaźniliśmy się na pierwszym roku studiów. Był w sekcji skoków do wody w Pałacu Młodzieży, jeździł na obóz do Pieczarek koło Giżycka. W czasie studiów byliśmy w tej samej grupie dziekańskiej jak i później na tej samej specjalności. Na III roku studiów na motorach wyjechaliśmy do Czechosłowacji a na IV roku zakupionym za 100 USD Volkswagenem garbusem do Belgii, Francji, Szwajcarii. Środki finansowe

na wyjazdy mieliśmy z masowo prowadzonych korepetycji w niedziele nawet po 8 h. Po studiach Tadek pracował w Zakładach Radiowych im. Marcina Kasprzaka, w latach 70. był kierownikiem działu magnetowidów, wprowadzał do produkcji magnetowid MTV-10. W grudniu 1979 obronił pracę doktorską, promotorem był prof. J. Lipka.



Przygotowanie do zagranicznej wyprawy – 1968 rok

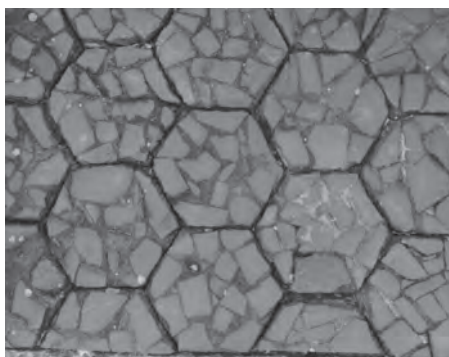
Dziadkowie

Po dziadkach podobno dużo się dziedziczy. W moim przypadku: wdrażanie pomysłów i ich patentowanie. Ile razy stanę na drodze wykonanej z trylinki to mówię do siebie „bierz się za robotę”. Syn mój Mateusz po dziadku ze strony matki: wzrost, głos, umiejętność wysławiania się i organizacja pracy.

Oprócz trylinki były jeszcze podkłady kolejowe. Informacja zaczerpnięta z Internetu: „Pomysł inż. Trylińskiego wykonania nawierzchni kolejowej na bazie podkładów żelbetonowych powstał jeszcze przed wojną, ale realizacja była możliwa dopiero po 1945 r. Próbnny odcinek z takimi podkładami powstał w Szymankowie k. Torunia a wykonane próby eksploatacyjne wypadły pomyślnie. Patent polski na ten wynalazek inż. Tryliński uzyskał w 1953 r. zaś kilka lat później patenty zagraniczne: francuski, brytyjski i amerykański”.



Żurle na Litwie. Dziadek Jan Kusznerewicz z rodziną, koniec budowy młyna w 1906 roku



Trylinka

Jaszczuk Witold

Witek – rocznik studiów 1964. Wyjątkowy student naszego Wydziału – w indeksie tylko jedna ocena 3,5, większość to 5. Oceniam, że tacy studenci zdarzają się bardzo rzadko – 1 na 1000. Prof. Tryliński – promotor jego pracy dyplomowej i doktorskiej mówił o nim – „wyjątkowo zdolna bestia”. W marcu 1970 roku zostaliśmy zatrudnieni jako asystenci stażysty w nowo powstałym Instytucie Konstrukcji Przyrządów Precyzyjnych i Optycznych. Razem z Zygmuntem

Rymuzą zostaliśmy skierowani do zespołu Jerzego Biedrzyckiego prowadzącego konstrukcję kolejnej wersji dziurkarki – D 300. Spędzaliśmy we czwórkę soboty i niedziele na Wydziale, ponieważ Biedrzyckiego tylko na te dni zwalniano z wojska. Witek od tamtej pory wsiąkł w tematykę elektromagnesów i napędów elektromagnetycznych. Zespół III Instytutu, którym kierował przez kilka lat, wykonał pionierską pracę dotyczącą napędów, między innymi pod jego kierunkiem opracowano monografię „*Mikrosilniki elektryczne. Badanie właściwości statycznych i dynamicznych*”. PWN, Warszawa 1990. Autorzy: Maciej Bodnicki (rozdz. 1, 5, 6), Arkadiusz

Chrostowski (rozdz. 8), Wiesław Czerwiec (rozdz. 2, 5), Łukasz Dziubalski (rozdz. 3, 4, 5), Janusz Igielski (rozdz. 4, 5, 6), Zdzisław Iwanejko (rozdz. 4, 7), Witold Jaszczuk (rozdz. 1, 4, 6, 9), Tomasz Makos (rozdz. 9), Jakub Wierciak (rozdz. 3, 9), Włodzimierz Wolski (rozdz. 7). W dalszym ciągu ta tematyka jest rozwijana przez Maćka Bodnickiego, późniejszego Prodziekana Wydziału MCHTR, wieloletniego dyrektora i zastępcę Instytutu Mikromechaniki i Fotoniki oraz Jakuba Wierciaka wieloletniego wicedyrektora IMiF zaś Janusz Igielski jest wyjątkiem w skali uczelni – był promotorem przeszło 230 prac dyplomowych. Po odejściu w wieku 75 lat Prof. Trylińskiego na emeryturę w 1984 roku atmosfera w Zakładzie znacznie się pogorszyła, osoby po doktoratach odchodziły z pracy albo tak jak Zygmunt Rymuza „cichcem” obronił habilitację na Wydziale MEiL. Dorobek publikacyjny Witka jest wyjątkowy, świadczy o jego pracowitości i zaangażowaniu w pracę na Uczelni, ostatnio w 2014 roku będąc już na emeryturze wydał monografię „*Elektromagnesy prądu stałego dla praktyków*”.



Łożyska toczne

W 1972 roku dostałem zadanie opracowania konstrukcji 2 stanowisk badawczych dla studentów w ramach zajęć w Laboratorium Podstaw Konstrukcji. Stanowiska miały dotyczyć pomiaru momentu tarcia w łożyskach tocznych i ślizgowych. Znana i dotychczas stosowana w badaniu łożysk tocznych była metoda dobiegu. Opracowana przeze mnie metoda wybiegu uzyskała patent w 1975 roku. Stanowiska badawcze mierzące tą metodą momenty tarcia z rozdzielczością do $0,1 \mu\text{Nm}$ do chwili obecnej są stosowane w Laboratorium Podstaw Konstrukcji. W ramach pracy doktorskiej opracowałem wzory empiryczne

umożliwiająca obliczenie momentu oporów ruchu w łożyskach tocnych znacznie prościej i dokładniej niż opracowane przez firmę SKF. Wydział nasz miał uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego, jednak atmosfera w niektórych Zakładach była dla adiunktów niekorzystna. Zygmunt Rymuza, Jan Maciej Kościelny, Jerzy Kurek, Krzysztof Marciniak, Krzysztof Janiszowski, Krzysztof Cieśliski habilitacje uzyskali na innych wydziałach. W drugiej połowie lat 80. w niektórych zakładach adiunkci byli zwalniani lub sami odchodzili, niektórym zależało na „świeżych” doktorantach umożliwiających im dalszą karierę naukową. W 1987 roku zostałem zwolniony z pracy na uczelni. Część zajęć jednak nadal prowadziłem na umowę zlecenie ze względu na to, że nie mogli znaleźć następcy do tych zajęć. Założyłem własną firmę „Tribos” i współpracując z FŁT Kielce i Kraśnik wprowadzałem opatentowane nowe konstrukcje łożysk. Równolegle pracowałem nad habilitacją, jeździłem do domu Prof. Stefana Zięby – nestora polskich tribologów, który był bardzo zainteresowany moimi pracami dotyczącymi łożysk tocnych. Profesor pod koniec lat 80. tak się rozchorował, że musieliśmy skończyć konsultacje. Po przemianach w 1990 roku dzięki „Solidarności” zostałem z powrotem przyjęty do pracy na uczelni. Atmosfera jednak cały czas była napięta, zostałem odsunięty od prac organizacyjnych. W Kraśniku nadal badałem swoje konstrukcje łożysk wysokoobrotowych do wrzecion szlifierskich. Łożyiska obracające się z prędkością 60 tys. obr/min tradycyjnie są smarowane mgłą olejową, moje bez smarowania pracowały 1 h. Pomysł opatentowania łożysk tocnych niesmarowanych odłożyłem na 20 lat ze względu na sprzedaż FŁT Kielce firmie japońskiej NSK, atmosferę w Zakładzie oraz zajęcie się z Zygmuntem Rymuzą mikrotribologią. Zygmunt w 1991 roku zrobił niespodziankę naszym władzom w Instytucie i Zakładzie – przedstawił rozprawę habilitacyjną na wydziale MEiL i uzyskał stopień doktora habilitowanego. Współpraca z Zygmuntem układała mi się idealnie. Organizowaliśmy co 4 lata międzynarodowe konferencje „Mikrotribology” na światowym poziomie. Wybudowaliśmy na VII piętrze laboratorium z Nanotechnologii, posypały się doktoraty.

Dzięki kontaktom Zygmunta uzyskaliśmy 4 granty unijne, mieliśmy dwukrotnie podpisane kilkuletnie umowy państwowe między Chinami i Polską. Umowa z Chinami dotyczyła badań łożysk tocnych. Dopiero w 2010 wróciłem do łożysk tocnych niesmarowanych. Razem z Jerzym Grygorczukiem z Centrum Badań Kosmicznych, późniejszym założycielem firmy Astronika, absolwentem naszego Wydziału, Prof. Tadeuszem Wierzchoniem z Wydziału Inżynierii Materiałowej PW i z Prof. Marianem Szczerkiem z Instytutu Technologii Eksploatacji w Radomiu założyliśmy


 Department of Mechanical Engineering
 200 West 19th Avenue
 Columbus, Ohio 43210-1317
 Phone: 614/292-6451
 Fax: 614/292-6126
 e-mail: bhushan.2@osu.edu

September 15, 1993

Dr. Zbigniew Kuznierewicz
 Warsaw University of Technology
 Institute of Design of Precision
 and Optical Instruments
 ul. Chodkiewicza 8
 02-525 Warszawa
 POLAND

Dear Dr. Kuznierewicz:

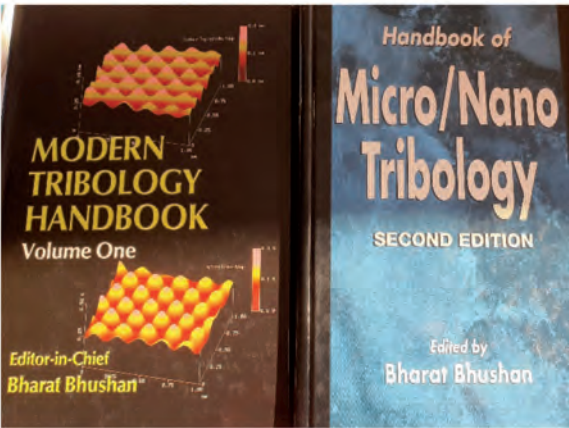
Thank you for your hospitality during my visit to Łaski. My family and I had a wonderful time. I invite you to visit my laboratory at your convenience. If your son is coming to U.S., please ask him to visit us.

Thanks again. With warmest regards,

Sincerely,

 Bharat Bhushan
 Ohio Eminent Scholar Professor

BB/cjb



Mieliśmy kontakty ze sławami w dziedzinie Micro/Nano Tribology

konsorcjum i uzyskaliśmy w 2012 roku 3-letni grant w ramach Programu Badań Stosowanych „Specjalistyczne hybrydowe łożyska toczne do zastosowania w przemyśle kosmicznym” – akronim „Rolokos”. Po zakończeniu grantu mieliśmy niesmarowane łożyska o trwałości na poziomie światowym. Dopiero dalsze moje prace w Zakładzie umożliwiły dopracowanie konstrukcji do poziomu trwałości przewyższającej łożyska smarowane. Obecnie w 2022 roku mam 3 wrzeciona, które pracują bez przerwy 6 lat, 24 h na dobę przy prędkości 5 000 obr/min pod obciążeniem wzdłużnym 50 N i wykonały 12 mld cykli bez śladów zużycia. Dopracowana konstrukcja i technologia w produkcji nie wymaga fabryki łożysk tocznych, wystarczy jedna tokarka-frezarka CNC do wykonania pierścieni oraz separatora. Kulki są dostępne na rynku. Bieżnie przez kulowanie są dogładzane, przez co nie jest wymagane szlifowanie. Zdaję sobie sprawę, że od pomysłu do wdrożenia w przemyśle jest daleka droga. Na razie skupiam się nad patentem, który uzyskałem w USA, Korei, Chinach, Rosji, walczę ze zgłoszeniami w Japonii, Indiach, EU i Kanadzie.



Narty wodne

Pod koniec lat 50 pojawiły się w Polsce narty wodne. Problem był z silnikami. W Międzyszkolnej Bazie Sportów Wodnych w Giżycku mieliśmy silnik z łodzi desantowej z okresu wojny. Moc była wystarczająca, aby wyciągnąć narciarza z wody, lecz ze slalomami były problemy. Początki były wystarczające, aby po rozpoczęciu studiów zapisać się do sekcji wyczynowej nart wodnych w Legii nad Wałem Miedzeszyńskim, obecnie na tym terenie znajduje się Ośrodek Rekreacyjny Klubu Dowództwa Garnizonu Warszawa. W latach 60. chyba było podobnie, bo przyjeżdżały Czajki z generalicją rozmawiającą po rosyjsku pojeździć sobie na nartach. Pamiętam przyjazdy generała Bordziłowskiego szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Sekcja w Legii zaczęła być aktywna po zakupieniu w Izraelu dwóch potężnych na tamten czas przyczepnych silników Johnson o pojemności 1200 cm³. Jazda na Wiśle w tamtym okresie sprawiała dużą przyjemność, nie wiem czy w obecnym czasie byłoby podobnie, chociaż zanieczyszczenie ze względu na brak oczyszczalni ścieków było znacznie większe. Kąpielówki należało mocno wiązać, bo przy prędkościach 40 km/godz. w kontakcie z wodą spadały. Raz mi się to przydarzyło, dobrze, że miałem kapok i na golasa nie musiałem wychodzić z motorówki. W początkowych latach studiów wakacje spędzałem w Giżycku w Międzyszkolnej Bazie Sportów Wodnych, szkółąc młodzież, między innymi z jazdy na nartach wodnych. Jedną ze szkolonych była córka zastępcy komendanta MO. Sądzę, że w latach późniejszych z tego powodu nie miałem kłopotów z uzyskaniem paszportu przy wyjazdach zagranicznych.

Pawłowski Jerzy, Andrzej Potyński

Pracownicy Katedry Konstrukcji Przyrządów Precyzyjnych Wydziału Mechaniki Precyzyjnej odpowiedzialni za konstrukcje dziurkarki D102 i czytnika CT1001. Wyjątkowy sukces w skali polskich uczelni. Na uczelni droga od pomysłu do produkcji jest bardzo daleka, tutaj mamy rzadki przypadek wyprodukowania około 3500 zestawów w ZMP Błonie. Miałem przyjemność przez wiele lat z nimi współpracować, dużo od nich się nauczyłem.

PWSAT2

W2013 roku zwróciła się do mnie grupa studentów z Wydziału MEiL: Inna Uvarova koordynator projektu, Ewelina Ryszawa – szefowa zespołu mechanicznego i Artur Łukasik wice-

koordynator projektu z prośbą o współpracę w części mechanicznej w projekcie PW-SAT2. Bardzo miło wspominać 5 lat wspólnie spędzonych nad projektem. Sądzę, że moja wiedza bardzo się przydała głównie przy konstruowaniu 4 m² żagla, jego systemów zwijania i otwierania. Żagiel z 4 masztami mieścił się w kubku o średnicy 80 mm i wysokości 60 mm. Emocji mieliśmy niesamowicie dużo od wystartowania rakiety Falcon 9 w marcu 2018 r., umieszczenie satelity na orbicie, uruchomienie wszystkich skonstruowanych urządzeń, aż do zakończenia z sukcesem misji w przewidzianym terminie – luty 2021. Grupa jest bardzo aktywna, spotykamy się kilka razy w roku, organizujemy rejsy żeglarskie. Najpierw Mazury potem dwa razy Chorwacja, a w 2021 roku po Morzu Jońskim na dwóch jachtach pływało 14 osób. Śledzimy wzajemnie kariery w branży kosmicznej, a ja przy okazji odmłodziłem się o kilkanaście lat. Grupa wykazała się wyjątkową aktywnością w czasach trudnych dla Ukrainy: zbiórka pieniędzy, szukanie zakwaterowania, transport.



Część zespołu projektu PW-SAT2 oraz w miłym towarzystwie studentów Wydziału MEil

Studium wojskowe

Od pierwszego roku studiów od II semestru (pierwszy semestr dotyczył praktyki w PZO) mieliśmy zajęcia z przysposobienia wojskowego w budynku na ul. Koszykowej 79 obecnie Szkoła Biznesu Politechniki Warszawskiej. W następnych latach, ponieważ byliśmy „uzbrojeniowcami”, część zajęć mieliśmy na WAT. Przygotowywano nas do wojny w ramach Układu Warszawskiego. Polska miała zająć Danię. Na VIII semestrze IV roku studiów skończyliśmy w czwartki przebierać się w mundury wojskowe, został nam tylko do zaliczenia obóz wojskowy w Wyższej Szkole Uzbrojenia w Olsztynie. Zajęcia w Studium przebiegały raczej bezproblemowo z wyjątkiem podpadniętych, którzy po zajęciach musieli odwozić broń do Jednostki Wojskowej na ul. 11 Listopada. Byłem jednym z tych podpadniętych. W akademiku na IV roku studiów

mieszkałem z Otto Dobiją (w latach 70. Naczelnik Dzielnicy Praga Południe), który był dowódcą kompanii, więc nie musiałem się martwić zaliczeniem obecności czy spóźnieniem. Z musztrą u mnie było wyjątkowo kiego. W czasie przeglądu pododdziałów na WAT w obecności generała kiego wypadłem, kładąc broń zrobiłem nieodpowiednią ilość kroków, spadła mi czapka oraz magazynek zaplątał się w kieszeni. Generał to wszystko zauważył i do kapitana Iskry prowadzącego nasz oddział, który liczył na awans powiedział, że „w cyrku był, tygrysy wytresowane widział, ale takiego cyrkowca jak ja to jeszcze nie widział”. Na pierwszych zajęciach dał mi do zrozumienia, że nie będę miał lekko, że będzie się spodziewał napisów na płocie „Iskra dupa” i że tak dostanę w kość, że zapamiętam to do końca życia. Od tej pory wracałem do akademika późną porą po odwiezieniu broni. Na obozie wojskowym też zaliczyliśmy wpadkę. Jeden dzień w tygodniu byliśmy oddelegowani do kuchni, naszym zajęciem była jedna z najgorszych prac, czyli obieranie ziemniaków. Wpadliśmy na pomysł, pomysłodawcą był chyba Tadek Ducal, żeby zamiast obierania wyszczotkować szczotkami ryżowymi. Po ugotowaniu okazało, że są nie do zjedzenia. Od tej pory czekała nas już najgorsza praca w kuchni – mycie garów.



Obóz wojskowy w Olsztynie – 1967 rok

Tryliński Władysław

Brat mojej Mamy. Pisanie książek było jego pasją, miał dużą pomoc ze strony małżonki, która skończyła polonistykę. Ilekroć wpadałem do niego, zastawałem go za regałem z książkami przy maszynie do pisania. Lubił spacerować, do pracy na uczelnię z Grójeckiej szedł pieszo

przez Pole Mokotowskie. W domu nikt nie palił i nie było żadnego alkoholu. W soboty od wielu lat chodził z małżonką na koncerty do Filharmonii Narodowej, miał wykupiony abonament. Jeżeli coś im wypadło, to prosił Zygmunta Rymuzę oraz mnie o skorzystanie z biletów. Do mebli i innych dóbr materialnych nie przywiązywał żadnej wagi, gdyż jego Rodzice w czasie I i II wojny światowej wszystko „stracili”. Jeszcze w latach 50. pamiętam puszki UNRRA z deskami tworzącymi regał na książki. W latach 70. próbował zacząć jeździć samochodem na podstawie ważnego przedwojennego prawa jazdy, ale szybko zrezygnował. Wbrew krążącym opiniom dotyczącymi łowienia ryb nie miał z nimi nic wspólnego. Sądzę, że w życiu żadnej nie złowił.

UWIPOM2

Po nagłej śmierci Zygmunta Rymuzy w 2015 roku, udało mi się ściągnąć do pracy w naszym Zakładzie Marcina Michałowskiego, który przejął po Zyguncie wszystkie wykłady. Marcin obronił pracę doktorską w 2019 roku i ostro zaangażował się w prace z dziedziny Mikrotribologii. Zorganizowaliśmy kolejne Sympozjum Microtribology'2017. Kontakty z Sympozjum zaowocowały grantem unijnym, weszliśmy do konsorcjum z Hiszpanami, Irlandczykami i Anglikami do projektu UWIPOM2, którego zadaniem jest opracowanie konstrukcji i wykonanie mikroroboty przeznaczonego do usuwania zatorów w krwioobieg. Nareszcie pracujemy zgodnie z nazwą Instytutu Mikromechaniki i Fotoniki. Mikrorobot ma wymiary poniżej 1 mm. Zajmujemy się ułożyskowaniem, którego kulki mają średnice 50 μm , chowają się w liniach papilarnych, są niewyczuwalne. Współpracujemy z Darkiem Jarząbkim i jego doktorantami Michałem Milczarkiem i Piotrem Jęczykiem z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN, Bogdanem Warcholińskim z Politechniki Koszalińskiej oraz zatrudniliśmy mojego dyplomanta Grzegorza Relidzińskiego i 2 studentów Mateusza Samsela i Artura Hańko.

Żeglarstwo

Mając 3 miesiące w 1945 roku szczęśliwie przyjechałem z bratem i rodzicami z Litwy Kowieńskiej do Giżycka. Szczęśliwie, bo rodzice byli już w transporcie na wschód Rosji. Reszta mojej rodziny mieszkająca na Litwie nie miała tyle szczęścia, wróciła do Polski z zesłania dopiero w 1955 roku. Skorzystaliśmy z infrastruktury poniemieckiej i zamieszkaliśmy nad kanałem Łuczańskim łączącym jeziora Niegocin z Kisajnem. Młodość spędzałem nad wodą. Rodzice zapisali mnie do

pierwszej w Polsce szkółki żeglarskiej tworzonej zgodnie z systemem radzieckim. Zajęcia mieliśmy w obecnym COS-e nad Kisajnem, pływaliśmy na BM i ponemieckich jachtach. Następnie przepisałem się do LPŻ (Liga Przyjaciół Żołnierza) mieszczącej się w ponemieckim porcie nad Niegocinem. Do dyspozycji mieliśmy piękne ponemieckie balastowe jachty: „Maria”, „Pajac”, „Wodnik”, dwie polskie 8-metrowe mieczówki „Zorzę” i „Świt” oraz 12 szkoleniowych wiosłowo-żaglowych DZ. W 1959 roku powołaliśmy przy LPŻ (byłem jednym z założycieli) klub Międzyszkolna Baza Sportów Wodnych (w 2019 roku obchodziliśmy 60-lecie założenia tego klubu). Został nam przekazany z COS-u do remontu 8 metrowy ponemiecki jacht mahoniowy mieczowo-balastowy. Po remoncie była to nasza flagowa jednostka, dostała nazwę „Wiedźma”, na której prowadziliśmy szereg rejsów po jeziorach mazurskich.



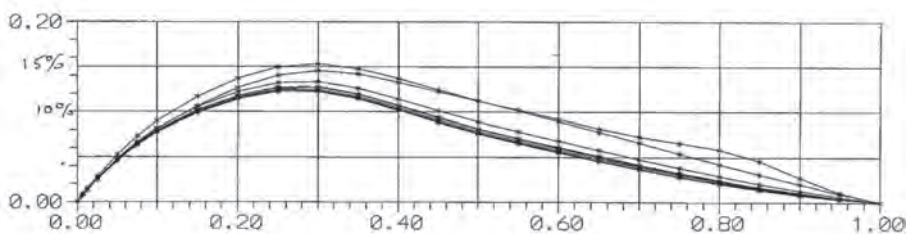
Jacht balastowo mieczowy „Wiedźma”

Szybko zdobywałem stopnie żeglarskie. W wieku 14 lat stopień żeglarza, 16 lat stopień sternika jachtowego. W wieku 16 i 17 lat dwukrotnie brałem udział w bojerowych Mistrzostwach Polski w klasie Monotyp XV. Byłem reprezentantem klubu w klasie Cadet. Epizodyczną współpracę z Politechniką Warszawską zacząłem jeszcze w szkole średniej. Ze szkoły zostałem delegowany na tydzień do testowania próbnego egzemplarza radarowego miernika prędkości wykonanego na Wydziale Łączności

Politechniki Warszawskiej. Na rufie bojera zamocowaliśmy wykonany ze stalowej blachy ostrosłup ścięty o podstawie czworokąta. Cały czas byłem uczniem Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego nr 7 im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Giżycku. Miałem w tym czasie chyba nadpobudliwość psychoruchową, czyli ADHD, oceny ze sprawowania na poziomie 3 oraz dwukrotnie zawieszony w prawach ucznia. Najgorsze zawieszenie było w klasie maturalnej, przez 6 miesięcy nie miałem wstępu do szkoły. Szczęśliwie zdałem maturę i zdałem egzamin wstępny na Wydział Mechaniki Precyzyjnej. Już w kwietniu 1964 roku miałem legitymację nr 1150 Warszawskiego Yacht Clubu ZSP. Spotkania mieliśmy na Uniwerku, potem szliśmy do „Domu Chłopa” przy Placu Powstańców Warszawy na piwo i kończyliśmy spotkanie jak cały stół był zastawiony pustymi butelkami. Przez Zarząd YC ZSP byłem wykorzystywany do szkolenia studentów i pracowników Politechniki Warszawskiej. Miałem w Gmachu Głównym zajęcia na stopień żeglarsza z teorii żeglowania, szczęśliwie nikt mnie nie zagiął na rozkładzie sił na żaglu, sterze i mieczu. W Gmachu Instytutu Techniki Ciepłej miałem zajęcia na stopień żeglarsza lodowego dotyczące bezpieczeństwa na łodzi. Opowiadałem między innymi z własnego doświadczenia sposoby wydostania się z załamane go lodu. Opowiadałem jak lód pode mną się załamał i wykorzystując siłę wyporu udało mi się wyskoczyć ciałem nad lód. W późniejszych latach prowadząc zajęcia z młodzieżą na basenie na Konopnickiej ćwiczyliśmy wynurzenie się z wody na wysokość poniżej kolan. Odpowiednie zanurzenie, praca nóg i rąk umożliwia bez kłopotów wejście do łodzi regatowej po wywrotce. Pamiętam jak podczas zajęć bojerowych użyłem sformułowania „dostać kopyto” podczas przejścia z kursu bejdewind do baksztagu. Na III roku studiów miałem zajęcia z TMM a prowadzącym był uczestnik kursu mgr inż. Kopyt – było mi trochę głupio. Podczas studiów w czasie wakacji prowadziłem z kolegą obozy żeglarskie dla młodzieży szkolnej jak również z poprawczaka. Dofinansowanie z Kuratorium było kiepskie, ale dawaliśmy sobie doskonale radę, kupując prawie codziennie wiadrami w Rybaczówkach okonki po 2 zł za kg. Najgorsze było skrobanie, na taśmie byłem pierwszy, miałem dopracowany system z wykorzystaniem brzeszczotu z piłki do metalu, następny był od patroszenia, kolejni od mycia, solenia, panierowania w mące, krojenia chleba i pomidorów, i smażenia na oleju. Mieliśmy specjalny ruszt oraz dwie potężne patelnie. System się sprawdzał, w ciągu 2 h 20 osób było najedzonych. Pomysły tej młodzieży były trudne do przewidzenia, np. w Mikołajkach na pomoście maszerowali i śpiewali hitlerowskie marsze, w Rucianem ukradli kury z kurnika czy starali się złapać łabędzia siedzącego na jajach.

Już po studiach w lipcu 1970 roku jako młodzi pracownicy naukowci korzystaliśmy z jachtów MBSW w Giżycku, m.in. z „Wiedźmy”. Pamiętam, że Krzyśka Marciniaka wysłaliśmy po pieczywo z przystani na jeziorze Świącajty do Węgorzewa zaś z Józkiem Szabanem i Jackiem Banasiakiem chodziliśmy w miejscowości Ogonki po wiejskich chałupach w poszukiwaniu kurzych jaj. Kolejny rejs we wrześniu 1971 roku był z pracownikami Zakładu Podstaw Konstrukcji: Basią Kajdańską, Andrzejem Potyńskim i Zygmuntem Rymuzą. Pamiętam, jak płynąc Kanałem Łuczańskim przy moście obrotowym dzieci wracające ze szkoły krzyczały „piekarz, piekarz” wskazując na nieopalonego Andrzeja Potyńskiego. W sierpniu 1972 miałem ślub na jachcie „Wiedźma”. Na uroczystość przyjechali pracownicy z naszego Zakładu Podstaw Konstrukcji: Jerzy Biedrzycki, Jerzy Pawłowski i Piotr Tereszczuk. W następnych latach związałem się z Jacht Klubem Politechniki Warszawskiej, „kapciorek” mieliśmy na Wydziale Elektroniki, zaś warsztat z jachtami pod stołówką na terenie Gmachu Głównego. Pod koniec lat 70. założyliśmy 11-osobową „maszoperię” budującą jachty konstrukcji Andrzeja Skrzata „Sportina”. Wyklepaliliśmy 11 skorup z włókna szklanego i żywicy w miłym towarzystwie, m.in. Andrzeja Smirnowa, Henryka Supronowicza, Wojtka Kohlmana, Andrzeja Kielaka w budynku Wydziału Budownictwa na ul. Józefa Bema. Opowiadam studentom podczas zajęć z Tribologii o sytuacji, która mi się przydarzyła w tamtym okresie. Pojechałem samochodem do huty w Kętach po 11 duralowych profili masztów do naszych jachtów. Przyczepę do dłużyc dostałem z Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych, do Kęt dojechałem bez problemów, droga powrotna zajęła mi 1,5 dnia. Okazało się, że przyczepa miała założone do testowania łożyska ślizgowe zamiast tradycyjnych łożysk tocznych. Pod obciążeniem łożyska się zacierały ze względu na przekroczenie iloczynu pv, dopiero zmniejszenie prędkości samochodu do 20 km/h oraz polewanie łożysk olejem umożliwiło mi dojechanie do Warszawy. W Jacht Klubie Politechniki Warszawskiej mieliśmy kilka jachtów, organizowane były rejsy morskie i śródlądowe. Ja korzystałem w czasie wakacji z jachtu „Kos” klasy „Carina” – były to początki przyuczania mojego syna Mateusza do żeglowania. Odsunięcie mnie w latach 90. od spraw organizacyjnych na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej umożliwiło moje mocniejsze zaangażowanie w sprawy żeglarskie. Na początku lat 90. zostałem wybrany na 4-letnią kadencję wicekomandora ds. sportu w YKP Warszawa, zaś w roku 1994 na Sekretarza Kapitanatu Sportowego w Polskim Związku Żeglarskim. Moim głównym zadaniem były prace organizacyjne związane z przygotowaniem do zbliżających się w 1996 roku Igrzysk Olimpijskich w Atlancie.

Żeglowałem równoległe z Mateuszem na łodzi klasy OK-Dinghy, brałem dwukrotnie udział w Mistrzostwach Polski oraz byłem przez dwa lata wiceprezydentem międzynarodowej klasy OK-Dinghy – organizowałem w Pucku Mistrzostwa Świata. Do przygotowań do Igrzysk Olimpijskich zaangażowałem Krzysztofa Kubryńskiego – specjalistę od aerodynamiki z Wydziału MEiL. Opracował mi optymalny kształt żagla na słabe wiatry, kąty wejścia, głębokości przekrojów na różnych wysokościach dla jachtu klasy Finn. Wiele czasu z Mateuszem poświęciłem na dopasowanie ugięć masztu do kształtu żagla. Maszt w klasie Finn jest obrotowy bez olinowania stałego wykonany z włókna węglowego. Z Dominikiem Życkim, sparringpartnerem Mateusza, studentem Wydziału MEiL dopracowywaliśmy kształt masztu, korzystając z pomieszczeń Laboratorium Struktur Kompozytowych na Wydziale MEiL. Praca okazała się wielkim sukcesem. Mateusz wygrał 3 wyścigi słabowiatrowe, co w dużej mierze przyczyniło się do zdobycia złotego medalu na Igrzyskach Olimpijskich w Atlancie.



*Profile żagla klasy Finn w przekrojach na różnych wysokościach,
opracowanie Krzysztofa Kubryńskiego*

W latach późniejszych, korzystając z konsultacji u Prof. Roberta Sitnika, dopracowałem program komputerowy PhotoModeler do analizy kształtu żagla, masztu, olinowania. Mając do dyspozycji odpowiedni aparat, odpowiedni obiektyw, podczas światowych regat mistrzowskich robiłem „szpiegowskie” zdjęcia z odległości około 60 m jachtom wszystkich czołowych zawodników kilku klas olimpijskich. Wykonane zdjęcia z widocznym szwami na brytach żagli obrabiałem komputerowo do postaci 3D i AutoCada. Kształt żagli, ugięcia masztu, olinowania uzyskiwałem w wielu przypadkach z niedokładnością nieprzekraczającą kilku milimetrów. Wyniki badań przedstawiałem na zgrupowaniach trenerom i zawodnikom jako trener techniczny Związku. Dużo czasu poświęcałem na analizę zwrotów i jazdy na fali z wykorzystaniem GPS o częstotliwości 10 Hz. Z Mateuszem planujemy między innymi te informacje

opisać w monografii dotyczącej teorii żeglowania. Okazuje się, że w sporcie znacznie łatwiej jest uzyskać Nagrodę Ministra Edukacji Narodowej i Sportu niż w edukacji. Otrzymane Nagrody Ministra Edukacji Narodowej i Sportu: Nagroda Zespołowa Drugiego Stopnia (2003) oraz Nagroda Indywidualna Pierwszego Stopnia (2004), a także dwie Nagrody Zespołowe Drugiego Stopnia Ministra Sportu i Turystyki (2010, 2011).

Andrzej Kozinski



Studia: 1964–1970
Specjalność: Automatyka Mechaniczna

ŻYCIORYS PODRÓŻAMI PISANY

<http://andrzejkozinski.pl.tl/>

Wstęp

Do napisania wspomnień zbierałem się już dawno, ale ciągle dochodziły nowe podróże, kolejne wydarzenia itd. Teraz nie tylko nowe fale pandemii, brak możliwości planowania i realizowania następnych wypraw, ale... i..... niestety od maja b.r. zmagam się z rakiem i trudno mi przewidzieć, jak ta walka się zakończy, czyli nie ma wyjścia i trzeba pisać.

Z przykrością obserwowałem falstarty do lepszego świata moich kolegów z grupy i rocznika: **Edek Kopeć** 12.12.1999, **Andrzej Zrzelski** 16.04.2009, **Jadzia Karpowicz-Plewka** 14.03.2013, **Jadwiga Janczewska** 23.06.2016, **Jacek Borowicz** 11.06. 2018, **Wojtek Sołtan** 22.09.2019, **Marek Stobnicki** 18.07.2020, którego pożegnaliśmy dopiero kilka dni temu **R.I.P.**

Za rok 60-lecie naszego wydziału. Ma ukazać się III tom wspomnień absolwentów i obym tylko zdążył napisać i przekazać Frankowi Szafrzańskiemu.

Dzieciństwo i dwie szkoły podstawowe

Podany na wstępie link do mojej strony internetowej przyda się jeszcze wielokrotnie i dlatego tylko w skrócie wspomnę, że korzenie mojej rodziny, ustalone w trakcie tworzenia drzewa genealogicznego na bazie oryginalnych dokumentów źródłowych (akt urodzenia, ślubów i zgonów), sięgają od prawie 300 lat CZERWIŃSKA NAD WISŁĄ, a od ok. 200 lat była to już rodzina wodniaków i wszyscy zajmowali się transportem na barkach typu berlinka (wielka barka transportowa z częścią mieszkalną). Nic więc dziwnego, że w podeszłym wieku byli szyprowie musieli kupować domy i przez sentyment wzdłuż Wisły. Mój dziadek i jeden z jego braci wybrali Płock. Paradoksem jest tylko to, że wspomniały dom mojego pradziadka nadal jest w Czerwińsku nad Wisłą, natomiast domy czynszowe dziadka (było to źródło utrzymania dla rodziny, bo systemy emerytalne wtedy nie istniały) zostały w latach sześćdziesiątych wywłaszczone i zburzone, a pusty plac pozostał? Moje dzieciństwo w starym i pięknie położonym, na wzgórzu tumskim nad Wisłą, Płocku było bardzo bogate i urozmaicone dzięki temu, że oboje rodziców to nauczyciele i nie tylko zasady wychowawcze miałem narzucone i egzekwowane, ale również zwiedziłem spory kawałek kraju w okresie długich wakacji letnich i często ferii zimowych. Co do tych zasad, to rodzice uważali, że dziecko nie ma prawa się nudzić i tracić czasu na bieganie i urwisowanie, a więc oprócz szkoły podstawowej musiałem uczęszczać do szkoły muzycznej, która wtedy była 7-letnia ... ale nie na pianino (wtedy niedostępne i bardzo drogie) ... a na skrzypce!!! Dla mnie była to wręcz kara, usiłowałem protestować i jedyne korepetycje, jakie kiedykolwiek mógłbym mieć w życiu, były właśnie!!! Okazało się jednak szybko, że dzięki tym skrzypcom otwierały mi się szerokie możliwości turystyczne, a później nawet zarobkowe i doceniłem wysiłek moich rodziców (mój młodszy brat również) tak dalece, że podobne zasady stosowaliśmy później w wychowaniu własnych dzieci i wszystkie uczęszczały do szkoły muzycznej... ale już na łatwiejsze instrumenty. Dwie szkoły to lepsza organizacja czasu, ale również trening odporności na stres. W wakacje, po 7 klasie, dzięki tym umiejętnościom, zostałem zakwalifikowany na kolonie z dziećmi polonii zagranicznej w Mogielnicyale o tym napiszę dalej.

Szkoła średnia, już ponad 830 lat licząca!!! ... Małachowianka

Na wspomniane kolonie miały przylecieć dzieci z Francji. Niestety udaremniły to wzmożone zamachy terrorystyczne i zamknięcie granic. Dotarł jednak jeden uczestnik, bo jakimś trafem był już w Polsce w odwiedzinach u rodziny i został dowieziony prywatnym samochodem. Miałem wyjątkowe szczęście, że ten mały Francuzik, którego matka była Polką, trafił do mojego pokoju i szybko zaprzyjaźniliśmy się na tyle, że jeszcze w trakcie tych kolonii nasze mamy ustaliły korespondencyjnie mój pobyt w następne wakacje we Francji. W szkole średniej były do wyboru języki (oprócz obowiązkowego wówczas rosyjskiego) i w tej sytuacji wybraliśmy (ja wraz z rodzicami) oczywiście francuski, którego nauczała starsza siostra Tadeusza (również absolwenta tej szkoły) Krystyna Mazowiecka. Później okazało się, że wprawdzie to język dyplomatyczny, ale coraz mniej przydatny w licznych podróżach, no może z wyjątkiem byłych kolonii francuskich oraz dwóch departamentów zamorskich.

Mój znak zodiaku to strzelec, a więc podróżowanie mam genetycznie już uwarunkowane i po zwiedzaniu kraju, wraz z rodzicami, przyszedł czas na podróż za miedzę, co wtedy nie było takie łatwe (paszporty na milicji!!!), ale te znieawidzone wcześniej skrzypce okazały się bardzo przydatne, bo trafiłem do kapeli zespołu pieśni i tańca „DZIECI PŁOCKA” i w ramach wymiany zespołów folklorystycznych mogłem odwiedzać inne kraje. Później zresztą również, bo grałem w kapelach wielu zespołów, w tym Politechniki. Moim marzeniem były studia na wydziale Architektury i brałem nawet udział w otwartych spotkaniach wydziałowych dla przyszłych kandydatów. Wtedy można było podróżować jeszcze z Płocka do Warszawy statkiem, co stanowiło dodatkową atrakcję i dlatego korzystałem z niej wielokrotnie, bo na trasie miałem wiele przystani, a wśród nich również Czerwińsk nad Wisłą. Podróż trwała wprawdzie 8 godzin, statki wypływały codziennie z Płocka i Warszawy o godz. 8,00, były zniżki dla uczniów itd. jak w każdej regularnej komunikacji. Teraz to już wspomnienie sentymentalne, bo Wisła jest praktycznie martwa i tylko kajakiem można zrealizować taką podróż. Egzamin konkursowy z rysunku wybił mi w końcu z głowy mrzonki o architekturze i uzasadniony już wybór padł na Mechanikę Precyzyjną, bo takie potrzeby zgłaszała kombinat petrochemiczny, który właśnie w Płocku powstawał i rozbudowywał się.

Jak radzić sobie na studiach bez stypendium... (1964–1970)

Kilka zdań na temat egzaminu wstępnego, bo chyba wszyscy to wspominają. Ojciec mój był matematykiem, ojciec chrzestny też i mieszkał przy ul. Łowickiej, tuż obok siedziby ówczesnej Mechaniki Precyzyjnej. Rodzice przyjechali oczywiście wraz ze mną do Warszawy i czekali na ławeczce, co miało mi dodać otuchy. Egzamin pisemny z matematyki napisałem jako jeden z pierwszych i wyszedłem z budynku, by pochwalić się swoim matematykom. Zostałem jednak zrugany za to, że zamiast wszystko dokładnie kilka razy sprawdzić itd. ... wyszedłem przed czasem. Tłumaczyłem się pokrętnie, że nie chciałem podpaść, dając ściągę, ale nic to nie pomogło i dopiero gdy sprawdzono komisyjnie prawidłowość moich rozwiązań i stwierdzono, że wszystko jest zrobione dobrze, dostałem pochwałę. Matematyki nie obawiałem się, ale już bardziej egzaminu z fizyki, ale tu pomogła mi ponownie szkoła muzyczna, bo jedno z pytań było o dźwiękach, a pozostałe dwa wzbudzały już mój poważny niepokój. Co było jednak robić i co zrobić, by te dwa kłopotliwe pytania jakoś obejść (czytaj: pominąć). Pomógł mi wrodzony żydowski spryt i pokerowe zagranie: zapytałem czy mogę odpowiadać w innej kolejności, a uzyskując na to zgodę zacząłem BARDZO długi wywód na temat dźwięków, szmerów, półtonów, oktaw itd..... aż mi w końcu przezwali i podziękowali, bo sami byli zaskoczeni informacjami, o których może nie słyszeli, a ja miałem to w jednym palcu po wykładach z teorii muzyki. I tak to dostałem się do najlepszej grupy MP13 (w ocenie pierwszorocznych na całej Politechnice Warszawskiej), za co dostaliśmy nagrodę Rektora. Po drugim roku studiów zorganizowaliśmy całą grupą wakacyjny obóz na Polanie Chochołowskiej. Nie miałem stypendium, musiałem płacić za akademik i pełną kwotę za wyżywienie. Dorabiałem trochę korepetycjami i pracami porządkowymi w spółdzielni „Maniuś”, ale znalazłem inne rozwiązanie: pracę w komisjach stołówkowych. Czy ktoś takowe jeszcze pamięta? Zbierałem więc punkty za działalność społeczną, ale i mogłem sporo zaoszczędzić. W kolejnych szczeblach tej kariery awansowałem kolejno na kierownika komisji stołówkowej na Koszykowej, dalej na kierownika sekcji żywienia przy KE ZSP PW a w końcu na analogiczne stanowisko przy Radzie Okręgowej ZSP z uprawnieniami, które dawała mi legitymacja służbowa: kontroli nie tylko wszystkich stołówek studenckich w Warszawie, ale i na terenie całego kraju. Miałem też prawo skorzystania bezpłatnie z pokoju gościnnego w każdym domu studenckim poza Warszawą.

Nie była to jedyna działalność, bo grałem również na skrzypcach w kapeli zespołu folklorystycznego Politechniki. Przed wyborem specjalności, a wszystkie mi odpowiadały i miałem nawet problem, na którą się zdecydować, podjąłem rozmowy z kombinatem w Płocku i podpisałem umowę przedwstępną na podjęcie pracy w pionie automatyki, czyli wszystko stało się już jasne. Dostałem stypendium fundowane oraz gwarancję mieszkaniową, co wówczas było istotne dla młodych rodzin. Ożeniłem się również jako jeden z pierwszych, bo w kwietniu 1968 roku, a studia zakończyłem już z dwójką dzieci. W okresie studiów odbyłem praktykę w Charkowie w instytucie maszyn matematycznych. Zorganizowano nam dwie ciekawe wycieczki: do Moskwy i tygodniową na Krym. Zapisałem się również na studencki obóz pracy w CSSR, w wakacje 1967 roku, gdzie pracowaliśmy przy budowie żłobka w Ziar nad Hronom (kupiłem kasilon na ślubny kostium!), a później zorganizowano nam ciekawą wycieczkę do Bratysławy, Brna i Pragi. Wcześniej, bo w wakacje po pierwszym roku studiów, odwiedziłem Francję i udało mi się dość dokładnie poznać Ardenny, Reims i Paryż oraz podszlifować język francuski. Lądowanie na księżycu oglądałem w Budapeszcie, podczas wycieczki autokarowej do Rumunii i tak to wyglądały moje pierwsze podróże. Pracę dyplomową pisałem pod kierunkiem **dr. Marka Żelaznego** i tu również przydał mi się język francuski, bo tylko w tym języku była dostępna część potrzebnej mi literatury. Dyplom obroniłem 15 maja 1970 r. z wynikiem dobrym, a już 1 czerwca stawiłem się do pracy i spotkała mnie pierwsza niespodzianka: mieszkanie mogły dostać tylko osoby zamiejscowe, a ja od urodzenia byłem na stałe zameldowany w Płocku!!! Całe szczęście, że moja żona była z Darłowa, a więc szybko tam zameldowałem się na pobyt stały. Prawo do większego mieszkania (jeden pokój więcej) przysługiwało nauczycielom, a więc żona podjęła pracę w liceum i tak to wtedy trzeba było sobie radzić. Miałem też jednak trochę szczęścia, bo gwarancja mieszkaniowa była półtoraroczna, ale na mieszkanie spółdzielcze, a nagle zwolnił się i był do zasiedlenia budynek z mieszkaniami zakładowymi, gdzie kryterium dochodowe wynosiło max 800 zł na członka rodziny, przy moim 1600 zł brutto na stażu oczywiście dostałem to mieszkanie i to już po kilku miesiącach pracy.

Garść wspomnień z pierwszych lat pracy jako automatyka

Dość szybko zorientowałem się, że mam wielu starszych kolegów automatyków po Mechanice Precyzyjnej: **Janusza Śliwińskiego**, **Czesława Żuchowskiego** i **Andrzeja Wesołowskiego**. Jak wszyscy inni, zaczynałem od stażu na instalacjach produkcyjnych, później przeniesiony zostałem do działu techniczno-rozwojowego w pionie Gł. Automatyka i szybko awansowałem na kierownika działu automatyki pneumatycznej, w skład którego wchodziły również m.in. pracownie: manometryczna i termometryczna, przez co miałem częsty kontakt z Głównym Urzędem Miar, gdzie pracowało wielu kolegów z MP. Wspominam o tym m.in. dlatego, że reprezentowałem raczej zasobny zakład pracy i mogłem sobie pozwolić na zakupy znacznie lepszej (czytaj: droższej) aparatury pomiarowej, co w efekcie uniezależniło moje pracownie od współpracy z GUM; mogliśmy bowiem już sami legalizować manometry kontrolne, bo wcześniej tylko manometry przemysłowe. Analogicznie było z termometrami. Miło mi też było gościć w moich pracowniach **prof. H.J. Leśkiewicza** i **dr Marka Żelaznego**. Oprócz pracy zawodowej z dużą pasją oddałem się działalności w S.I.T.P.Chem. i udało mi się stworzyć największe wówczas w kraju KOŁO AUTOMATYKÓW. Ukoronowaniem tej działalności była zorganizowana w 1975 r. konferencja naukowo-techniczna: „AUTOMATYZACJA W PRZEMYSŁE CHEMICZNYM”, w której wzięło udział kilkuset uczestników z kraju oraz wielu gości zagranicznych, głównie z zaprzyjaźnionych kombinatów zasilanych Rurociągiem „Przyjaźń”. Zakłady te odwiedzaliśmy również w ramach wymiany doświadczeń podczas wycieczek organizowanych przez zakładowy K.T.iR. Wielu moich kolegów automatyków po M.P. miało styczność z kombinatem poprzez firmy, które instalowały bądź konserwowały aparaturę pneumatyczną i elektroniczną. Oczywiście była w tych czasach przyjaźń polsko-radziecka i przynależność zakładu do TPPR. Mogliśmy dzięki temu zakupić jeden skład „pociągu przyjaźni” i zwiedzić po trasie Moskwę, Kalinin i Leningrad. Była to chyba największa grupowa wycieczka zakładowa. Rozgrywki personalne zmusiły mnie jednak do rozwiązania umowy (za porozumieniem stron) i w 1976 roku pożegnałem się z kombinatem. Dyrektorem zakładu był wówczas prof. Włodzimierz Kotowski i tylko dzięki niemu, przez bezpośrednie wspieranie moich działań, konferencja odniosła aż tak wielki sukces, ale i zazdrość organizacji społeczno-politycznych, takie czasy to były, niestety.

Krajowa konferencja naukowo-techniczna w MZRiP Automatyzacja w przemyśle chemicznym

Przy współdziałaniu Ministerstwa Przemysłu Chemicznego i resortowego Ośrodka Badań Rozwojowych „Chemautomatyka” zorganizowana została przez Koło Automatyków Stowarzyszenia Inżynierów, Techników Przemysłu Chemicznego przy MZRiP konferencja związana z obchodami 25-lecia NOT w Płocku oraz 20-lecia Służby Pomiarów i Automatyki w resorcie przemysłu chemicznego. Konferencja odbyła się w dniach 9—11 października 1975 r. Obrady odbywały się w Domu Technika i Sali Kinowej MZRiP, zakładu najbardziej zautomatyzowanego w polskiej chemii. Świadczy o tym liczba 60 tys. zainstalowanych urządzeń pomiarowo-regulacyjnych z ponad 250 firm krajowych i zagranicznych.

W konferencji wzięło udział ogółm ok. 350 przedstawicieli zakładów resortowych (62%), producentów środków automatyki (22%), wyższych uczelni technicznych (14%) oraz bratnich kombinatów petrochemicznych z NRD, CSSR, WRL i BRL.

Program konferencji obejmował obrady plenarne, obrady w sekcjach specjalistycznych,

zwiedzanie zakładu, wymianę doświadczeń technicznych z kierownictwem MZRiP oraz wręczenie dyplomów z okazji 20-lecia i Odznak Honorowych Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego. Organizatorzy przygotowali również szereg imprez towarzyszących, jak:

- wystawę aparatury pomiarowo-regulacyjnej, prezentującej nowości 16 producentów krajowych,
- kiermasz książki specjalistycznej,
- wystawę fotograficzną „Automatyzacja w MZRiP Płock”,
- spotkanie przedstawicieli zakładowych Kół Automatyków NOT,
- giełdę potrzeb urządzeń pomiarowych w resorcie przemysłu chemicznego,
- stoisko filatelistyczne z kopertą i datownikiem okolicznościowym,
- spotkanie „okrągłego stołu” na temat szkolenia kadr.

Ogółm zakwalifikowano 66 referatów do czterech niżej wymienionych sekcji:



Płock 9.X.1975 r. Prezydium Konferencji. Przemawia mgr inż. Andrzej Dankowski — dyrektor MZRiP. Za stołem prezydialnym od lewej: dr inż. Jakub Chojnacki — Prezes TNP, inż. Witold Putz — główny specjalista ds. automatyki i pomiarów MPChem, mgr Bogdan Kurant — sekretarz generalny SITPChem, mgr inż. Stanisław Miernik — wiceminister Przemysłu Chemicznego, dr inż. Andrzej Płaskowski — dyrektor „Chemautomatyki” i Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego konferencji, inż. Czesław Dacko dyrektor Departamentu Utrzymania Ruchu i Ochrony Środowiska MPChem

1. Aparatura pomiarów i automatyki stosowanej w przemyśle chemicznym.
2. Urządzenia pomiarów i automatyki w obiektach przemysłu chemicznego zagrożonych wybuchem.
3. Automatyzacja procesów chemicznych.
4. Systemy komputerowe do sterowania procesów.

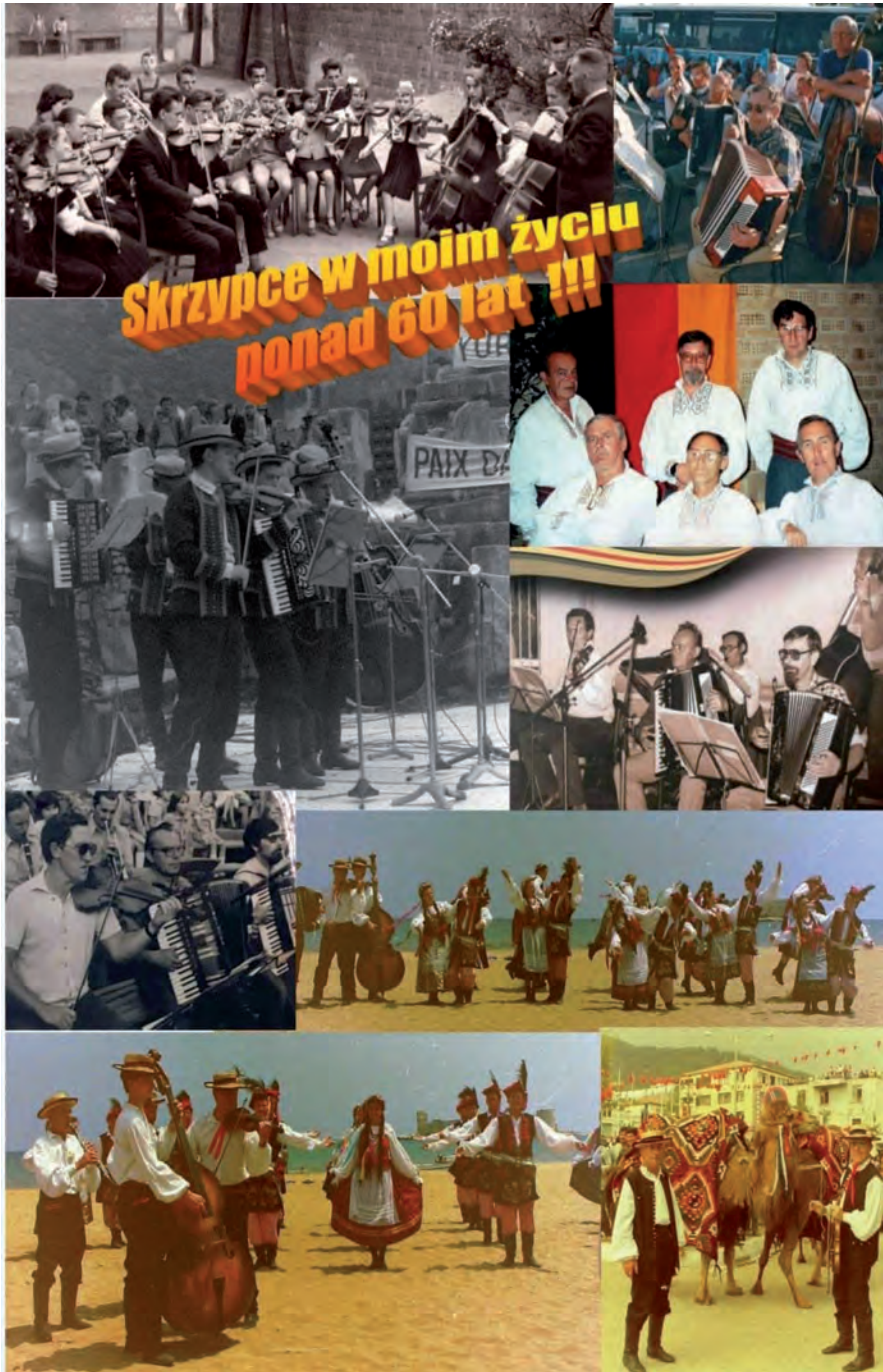
Wszyscy uczestnicy otrzymali komplet (5 tomów) wydrukowanych referatów o łącznej obję-

tości ok. 900 stron. Materiały te są również do wglądu dla zainteresowanych w Bibliotece Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Goście honorowi, przedstawiciele Ministerstwa Przemysłu Chemicznego i delegacja automatyków z kombinatu z Schwedt — NRD, na zaproszenie Prezesa TNP dr. inż. Jakuba Chojnackiego, odwiedziła Liceum im. marszałka St. Małachowskiego oraz zapoznana się z historią i zbiorami Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Życiorysu zawodowego ciąg dalszy

Pneumatyka była coraz bardziej wypierana przez bezpieczne rozwiązania automatyki elektronicznej, a więc nie było mi żal poznać i rozwijać się w innych kierunkach. Przez to, albo też dzięki temu, miałem okazję zdobyć doświadczenie zawodowe w znacznie szerszym zakresie i to zarówno w aspekcie poznawania coraz to nowych dziedzin techniki, jak również oceniania swoich możliwości i zdolności organizacyjnych oraz kierowniczych. Z problemami utrzymania ruchu zapoznałem się na stanowiskach głównego mechanika i dyrektora ds. technicznych, przez wiele lat mogłem sprawdzać się jako konstruktor, ale największe doświadczenie zdobyłem, pracując na stanowiskach kierowniczych związanych z przygotowaniem i realizacją inwestycji. Były to nie tylko działania ściśle techniczne, ale również i te związane najpierw z pomocą w uzyskaniu kredytów, wykazywania zdolności kredytowej, aż po odbiór i rozliczenie zadania inwestycyjnego. Pierwszym zadaniem inwestycyjnym była filia FSO w Płocku, tzn. Zakład Wykładzin Samochodowych. Później kilkadziesiąt inwestycji w całym województwie płockim z zakresu rolno-spożywczego (piekarnie, masarnie, ubojnie, sklepy, magazyny zbożowe, restauracje itp.), a w końcu budowa sieci banków PKO na terenie woj. płockiego i włocławskiego; tylko w tym przypadku nie było problemów finansowych. Kierowałem również działalnością w zakresie nowych uruchomień (w tym zespołem badawczo-wdrożeniowym) – przetwórstwo tworzyw sztucznych metodą wytłaczania. Uruchamianie produkcji antyimportowej to kolejny ciekawy fragment mojego życiorysu zawodowego, a również przygotowywanie upadających zakładów do prywatyzacji drogą dzielenia ich na mniejsze jednostki samofinansujące się. Szkoła muzyczna pomogła mi kolejny raz i wygrałem konkurs na dyrektora produkcji firmy płytowej „ARSTON”. Jednym z ostatnich były MPIMP „IZOLACJA” Małkinia, gdzie jako dyrektor techniczny próbowałem wyeliminować azbest i zastąpić go włóknami polietylenowymi przy produkcji tzw. eternitu (płyt cementowych). Tego typu rozwiązanie zastosowali już w Danii, ale import komponentów był zbyt wysoki, a OBR przy kombinacie w Płocku nie wykazał zainteresowania, by opracować podobny produkt. Nie będę więcej zanudzał i na tym zakończę.



Pora kilka słów wspomnieć o ciekawszych podróżach

... bo zdjęcia są i będą zawsze dostępne na mojej stronie internetowej. Pomijam wszystkie drobniejsze, a było ich setki, wymienię tylko te, które w mojej ocenie uznaję za szczególnie interesujące i warte polecenia. Pierwszą taką był rejs z Władystoku do Japonii i na Filipiny, a datę będę pamiętał, bo coś szczególnie przytrafiło mi się w Tokio, tort urodzinowy na 200 osób, bo tyle liczyła międzynarodowa grupa uczestników, a ja wtedy skończyłem dokładnie 30 lat, czyli 24 listopada 1976 roku. W czasie rejsu zaskoczył nas potężny tajfun, co jednak nie zniechęciło mnie do podróży dalekomorskich i w kolejnych latach, aż do złomowania statku, zaliczyłem kilka rejsów Stefanem Batorym. Były Wyspy Kanaryjskie, dwukrotnie Morze Śródziemne, Karaiby i Ameryka Południowa oraz fantastyczne widokowo fiordy norweskie. Dlaczego teraz nie mamy żadnego promu ani statku wycieczkowego, a w okresie międzywojennym mieliśmy ich kilka? Statek to najlepszy środek transportu na długie wycieczki!!! Ciekawsze wyprawy, już samolotami, to antypody, a więc obie wyspy Nowej Zelandii, Tasmania, Australia wspólnie z dwiema koleżankami z MP!!! Dookoła USA w 32 dni to kolejna, a rok później podobna w Kanadzie. Egzotyczne kraje, których inni się niepotrzebnie obawiają, to Madagaskar, Etiopia, RPA wraz z raftingiem pod wodospadami Wiktorii w Zimbabwie, Iran, Gambia, Indie etapami, bo to wielki kraj, Chiny i „Trasa prezydencka”, Korea Północna i Góry Diamentowe, Singapur, Malezja ... itd. Krótko mówiąc została mi jeszcze tylko Antarktyda, licząc kontynentami. Były to wszystko wyprawy indywidualne, bo wiele krajów zwiedziłem również z zespołami folklorystycznymi, koncertując w amfiteatrach m.in. w EFEZ, wiele też razy w ramach wyjazdów służbowych. Moim hobby, od czasu szkoły podstawowej już, była fotografia... nie tylko robienie zdjęć, ale i ich obróbka w ciemni. Stało się to nawet cichym źródłem dochodów (w ramach szarej strefy!) w liceum i później, aż do czasu fotografii kolorowej. Własna ciemnia okazała się już wtedy nieopłacalna, taniej i coraz taniej było zamawiać gotowe odbitki w dowolnie wybranych formatach. Następnym etapem były aparaty cyfrowe i zapis zdjęć na różnych nośnikach pamięci. Mam więc potężną kolekcję zdjęć i aparatów fotograficznych z różnych epok wszystkie nadal sprawne.



Wietnam, zatoka Halong

Emerytura, dużo wolnego czasu, a więc pora na sport

I dokładnie tak było, bo faktycznie tylko łyżwy i sanki w okresie dziecięcym, jeżeli można uznać to za rodzaj sportu, bo raczej jako rozrywkę. Dwie szkoły, a byłem jeszcze ministrantem, to już brakowało czasu i sił na sport. Rower traktowałem jako środek lokomocji, a po zdaniu matury Rodzice kupili mi motorower marki Rys, piękny czerwony i nawet wybrałem się nim na studia, a parkowałem przed domem studenta na Akademickiej. Nie nacieszyłem się jednak zbyt długo, bo uległ awarii, której nikt nie potrafił usunąć. Kuzyn musiał odholować mnie motorem na przystań i już dalej statkiem do Płocka, a tam sąsiad natychmiast ustalił drobną usterkę kondensator do wymiany!!! Tuż po przejściu na emeryturę, zaproszony przez kolegów z grupy „seniorzy młodszy”, przypominałem sobie coraz lepiej wczesne umiejętności jazdy na łyżwach. Przyszła wiosna, lodowiska rozebrano, to kupiłem pierwsze rolki i po wielu upadkach i małych kontuzjach uznałem w końcu, że jest to wspaniały sport i całoroczny, bo zimy ze śniegiem i mrozami przechodziły już do historii. Coraz dłuższe dystanse, coraz lepsze rolki, bo nawet udało mi się kupić kultowe COYTY z kółkami 150 mm, które każdorazowo wzbudzają zachwyty innych, podczas przejazdów w Płocku i Warszawie, słynnych już NIGHSKATING-ów z rekordową liczbą uczestników, bo nawet kilkanaście tysięcy!!! Są to przejazdy na trasie ok. 20 km, ale ja z grupą rolkarzy długodystansowych robiłem często ponad 50 km na drogach wzdłuż wałów wiślanych pod Płockiem. Kolega z MP13, teraz już ś.p. Jacek Borowicz, zachęcił mnie do udziału w półmaratonie „Dwóch Mostów”, a przylatywał na nasze w spotkania w Płocku z Brukseli i aż głupio było mi odmówić, bo nigdy wcześniej nie biegałem, a tu ponad 21 km i to z limitem czasu do 3 godzin. Jednak udało się, biegliśmy całą trasę razem, wspólnie przekraczaliśmy linię mety witani przez kolegów. Szkoda, że Jacek odszedł do lepszego świata, mamy wszyscy wspaniałe wspomnienia. Później raz, czy dwa razy jeszcze sam pobiegłem i nawet raz zaliczyłem podium w kategorii wiekowej 70 plus. Sport to zdrowie i szkoda, że pandemia zablokowała na ponad rok zarówno te nasze półmaratony, jak i NIGHSKATINGI. Pozostają mi teraz spacerunki i terenowa jazda rowerem po lasach blisko domu w Starej Miłośnie oraz rolki na bulwarach.

Spotkania absolwentów naszej grupy MP13 i rocznika 1964/65

Zjazdy rocznicowe na wydziale organizowane były dla absolwentów wszystkich roczników i tylko przy tej okazji spotykaliśmy też się w małych gronach. Spotkania towarzyskie zaczęli organizować **Małgosia i Jurek Pankowie** oraz **Władek Michałowski** z grupy MP13, a później i inni z naszego rocznika. Były one przewidziane dla całego rocznika i ew. „spadochroniarzy”. Nie było ich jednak zbyt wielu i brali w nich udział głównie absolwenci z Warszawy i okolic. Pierwsze takie spotkanie odbyło się w roku 2007 w budynku NOT na Czackiego.



III rząd: Zbyszek Rudnicki, Adam Ciesielski, Edek Babiarez, Hania Karwowska, Zbyszek Kubicki, Wojtek Sołtan, Ewa Kwiatkowska, Jurek Panek. II rząd: Marysia Krysiek, Irenka Kubiczek, Ela Walczak, Monika Kosierkiewicz, Ela Semper, Małgosia Wierzbirska, Władek Michałowski, Janusz Kuryło. Siedzą od lewej: Zosia Białas, Basia Wiechetek, Jadzia Karpowicz, Jadzia Różycka, Ela Hauke, Sabina Zebrowska

Drugie było w „PIKANTERII” 2.10.2010 i w tym, po raz pierwszy uczestniczyłem. Opisu nie dołączam, bo zaczęły wtedy obowiązywać przepisy RODO. To na tym spotkaniu spontanicznie dołączyła do nas **Marysia Olszewska** i za kilka dni w trójkę wylecieliśmy na antypody, a był to swoisty rekord szybkości w podjęciu decyzji, a jakie wspomnienia z tej miesiąc trwającej eskapady!!!



Z mojej inicjatywy rozpoczęliśmy cykl spotkań poza Warszawą, bo wielu absolwentów było z Radomia, a troje z Płocka: **Irenka Mrozek** i ja z grupy MP13, a również z naszego rocznika **Wiesiu Gmurczyk** z MP16. W 2013 roku spotkaliśmy się po raz pierwszy w Płocku i później kolejno w 2014, 2015 i 2016.



W obchodach 50-lecia MP wziął udział po raz ostatni nasz kolega **Sławek Grzyb** (od 1970 r. **Lenkiewicz**), a był wówczas już po pierwszym udarze. Rok później kolejny udar przykuł Go do łóżka. Padła propozycja organizowania spotkań również w Radomiu, by przy tej okazji odwiedzić Sławka. W Płocku były nadal wrześniowe spotkania, zaś w Radomiu od roku 2015 wiosenne w uroczym hotelu nad zalewem Borki. Trudu organizacyjnego podjęły się: **Ela Kieszkowska** i **Basia Roszczyk (Krawczyk)** z byłej MP13, zaś w Radomiu mieszkali również **Andrzej Borowiec**, **Janusz Podolak**, **Jan Rejczak**.



Kolejne spotkanie zorganizował 24 i 25 czerwca 2017 r. w Sokołdziej **Bronek Domalewski**, też z byłej MP13. Atrakcyjność rejonu spowodowała, że w roku 2018 następne spotkanie odbyło się też na Podlasiu.



Od roku 2015 do tradycji weszły spotkania opłatkowe organizowane, dzięki córce **Basi Wiechetek (Smereczyńskiej)**, Aleksandrze Smereczyńskiej, również absolwentce MP, w klubokawiarni „Życie jest fajne” przy Grójeckiej.



55-lecie MP to kolejna okazja do spotkań, a teraz czekamy na kolejny jubileusz 60-lecia MP w roku 2022.



Co mi dały studia na M.P. i specjalność automatyka mechaniczna

Zbliżając się do końca moich wspomnień, pora odpowiedzieć i na takie pytanie, bo zauważyliście niewątpliwie wiele kierunków moich zainteresowań: od muzyki przez fotografię i turystykę aż do prowadzenia ostatnio wielu stron internetowych, o czym jeszcze wspomnę przed zakończeniem. „UKŁAD STEROWANIA ZE SPRZĘŻENIEM ZWROTNYM” stosowany później wielokrotnie i konsekwentnie w życiu, to było to, co dała mi automatyka. Każde niepowodzenie, porażka, itp. było szczegółowo analizowane (mierzone) i wprowadzałem poprawki, ale nie poddawałem się! Mogą to potwierdzić, na wielu przykładach, wszyscy Ci, którzy dobrze mnie poznali. Ciekawość świata oraz rozwiązań technicznych, krytyczna ich ocena, próby przeniesienia do naszego kraju itd. to kolejne korzyści wynikające z kierunku ukończonych studiów. Nie wspomnę już o łatwości w dostosowywaniu się do nowych wyzwań na różnych stanowiskach zawodowych. Moja aktywność, po przejściu na emeryturę paradoksalnie nie zmalała, a rozbudziła się w całym nowym kierunkach. O jednym już wspomniałem – „senior młodszy”, a drugim stały się strony internetowe, których prowadzę kilka. I może kilka zdań na ten temat. Ostatnie dwie, za namową Zarządu Koła Absolwentów: „Precyzyjni z Narbutta to my”, której nazwę sam wymyśliłem, bo inne były zajęte, prowadzę ostatnio wraz z **Małgosią Adamską**. Założenia były inne, a praktycznie to ja sam muszę wyszukiwać tematy i starać się o utrzymanie ich „atrakcyjności”. Wcześniej, po uzyskaniu tytułu twarzy regionu Kujawko-Pomorskiego, w ramach akcji promocyjnej „BAJKOWY URLOP W POLSCE” i będąc stałym bywalcem Inowrocława, założyłem stronę „Fani sanatorium Przy Tężni”, bo autentycznie doceniałem działania dyrektora w ciągłej modernizacji i rozbudowie obiektu, który jest jednym z najlepszych w kraju. Pierwsze dwie strony były wynikiem moich obserwacji podczas podróży po świecie i fascynacji MONORAIL. Nie tylko starałem się popularyzować to rozwiązanie komunikacyjne, pokazując je na konkretnych przykładach i w większości osobiście sprawdzonych, ale nawet ogłosiłem konkurs na polską nazwę. Według mnie najlepsza to SZYNOLOT, czyli pojazd „lejący” na szynie 5–6 m nad ziemią. Jedną z trzech atrakcji Sydney, po operze i „wieszaku”, była właśnie MONORAIL, którą zachwycałem się wręcz i gdy została wystawiona na sprzedaż, bo budowali nowocześniejszą i dłuższą, robiłem wszystko, co tylko było możliwe, by sprowadzić ją do kraju. Byłoby to pierwsze takie rozwiązanie w Polsce, bo Rzeszów o tym myślał i był nawet mocno

zaawansowany w realizacji, ale Prezydent się zmienił i plany chyba spały na panewce. Tam miało być rozwiązanie nowe z firmy Bombardier, a do kupienia za znacznie niższą kwotę było „trochę używane” z Sydney. Kupujemy używane samoloty, autokary to dlaczego nie na początek używaną MONORAIL. Zasugerowałem tę atrakcję turystyczną Prezydentom dwóch miast: Płocka i Inowrocławia, pokazałem nawet sugerowane trasy w obu miastach, przedstawiłem koszty transportu w kontenerach statkami PLO. Sam zakup był za symboliczną złotówkę i niestety, kompletny brak zrozumienia oraz wyobraźni. Kupił ktoś inny, a my nadal przysługiwaliśmy 20 lat za murzynami. Kolejka jednoszynowa w Wuppertal funkcjonuje bezawaryjnie od 120 lat!!! i jest atrakcją turystyczną dającą miastu rocznie 12 mln euro. Te dwie strony to „Tramwaj dla Płocka” i „MONORAIL czy SZYNOLOT? ale nie dla Płocka”.

Teraz walczę z rakiem i nie wiem, który z nas wygra, a więc pora kończyć te wspomnienia, posiłkując się moją stroną internetową, do której link podałem na wstępie oraz słowami:

*Uśmiechnij się za mnie,
gdy będą mnie grzebać,
ponieważ byłem tym,
kim chciałem być,
nie kimś,
kim było trzeba*

Andrzej Koziński



Narodowe Centrum Onkologii, 18 października 2021 r.

Janusz Piskorz



Studia 1961–1967
Specjalność: Drobne Mechanizmy
i Przyrządy Pokładowe

JĘZYK FRANCUSKI I JA

Część II. Praca

Pierwsza praca: ZMP Błonie 1967–1973

W czerwcu 1967 r. obroniłem pracę dyplomową na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej i – z tytułem mgr inż. w dziedzinie drobnych mechanizmów i przyrządów pokładowych – we wrześniu 1967 r. zgłosiłem się do działu kadr Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych Mera-Błonie jako stypendysta.

Wszystko zaczęło się, gdy wraz z dr. inż. Zdzisławem Mrugałskim (MP'55/56), w grupie kolegów, zwiedzałem ten zakład. Już od bramy widok dróg wysadzanych drzewami zrobił dobre wrażenie. Wydział montażu zegarków usytuowany był w nowym, przeszklonym budynku z pachnącą morwą przed wejściem. Pracownicy montażu nosili białe fartuchy i białe nakrycia głowy. Wszędzie panowała wzorowa czystość i cisza. Naprzeciw tego budynku usytuowany był wydział obróbki mechanicznej w hali o powierzchni około 10 tys. m². Połowę tej powierzchni zajmował park maszynowy. Przywitał nas charakterystyczny zapach olejów i chłodziw wsiąkniętych w drewnianą posadzkę oraz huk kilkudziesięciu automatów tokarskich. Prowadzenie rozmowy w tych warunkach było trudne. W naszej obecności komisyjnie chowano w sejfie nóż z diamentowym ostrzem do obróbki w jednym przejściu zewnętrznej powierzchni

koperty zegarka. Ta wizyta spowodowała, że podpisałem umowę o stypendium fundowanym w wysokości 660 zł miesięcznie.

Pracę rozpocząłem w dziale Głównego Konstruktora na stanowisku starszego konstruktora z wynagrodzeniem 2300 zł + premia w wysokości ok. 20%. To było więcej niż w innych zakładach. Pierwszym moim zadaniem było skonstruowanie przystawki balansowej z wałkiem wyjściowym prostopadłym do osi koła wychwytowego. Po roku pracy w tym dziale, za obopólną zgodą, zostałem przeniesiony na wydział montażu jako starszy mistrz. Powierzono mi organizację gniazda montażu czytnika RG-3 przeznaczonego dla MSW, głowicy czytnika FC-11 dla ELWRO oraz głowicy czytnika CT-1001.

Czytnik CT-1001, pracujący z prędkością 1000 zn/s, był konstrukcją opracowaną przez zespół pracowników katedry prof. W. Trylińskiego, a konstruktorem prowadzącym był mgr inż. Andrzej Potyński (MP'60/61). Za ten czytnik zespół zdobył w 1966 r. II nagrodę Mistrza Techniki. To była bardzo ważna nagroda.

Inny zespół konstruktorów, także z katedry prof. W. Trylińskiego, w którym konstruktorem prowadzącym był mgr inż. Jerzy Pawłowski (MP'59/60), opracował konstrukcję dziurkarki D-102 o prędkości pracy 100zn/s. Za opracowanie tej dziurkarki, zespół otrzymał w 1968 r. III nagrodę Mistrza Techniki. Produkcja została uruchomiona w naszym Zakładzie Doświadczalnym. Dziurkarka D-102 była mechanizmem skomplikowanym i trudnym w produkcji. Najlepiej świadczy o tym fakt, gdy jeden z szefów CBKO, mgr inż. Jerzy Mierzejewski, podczas wizyty w naszym zakładzie w celu pozyskania dostaw czytników do sterowania obrabiarek, na widok pracującej dziurkarki D-102 powiedział z zachwytem „to takie rzeczy w Polsce się produkuje”.

Konkurs o tytuł Mistrza Techniki był organizowany corocznie przez dziennik „Życie Warszawy”. Otrzymanie tych nagród przez pracowników katedry prof. W. Trylińskiego było olbrzymim sukcesem naszego Wydziału.

Zakład w Błoniu, znany do tej pory głównie jako producent zegarków, uruchamiając produkcję czytników i dziurkarek jako urządzeń peryferyjnych do maszyn cyfrowych, otworzył nowy rozdział swojej historii.

Inż. J. Karpiński, twórca komputera K-202, zwrócił się do dyrekcji naszego zakładu z zaproszeniem do współpracy. Dyrekcja skierowała mnie i mgr. inż. Kazimierza Krzywińskiego do willi Kłosa w Warszawie – Włochy. Na wstępie inż. Karpiński poinformował nas o swoich kłopotach z przyrządem do krosowania kaset elektronicznych. Natychmiast zaoferowaliśmy pomoc naszego serwisu. Jako zachętę do współpracy

podarował nam czytnik taśmy z napędem silnikiem skokowym. Zazna-
czył przy tym, że kosztuje 800 dolarów amerykańskich. Czytnik posłużył
nam jako wzorzec do konstrukcji czytników taśmy na potrzeby CBKO
oraz do opracowania założeń konstrukcyjnych do uruchomienia produk-
cji w Polsce silników skokowych.

Obejmując funkcję mistrza, musiałem na początku dobrze nauczyć
się konstrukcji podległych mi trzech wyrobów. Najprostszy czytnik RG-3
miał problem z zacieraniem się nurnika w elektromagnesie. Zmieniłem
konstrukcję nurnika. Głowica czytnika FC-11 była wyrobem trudnym
w produkcji ze względu na ciasność tolerancji detali. Dlatego były one
wykonywane na narzędziowni. Montaż był bardzo pracochłonny. Na
szczęście produkcja była niska.

Najważniejsza była głowica czytnika CT-1001. Na mój wniosek kon-
strukcja niektórych detali była zmieniona tak, by ich wykonanie przez
frezowanie zastąpić wycinaniem z blachy i krępowaniem. Wszystkie te
zmiany miały na celu przystosowanie dokumentacji do produkcji seryjnej.

W tym miejscu muszę opisać stan kadry inżynierskiej w zakładzie na
przełomie lat 1966–72.

W tym czasie inżynierów od lat pracujących w zakładzie i prowadzą-
cych produkcję „tradycyjną”, to znaczy zegarki, prędkościomierze, liczniki
energii itd., było około dwudziestu. Nas, absolwentów Mechaniki
Precyzyjnej, było około dwudziestu pięciu. Obsadzaliśmy stanowiska we
wszystkich działach obsługujących produkcję zarówno „tradycyjną”, jak
i nową. Krótko mówiąc, stara kadra pracowała z nową kadra. Ta ostat-
nia szybko awansowała, np. aktualny Prezes Zarządu Koła Absolwentów
naszego Wydziału, Franek Szafranski (MP'65/66), rozpoczął pracę w na-
rzędziowni, później w dziale Głównego Konstruktora, by na początku
1970 r. zostać kierownikiem sekcji czytników i dziurkarek, a pracę w za-
kładzie „zakończył” w maju 1982 r. jako kierownik Zakładu Doświad-
czalnego. Na moim stanowisku musiałem współpracować ze wszystkimi
służbami zakładu, w których coraz częściej byli to moi koledzy ze stu-
diów, a ściślej, koledzy z akademika przy ulicy Akademickiej 5.

Teraz pracowaliśmy razem i mieszkaliśmy razem, gdyż zakład przy-
dzielał nam mieszkania w formule: mieszkanie trzypokojowe dla trzech
absolwentów, a mieszkanie dwupokojowe dla dwóch absolwentów. Były
one umieszczone w jednym bloku w dwóch klatkach.

Piastując stanowisko mistrza, miałem pierwszy służbowy kontakt
z językiem francuskim. Pewnego dnia ówczesny dyrektor ds. produkcji
inż. Kazimierz Reczyński przyszedł do mnie z francuskim pracow-
nikiem firmy TRIPET. Chodziło o reklamację zakładu spowodowaną

niedokładnością pracy automatów tokarskich tej firmy. Razem z Francuzem udaliśmy się na halę, gdzie ustawiacz automatów wskazał na jednego z nich, który wykonywał ślimaki do tarczy telefonicznej. Okazało się, że przyczyną złej pracy automatu było stosowanie przez zakład niewłaściwego chłodziwa. Reklamacja została oddalona, a mnie wręczono sporą kwotę, bym razem z gościem poszedł na obiad w Warszawie. Spotkanie skończyliśmy późnym wieczorem u Fukiera. Pracę na wydziale montażu zakończyłem, gdy wszyscy pracownicy gniazda montażu mechanicznej części czytników opanowali wszystkie przewidziane technologią procedury. Po powrocie do działu konstrukcyjnego zająłem się konstrukcją nowych czytników i dziurkarek.

W grudniu 1968 r. po raz pierwszy byłem delegowany za granicę. Był to wyjazd do Moskwy. W skład delegacji weszło dwóch pracowników ELWRO oraz dwóch pracowników z Mera-Błonie, główny elektronik Mera-Błonie inż. Franciszek Szawłowski oraz ja – mechanik. Zostaliśmy zakwaterowani w hotelu Ukraina. To taki budynek jak nasz Pałac Kultury tyle tylko, że 2–3-krotnie większy. Wystrój wnętrza isticie bizantyjski, pokoje to właściwie apartamenty, ciężkie meble z litego drewna, pościel jedwabna i kryształowe żyrandole. Powitanie nas miało charakter głównie biesiadny, ale dowiedzieliśmy się, że naszym celem jest wizyta w Instytucie Badawczo-Naukowym w Siewierodoniecku na Ukrainie. Zapytałem, czy przed wyjazdem zdążę zwiedzić Plac Czerwony, Kreml i Muzeum Bitwy pod Borodino. Odpowiedziano mi, że wszystko zdążę zwiedzić oprócz Kremla. Z naszego hotelu, idąc prosto Prospektem Kalinina do Placu Czerwonego było bardzo blisko, a Muzeum Bitwy pod Borodino było położone tuż obok naszego hotelu. W pierwszej kolejności wspólnie z inż. F. Szawłowskim (fot. 1) zwiedziliśmy dość szczegółowo Plac Czerwony oraz część ulicy Gorkiego, a próba zwiedzenia Kremla – tak z marszu – skończyła się na Car – Puszcze. Chciałem zwiedzić Muzeum Bitwy pod Borodino, gdyż mój nauczyciel języka rosyjskiego w liceum namówił mnie, bym pięć pierwszych zwrotek wiersza Lermontowa pt. „Borodino” nauczył się na pamięć. Mając taki bagaż uczuć, gdy stanąłem przed panoramą i widząc czapy oddziałów polskich, zacząłem cicho deklamować pierwszą zwrotkę, która brzmi tak:

Бородино

- Скажи-ка, дядя, ведь не даром
Москва, спаленная пожаром,
Французу отдана?

Ведь были ж схватки боевые,
Да, говорят, еще какие!
Недаром помнит вся Россия
Про день Бородина!



Fot. 1. Autor (z lewej strony) i inż. F. Szawłowski

Tu spotkała mnie miła niespodzianka, gdyż w przeszklonych gablotach stojących na środku sali były eksponowane, pisane po francusku, raporty dzienne, rozkazy oraz inne dokumenty armii Napoleona z często wymienianym nazwiskiem Księcia Józefa Poniatowskiego. Niestety brak czasu nie pozwolił mi na szczegółową lekturę.

Wylot do Ługańska, a dalej samochodem do Siewierodonecka. Powitalne spotkanie z dyrekcją Instytutu poprzedzono krótkim objazdem miasta (fot. 2), a następnie robocza narada.

W ciągu dwóch dni uzgodniono z nami przydział tematów dla każdego z nas. Ja poprosiłem i otrzymałem tematykę związaną z dziurkarkami i szybkimi czytnikami taśmy, czyli miałem się zająć tymi samymi zagadnieniami, którymi zajmowałem się w kraju. Codzienną pracę umiło nam wycieczką nad rzekę o nazwie Północny Doniec, stąd pochodzi nazwa miasta.



Fot. 2. Od lewej nasz opiekun, pracownik Elwro, autor, tyłem F. Szawłowski



Fot. 3. Przed hotelem w Siewierodniecku (od lewej inż. F. Szawłowski, pracownik ELWRO i autor

Uroczysta kolacja pożegnalna. Szczególnie dziękowaliśmy Panu doktorowi nauk (na fot. 2 pierwszy z lewej), który przez cały okres pobytu opiekował się nami. Po którymś z kolei pożegnalnych toastów moi sąsiedzi przy stole odezwali się do mnie czystą polszczyzną. Jak napisałem na wstępie, była to pierwsza delegacja służbowa, w której w obcym języku rozmawiałem z kolegami, czyli osobami wykonującymi ten sam zakres wiedzy inżynierskiej co ja. To było wspaniałe przeżycie dla mnie – w końcu młodego inżyniera.

W delegacji do Moskwy i Siewierodoniecka przez cały czas byłem wśród swoich, także nieco później, uczestnicząc w międzynarodowych (ZSRR, Czechosłowacja, NRD, Polska, Węgry) badaniach czytników i dziurkarek w Budapeszcie, byłem z delegacją z IMM. Pracując w grupie Polaków za granicą, czułem się „rażniej”.

W kolejną delegację służbową zostałem wysłany do Włoch, do firmy *Olivetti*. Byłem sam w kraju, w którym nigdy nie byłem i nie znałem języka włoskiego. Celem mojej delegacji było przedstawienie Włochom prototypu czytnika taśmy o parametrach zbliżonych do naszego czytnika RG-3. Na lotnisku Linate w Mediolanie czekał na mnie kierowca z samochodem Citroen DS-21, słabo mówił po francusku. W samochodzie od razu mocno ściągnął mój pas bezpieczeństwa. Wkrótce okazało się, dlaczego. Obniżył zawieszenie i ruszył nie schodząc poniżej 150 km/h. Przy tej prędkości, gdy nasz pas ruchu na autostradzie wszedł do swego tunelu, odczułem mocne szarpnięcie do przodu. Byłem dobrze zapięty i to uchroniło mnie przed uderzeniem w szybę. Powitał mnie dyrektor handlowy Pan Fontanari. Płynnie mówił po francusku. Na wstępie wyjaśnił mi, że miasto Ivrea, w którym właśnie jesteśmy, leży już w Piemontcie, a w tej części Włoch, graniczącej z Francją, wszyscy mieszkańcy lepiej lub gorzej mówią po francusku. Poczuję ulgę. Specjalistom z firmy Olivetti zaprezentowałem prototyp czytnika. Była to konstrukcja bardzo nowoczesna. Tutaj transport taśmy odbywał się nie przez kółko jak zazwyczaj, tylko przez ruch po elipsie elementu posiadającego trzy kołeczki. Podczas jednego obiegu po elipsie, te trzy kołeczki wchodziły w trzy otwory taśmy ścieżki transportowej, powodując przesunięcie taśmy o jeden skok. Czytnik był lekki, o małych gabarytach. Był napędzany elektromagnesem o małej mocy.

W wolnym czasie zwiedzałem Ivreę: piękne, stare miasto z przepływającą o spienionym nurcie rzeką Dora Baitinea (fot. 4).



Fot. 4. Rzeka Dora Baltinea z widocznymi bramkami slalomu kajakowego

Po przejściu widocznego na zdjęciu mostu na sąsiedniej ulicy doznałem szoku, widząc witrynę sklepu sprzedającego krótką broń (fot. 5).



Fot. 5. Oferta pistoletów i rewolwerów

W sklepie okazało się, że można było kupić nie tylko broń krótką, ale także lekki karabin maszynowy z radiatorem chłodzącym lufę przeznaczony dla Afrika Korps. Z dreszczem emocji wziąłem do ręki zabytkowy Parabellum z wydłużoną lufą. Ten typ broni, w takim wykonaniu był rzadko spotykany. Sprzedawca wydawał się niepokieszony, gdy po desperackim obniżaniu ceny pistoletu Beretta 9 mm odmówiłem jego zakupu. Szedłem ulicą kompletnie skołowany, nie docierało do mnie, że w tym kraju można wejść z ulicy do ogólnie dostępnego sklepu i wyjść z niego ze spluwą w kieszeni. Przyszedł weekend. Pan Fontanari zaprosił mnie, że ze względów rodzinnych nie może się mną zająć i bym wychodząc poszedł do sekretarki. Otrzymałem kopertę, jak się okazało swobodnie pokrywającą koszty wycieczki pod Mont Blanc. Nazajutrz wyjechałem do Prè Saint Didier – miasta leżącego u stóp Mont Blanc. Pociąg w górskim terenie jechał wolno, minąłem Aostę – od tego miasta aż do Mont Blanc ciągnęła się najpiękniejsza włoska dolina w Alpach. Ze skrzyżowania dróg między Prè Saint Didier i Courmayeur zrobiłem zdjęcie Mont Blanc (fot. 6).



Fot. 6. Mont Blanc – na drogowskazie w lewo Pre Saint Didier, w prawo Courmayeur

Tunel pod Mont Blanc wychodzi z Courmayeur, a po francuskiej stronie kieruje się do Chamonix. Powracając do Ivrei, podziwiałem po raz wtóry przepiękną dolinę Aosty. Naszła mnie przykra refleksja, że moje samotne zwiedzanie działa na mnie przygnębiająco. Potem było ciepłe

pożegnanie z Panem Fontanari, który opowiedział mi o swoich praktykach we Francji, w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych przed objęciem stanowiska dyrektora handlowego oraz przekazał mi pozdrowienia dla Pana Dyrektora Bąka. Na lotnisko odwiózł mnie ten sam kierowca. Doświadczyłem tych samych silnych przeżyć.

Na przełomie lat 60–70., w Mera-Błonie, w dziale Głównego Konstruktorstwa prowadzono prace rozwojowe w zakresie czytników taśmy, drukarek wierszowych oraz drukarek mozaikowych. Nie prowadzono żadnych prac rozwojowych dotyczących produkowanej dziurkarki D-102. Byliśmy monopolistami w produkcji dziurkarek w Polsce do chwili, gdy w Politechnice Poznańskiej dr inż. Ryszard Grajdek opracował dziurkarkę konkurencyjną pod względem osiąganych parametrów i kosztów produkcji w stosunku do D-102. Zakład nasz posiadał technologiczne możliwości uruchomienia produkcji tej dziurkarki. Z tego powodu do ekipy z Politechniki Poznańskiej, wyjeżdżającej na badania patentowe do Berlina, dołączono mnie. Wyjechaliśmy w składzie: inż. Zygmunt Wachowski, rzecznik patentowy, znający język niemiecki i angielski – szef grupy, inż. Zawodniak (język angielski) i ja, mechanik (język francuski). Inż. Wachowski jako szef grupy zarządził wszystkim przejście na „ty”. Zakwaterowano nas w hotelu Berolina przy Karl-Marx-Allee. Miejscem naszej pracy był Amt für Erfindungs- und Patentwesen der DDR. Czytelnia była duża i obowiązywała cisza. Zamówienia na materiały do badań wypełniał inż. Wachowski, wpisując nazwisko tego z nas, który będzie pracował nad objętymi zamówieniem świadectwami patentowymi. Zamówienia należało składać w okienku u osoby, która obsługiwała czytelnię. Do odbioru zamówienia głośno odczytywano nazwisko zamawiającego. Naszą pracę często urozmaicał Zygmunt, tłumacząc wywołane nazwiska niemieckie na język polski np: Frauenknecht. I tak było codziennie, stabilna, nurząca praca.

W hotelu każdy z nas mieszkał osobno. Były to ciasne pokoje i w zasadzie trudno było spotkać się w nich razem. Zatem już po paru dniach niewygód, spotkaliśmy się w barze na piwie. Bar znajdował się w olbrzymim holu i było tam zawsze gwarnie. W pewien weekend, gdy jak zwykle bar był pełen gości z Berlina Zachodniego, po wypiciu piwa, jako najmłodszy, poszedłem zapłacić. Resztę schowałem do kieszeni zachowując ją do rozliczenia. Okazało się, że reszty dostałem więcej niż powinienem. Trudno mi było reklamować, gdyż odszedłem od kasy. W następny weekend sytuacja się powtórzyła. Zygmunt znając sytuację spojrzał na moją klapę marynarki (fot. 7) i teatralnym gestem nakazał mi odpiąć znaczek MILITARY POLICE. Do końca mieliśmy spokój.



Fot. 7. Zdjęcie z 1971 r. dedykuję młodszym kolegom z Wydziału Mechatroniki

Dużo czasu poświęciliśmy na zwiedzanie Berlina. Kilka razy byliśmy w Muzeum Pergamońskim. Widziałem zmianę warty przed Pomnikiem Ofiar Faszyzmu i Militaryzmu znajdującym się przy dawnym Odwachu (fot. 8).



Fot. 8. Ten krok

Przez miesiąc byliśmy razem: razem pracowaliśmy, odpoczywaliśmy, poruszaliśmy nasze osobiste sprawy. Po pewnym czasie zauważyłem, że między Zygmuntem a mną powstała więź przyjaźni. Zygmunt bardzo szczegółowo zaczął pytać mnie o moją pracę, zagraniczne wyjazdy służbowe, przebieg pracy zawodowej (zajmowane stanowiska), a także o publikacje. Pod koniec pobytu poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy. Zapytał wprost, czy chcę zrobić doktorat w Politechnice Poznańskiej. Powiedziałem: tak i serdecznie podziękowałem. Pogratulował mi szybkiej decyzji. Przewód doktorski został otwarty 22 listopada 1971 roku, a tytuł doktora nauk technicznych otrzymałem 31 października 1975 r.

W czasie mojej pracy w Mera-Błonie w latach 1967–1973 uczestniczyłem w trzech zagranicznych badaniach czystości patentowej. Jeden był w Berlinie, który opisałem, a pozostałe dwa w Moskwie, tu miejscem pracy była Всесоюзная Патентно-Техническая Библиотека СССР, naszym opiekunem była pani Siemienichina.

Bardzo dobrze pamiętam ten drugi wyjazd do Moskwy. Przedmiotem naszej pracy był czytnik CTK 50 i dziurkarka DTK 50. Był wrzesień 1972 r. – jak się wkrótce okazało to był mój ostatni pobyt w Moskwie jako pracownika Mera-Błonie w latach 1967–1973. Z urzędu naszym szefem był rzecznik patentowy inż. Andrzej Kalinowski, ja jak zwykle zajmowałem się opisami w języku francuskim, a mgr inż. Kazimierz Krzywiński opisami w języku angielskim i rosyjskim. I tu niezbędna dygresja.

Mgr inż. Kazimierz Krzywiński ukończył Московский Институт Инженеров Транспорта. Jako że był osobą o przyjaznym sposobie bycia, w Moskwie czuł się jak w drugim domu.

Poznałem tę stronę jego osobowości już podczas naszego pierwszego pobytu w Moskwie, gdy, podczas kolacji naszej trójki Kazik, Franek Szafrański i ja w gruzińskiej restauracji Aragwi przy ulicy Gorkiego, spotkał swojego kolegę ze studiów Artura Kutibaszwili. Gruzin tak nas ugościł, że do pracy wróciliśmy po dwóch dniach. Pani Siemienichina, po wyjaśnieniach naszej dwudniowej nieobecności, lekko wzruszyła ramionami i stwierdziła, że jak na gruzińskie obyczaje, to impreza na takie spotkanie była za krótka.

Już na lotnisku w Moskwie czekała na nas niespodzianka. Staliśmy w jednej kolejce do odprawy paszportowej z kibicami kanadyjskimi, którzy przyjechali na mecze hokeja ZSRR– Kanada. Byli wyraźnie „przemęczeni”, a ogólna atmosfera stała się bardzo wesoła, gdy celnicy otwierali ich bagaże przepelnione czasopismami dla panów. Zostaliśmy zakwaterowani w hotelu Jarosławska w pobliżu stacji metra ВДНХ. Od metra do hotelu dojeżdżaliśmy autobusem lub trolejbusem.



Fot. 9. Autor na terenie ВДХХ w tle wieża telewizyjna, a po prawej rakieta Wostok na wyrzutni

Pracę w bibliotece zaczynaliśmy o 8:00 i pracowaliśmy do 16:00. Każdy z nas otrzymał legitymację uprawniającą do wejścia do biblioteki. Każdorazowo przy wejściu dokument ten był skrupulatnie sprawdzany przez milicjanta. Do pracy otrzymaliśmy oddzielny pokój. Zbiory opisów patentowych znajdowały się na regałach w olbrzymiej hali. Każdy z nas wg wskazań rzeczownika patentowego pobierał dla siebie przeznaczone zbiory i po dokonaniu ich analizy, odnosił na miejsce. Każdy opis był zapisywany, a w przypadku wątpliwości dotyczących ewentualnych naruszeń analizowany był na miejscu. Biblioteka posiadała własną jadłodajnię z bardzo dobrymi trzydaniowymi obiadami, za które płacono się jednego rubla.

Pracowaliśmy wygodnie i efektywnie, a była to praca męcząca. Jedyną nagrodą była możliwość obejrzenia w telewizji meczy hokejowych ZBORNA – Kanada. Były to mecze na najwyższym poziomie sportowym, jakich do tej pory nie widziałem. Owszem, oglądałem wysoko notowane w Polsce mecze ZSRR – Czechosłowacja. Podziwiałem Charłamowa i Nedomansky'ego, ale tutaj widziałem coś zupełnie nadzwyczajnego.

Już sama procedura przedstawiania zawodników była inna, luźniejsza, szczególnie ze strony kanadyjskiej. Esposito i Park, podczas

prezentacji, zamiast jak inni wyjechać i zrobić elegancki powrót do szeregu, wyjeżdżali na szeroko rozstawionych nogach chwiejąc się, przy nawrocie padali na taflę, kamera w zbliżeniu pokazywała ich pełne zadowolenie z siebie twarze oraz brak przednich zębów. W naszym hotelu, na korytarzu, podczas transmisji meczu, gościnnie były otwarte drzwi w tych pokojach, gdzie były telewizory. Z zaproszenia chętnie korzystaliśmy, przynosząc ze sobą parę butelek piwa, co było mile widziane. Moskwa była zauroczona hokejem, ulice były dosłownie wyludnione. Wykorzystałem to i bez trudu kupiłem bilet na balet Jezioro Łabędzie, wystawione w Pałacu Zjazdów na terenie Kremla. W antrakcie ruszyłem z tłumem na piętro do bufetu. Tu na kilkudziesięciu stołach serwowano kruszon, szampan oraz kanapeczki z czerwonym lub czarnym kawiozem. Trzymając w ręku kruszon, ruszyłem do sąsiedniego stołu, gdzie toczyła się żywa dyskusja między sprzedawczynią a grupą kanadyjskich kibiców (pознаłem ich po kapeluszach). Szybko w języku francuskim i rosyjskim wyjaśniłem sprawę. Kanadyjczycy nie chcieli pić szampana z kieliszków, a chcieli kupić butelki szampana. Dziewczyna, ku głośno wyrażanej radości kanadyjskich kibiców oraz brawach ciekawskich, zapakowała im po prostu kilka butelek do kartonu. Sukces świętowaliśmy wspólnie. Baletu już nie obejrzałem. Na zakończenie pobytu w Moskwie pojechałem na Stary Arbat i kupiłem żonie, romanistce, złoty pierścionek z granatem. W kraju czekała na mnie duża niespodzianka.

Zespół twórców czytnika CTK 50 i dziurkarki DTK 50, których badania właśnie zostały zakończone, wcześniej został zgłoszony przez Mera-Błonie w roku 1971 do ogólnopolskiego Turnieju Młodych Mistrzów Techniki (TMMT 71). Młodych, oznaczało 30 lat i mniej. W skład naszego zespołu weszli: Mirosław Dębski, Andrzej Goławski (MP'67/68), Gumpert Jankowski, Kazimierz Krzywiński, Jerzy Kurpiewski, Henryk Meisner (MP'70/71), Michał Pokorski (MP'73/74), Józef Rokicki (MP'68/69), Ryszard Srokosz (MP'70/71), Piotr Treliński i ja (MP' 66/67). W grupie tej dwie osoby miały więcej niż 30 lat, pozostali mniej. Ja miałem 28 lat. Konkurs wygrał zespół z Elwro, drugie miejsce zajął nasz zespół, a dwa trzecie miejsca zajęły zespoły z Zakładów Azotowych w Tarnowie i z Cementowni Chełm. Wszystkie nagrodzone zespoły zostały zaproszone przez Premiera Piotra Jaroszewicza i członka Rady Państwa, Edwarda Babiucha do Pałacu Namiestnikowskiego. Jeden z nas przyszedł ubrany tak jak na co dzień przychodził do pracy, tzn. kolorowy sweterek i w tym samym odcieniu koszula z kołnierzem w postaci stójki zapinanej na boku oraz z nieodłączną, stale kręconą w ustach zapałką. Oczywiście w tym stroju nie mógł wejść do Pałacu. Zajęliśmy miejsca przy dużym stole, na

którym już stały napełnione białym winem kieliszki oraz podane były ciasta. Zająłem miejsce wskazane mi przez sympatycznego pana, który poprosił mnie, bym, w imieniu nagrodzonych, podziękował panu Premierowi i członkowi Rady Państwa. Po chwili naprzeciw mnie usiedli obaj gospodarze. Do nich podszedł kelner i wymienił ich kieliszki. Wystąpienie Premiera Piotra Jaroszewicza było bardzo ciepłe. Premier dostał duże brawa. Teraz przyszła kolej na mnie. Na początku miałem problemy z pogłosem w sali, ale składnie podziękowałem za zaproszenie, co było docenieniem naszego trudu uwieńczonym sukcesem. Na końcu, w tonacji skromnej, zwróciłem uwagę na fakt, że jesteśmy młodzi, doskonale wykształceni, znający języki obce, i to, co nas boli – to brak szerokich kontaktów zagranicznych. Na zakończenie Premier zaprosił wszystkich do sali kolumnowej, gdzie zrobiliśmy wspólne pamiątkowe zdjęcie (fot. 10).



Fot. 10. W części centralnej Premier Piotr Jaroszewicz oraz członek Rady Państwa Edward Babiuch. Od prawej: Janusz Piskorz, Andrzej Goławski, Józef Rokicki, Michał Pokorski oraz w głębi Jerzy Kurpiewski między Premierem a Edwardem Babiuchem

Na przełomie roku 1972 i 1973 cała moc zakładu skupiała się na produkcji drukarek wierszowych z mechanizmem według dokumentacji licencyjnej angielskiej firmy International Computer Limited (ICL) oraz drukarek mozaikowych na licencji francuskiej firmy Logabax. Czytniki taśmy zostały przeniesione do Krakowskiej Fabryki Aparatury Pomiarowej, a dziurkarki do Zakładu Urządzeń Komputerowych w Zabrze.

Z końcem lutego 1973 r. odszedłem z Mera-Błonie wyposażony w olbrzymią wiedzę i wszechstronne doświadczenie powodujące, że w dalszej pracy mogłem się tylko bać przysłowiowego gniewu Bożego.

Druga praca: Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów (Mera- PIAP) 1973–1992

(Urlop bezpłatny 1985–1991)

O d czasu, gdy Mera-Błonie przekazało produkcję szybkich czytników taśmy i dziurkarek do innych zakładów, o konieczności zmiany pracy wielokrotnie rozmawiałem z śp. Profesorem Zdzisławem Mrugalskim (MP'55/56), argumentując, że praca przy wdrażaniu do produkcji licencyjnych drukarek nie odpowiadała mi. Po pewnym czasie Profesor Mrugalski (MP'55/56) zaproponował mi podjęcie pracy w Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów, w którym pracowało już wielu absolwentów naszego wydziału. Szczególnie polecił mi Zakład Pomiarów Parametrów Ruchu. Taka była moja droga do Mera-PIAP. Zostałem zatrudniony na stanowisku st. asystenta. Po kilku latach pracy w Mera-Błonie, w większości na kierowniczych stanowiskach, wróciłem do kuhlmana. Moim zadaniem było opracowanie konstrukcji elektronicznego obrotomierza do samochodu Polski Fiat 125p i uruchomienie jego produkcji, bazując na współpracy z Lubuskimi Zakładami Aparatów Elektrycznych Mera-Lumel w Zielonej Górze. Byłem głównym wykonawcą tematu. Dokumentacja konstrukcyjna została opracowana wspólnie. Już po pierwszej mojej wizycie w tych zakładach wiedziałem, że znaczącą część załogi stanowią przesiedleńcy i także ich potomni z przedwojennych kresów wschodnich. Praca z nimi układała się fantastycznie. Po zakończeniu badań prototypów na Żeraniu przeprowadzono badania czystości patentowej w Bibliotece Patentowej w Moskwie. W tych badaniach udział wzięli: mgr inż. Witold Biskup (MP'59/60), rzecznik patentowy (PIAP), dr inż. Zdzisław Tarnowski (LUMEL), mgr inż. Piotr Makowski (PIAP), mgr inż. Dariusz Świniarski (PIAP) oraz ja. Zakwaterowano nas w jednym z hoteli na Ostantkino. W bibliotece serdecznie przywitałem się

z dobrą moją znajomą panią Siemienichiną i przedstawiłem jej moich nowych kolegów. Pani Siemienichina zapewniła nas, że zasady pracy w bibliotece pozostają niezmienione i obiady kosztują tyle samo, czyli jeden rubel. Moi koledzy szybko opanowali środki transportu tak, aby zdążyć rozpoczynać pracę zawsze o godzinie ósmej. W wolnym czasie oprowadzałem ich po najciekawszych miejscach w Moskwie, którą nieźle znałem z poprzednich pobytów. Na zdjęciu (fot. 11) nad głowami góruje brama ВДНХ, po prawej stronie widać Pomnik Zdobywców Kosmosu, u jego stóp upamiętniono Konstantego Ciolkowskiego rosyjskiego naukowca, syna polskiego zesłańca syberyjskiego i pioniera kosmonautyki.



Fot. 11. Moskwa – ВДНХ. Stoją od lewej: Piotr Makowski, Zdzisław Tarnowski, Witold Biskup (MP'59/60), ja (MP'66/67) i Dariusz Świniarski

Samochód polski Fiat MR 75, już z wbudowanym elektronicznym obrotomierzem, dobrze sprzedawał się także na wymagającym rynku zachodnim. Jednakże wszyscy na Żeraniu dobrze wiedzieli, że ten produkowany od lat samochód, ze względu na przestarzałą stylistykę, nie ma przyszłości. Już w 1974 r. FSO podpisało z firmą Fiat umowę na opracowanie nowego samochodu klasy średniej w obowiązującej tendencji stylistycznej. Tymczasem w zachodniemieckiej prasie motoryzacyjnej ukazało się zdjęcie samochodu w maskujących osłonach z podpisem „Najpiękniejszy Fiat z Polski”. Na Żeraniu wrzało. Wśród załogi fabryki czuło się pełne radości oczekiwanie. O tym, że włoski prototyp samochodu jest

w FSO, a ściślej w OBRFSO, w Falenicy, dowiedziałem się od Dyrektora Instytutu doc. Stanisława Dwojaka (późniejszego profesora). Informując mnie o tym z szerokim uśmiechem, dodał, że opracowanie konstrukcji zestawów wskaźników do Poloneza będzie realizował PIAP, a produkcja zostanie uruchomiona w Mera-Pafal. Następnie podał mi rękę i oświadczył, że od tej chwili jestem głównym wykonawcą tego tematu i życzy mi wszystkiego najlepszego.

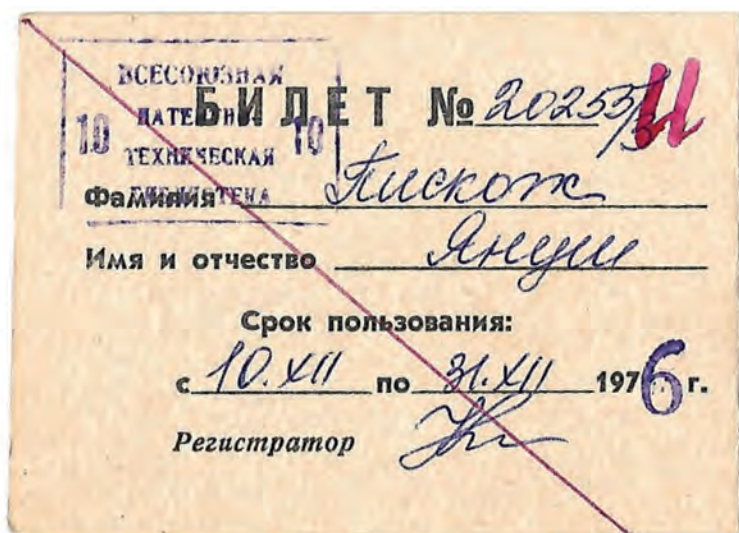
Na poniższym zdjęciu widać, że obrotomierz jest łatwy w montażu w desce rozdzielczej samochodu.



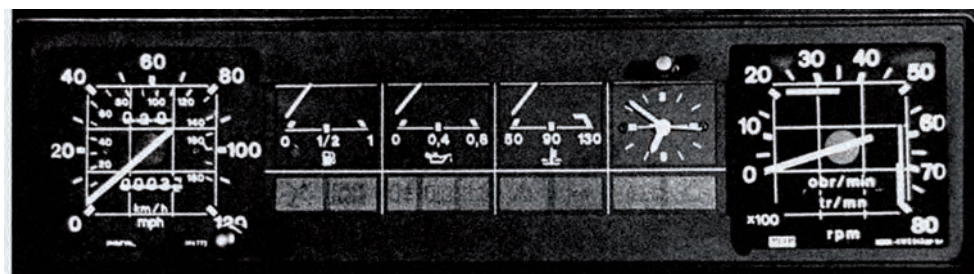
W Falenicy przepustka na moje nazwisko upoważniająca do wejścia na teren OBR-u była na portierni. W biało pomalowanym garażu prezentowano prototyp Poloneza. Jasnoblękitny, rzęsiście oświetlony zachwycał swoim pięknem. Wymontowałem zestaw wskaźników i tego samego dnia prezentowałem go swoim współpracownikom (oczywiście został zdemontowany na podzespoły). W takim stanie, po kilku dniach przedstawiłem go specjalistom z Mera-Pafal, Mera-Lumel i Mera-Poltik. Ustalono, że Mera-PIAP wykona kompletną dokumentację konstrukcyjną zestawów wskaźników, wg której Mera-Pafal uruchomi ich produkcję w kooperacji z Mera-Lumel dostawcy obrotomierzy, Mera-Poltik dostawcy zegarów i prędkościomierzy. Bardzo istotnym dla mnie było ustalenie osób współpracujących ze mną w tych trzech zakładach. Ze strony Mera-Pafal był zastępca dyrektora ds. technicznych inż. Henryk Lentz, inż. Andrzej Harajda i technolog Marian Chmielewski, ze strony Mera-Poltik gł. konstruktor mgr inż. Jerzy Łuszczynski (MP'55/56), i mgr inż. Jan Wojda (MP'66/67) – z mojej grupy studenckiej, a ze strony Mera-Lumel dr inż. Zdzisław Tarnowski. Za wykonanie prototypu odpowiadał Mera-PIAP.

W instytucie temat prowadziłem osobiście przy znaczącej pomocy mgr. inż. Włodzimierza Ławniczaka (MP'72). Prototyp został

przedstawiony (co było moim obowiązkiem jako głównego wykonawcy) dyrektorowi Instytutu. I tu zaczęła się moja półgodzinna droga od dyrektora instytutu Stanisława Dwojaka do dyrektora zjednoczenia MERA dr. inż. Zdzisława Łapińskiego, zakończona wspólną z nim wizytą u wiceministra MPM Janusza Szotka. Wraz z dyrektorem zjednoczenia jeszcze raz spotkaliśmy się z wiceministrem Januszem Szotkiem podczas narady, którą prowadził na Żeraniu z kooperantami FSO. Był świetnie zorientowany. Naradę prowadził energicznie, do wszystkich zwracał się po imieniu, a jak ktoś długo mówił, to grzecznie przerywał: przestań pier....



Fot. 12. Przepustka do biblioteki patentowej w Moskwie z datami pobytu



Fot. 13. Zestaw wskaźników

Terminy kolejnych etapów były ściśle przestrzegane, przy czym z nieznanymi mi przyczyn przyspieszono termin opracowania arkusza czystości patentowej. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia wysłano nas,

tn. mgr. inż. Witolda Biskupa (MP'59/60) rzecznika patentowego, mgr. inż. Dariusza Świnarskiego, mgr. inż. Włodzimierza Ławniczaka (MP'72) i mnie do Moskwy. Ledwo zdążyliśmy na wigilię. Produkcję zestawów wskaźników (fot. 13) uruchomiono w pierwszej połowie 1977 r.

Serię informacyjną w ilości 100 sztuk Polonezów wykonano w drugiej połowie 1977 r. Samochód produkowano do 1993 r. Z tej serii PIAP otrzymał talon na nabycie jednego samochodu. Decyzją dyrektora stałem się posiadaczem pierwszego Poloneza w Instytucie. W wakacje 1978 r. wyjechaliliśmy z żoną do Włoch. Po zatankowaniu na najbliższej stacji najlepszego włoskiego paliwa przestawiłem w samochodzie kąć załonu i dopiero rozpoczęła się prawdziwa jazda. Od Salerno w kierunku południowym autostrada była bezpłatna. We włoskim klimacie poczułem, że wykonałem coś pięknego i wielkiego.

Trzecia praca: Tunezja.

Ecole Nationale D'ingénieurs De Sfax Sfax 1965–1967

Decyzja o wyjeździe do pracy za granicę zapadła, gdy oszczędności rodzinne i kredyt z PIAP na budowę domu zostały wyczerpane. Byłem doktorem nauk technicznych i miałem zdany egzamin z języka francuskiego przed komisją MPM. Rozmowę kwalifikacyjną w Polservice przeprowadził ze mną sympatyczny Tunezyjczyk, który później okazał się rektorem uczelni, w której zostałem zatrudniony. Mienie przesiedleńcze wysłałem natychmiast po podpisaniu kontraktu. Z jedną walizką wylądowałem na lotnisku w Tunisie, gdzie czekał na mnie pracownik Polservice. Szybko załatwiliśmy wszystkie formalności u władz tunezyjskich, a co najważniejsze, dostałem pożyczkę z Polservice na zagospodarowanie. Przenocowałem w hotelu obok dworca kolejowego i pierwszym pociągiem pojechałem do Sfax. Duża butelka wody, którą kupiłem na drogie, szybko została opróżniona przez matki z dziećmi podróżujące ze mną w przedziale. W pewnym momencie za oknem ujrzałem karawanę wielbłądów. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że jestem w Afryce. Po kilku godzinach jazdy dotarłem do SFAX'u i natychmiast zgłosiłem się do sekretariatu uczelni. Mile przywitał mnie znajomy z Warszawy Pan Rektor. A co najważniejsze, spotkałem dwóch Polaków. Pierwszy miał na imię Andrzej i znając moją sytuację, zaproponował mi nocleg u siebie. Wytłumaczył mi, że uczelnia nie gwarantuje żadnego zakwaterowania i mieszkanie muszę wynająć sobie sam. Pierwszy dzień poszukiwania mieszkania skończył się bezowocnie. Dlatego wiedząc, że ze mną przyjechało kilka osób z Polski, zmieniłem taktykę. Nie szukałem mieszkania

do wynajęcia, ale w porozumieniu z nimi szukałem domu. Okazało się, że takie podejście do sprawy zakwaterowania spowodowało, że już wczesnym popołudniem przedstawiłem swoim kolegom dom do wspólnego zamieszkania (fot. 14).



Fot. 14. Nasz dom

Florek z żoną zajęli salon, Janek i Jurek zajęli dwa takie same pokoje jak mój. Kuchnia była wspólna. Mieszkałem w pokoju, w którym jedynym meblem był wypożyczony pompowany materac. I tu przydały się moje harcerskie umiejętności kwaterowania na biwakach. Nie miałem lodówki, a doskonale wiedziałem, że w tropiku należy żywić się regularnie i dobrze. Najtrudniej było z obiadem, gdyż krótka godzinna przerwa obiadowa wysoko podniosła poprzeczkę wykazania moich umiejętności przygotowania pełnowartościowego obiadu. Pożyczyłem od żony Florka 1,5-litrowy sój. Kupiłem litr dobrej oliwy i 0,7 kg piersi indyka. Podzieliłem ją na sześć kotletów, posoliłem, usmażyłem i wrzuciłem do słoika wypełnionego oliwą. Nie zmieniły smaku przez sześć dni. Do obiadu zawsze robiłem surówkę z pomidorów z cebulą, doprawiałem solą i pieprzem oraz najlepszą oliwą. Po około 4–5 tygodniach takiego odżywiania dostałem kilkudniowego rozstroju żołądka. Uprowadzony przez Polservice wiedziałem, że jest to początek wymiany flory bakteryjnej w moim układzie trawiennym. Chudłem, ale byłem w doskonałej kondycji. W połowie listopada odebrałem w porcie w Tunisie moje mienie przesiedleńcze.

Mienie przesiedleńcze to z prawej strony widoczna kanapa, szafka, dwa krzesła, lodówka w kuchni i niepokazana na zdjęciu szafa ubraniowa.

Ze skrzyni, w której to mienie było przywiezione, wykonałem mebel, przy którym pracuję, stół oraz regał, na którym widoczne są prace poszczególnych grup studentów. Siedzę na własnoręcznie wykonanym taborecie. Widoczne radio wspaniale odbierało audycje Wolnej Europy. Na zdjęciu (fot. 16) widać, że schudłem około 7 kg w wyniku diety tunezyjskiej bazującej na oliwie.

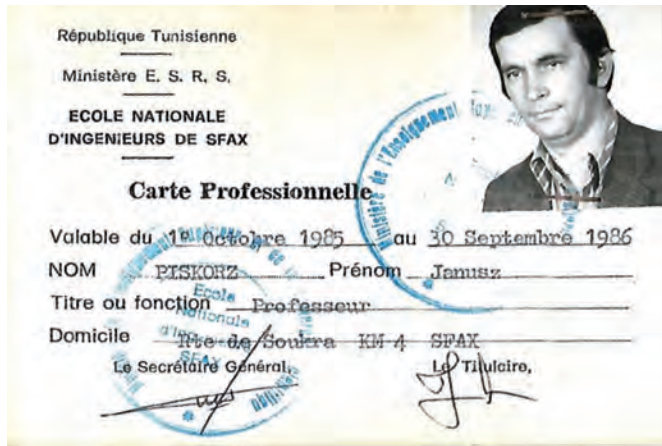


Fot. 15. Mój pokój



Fot. 16. Na diecie

Dobre warunki mieszkaniowe i ustabilizowany stan zdrowia były podstawą do wykonywania ciężkiej pracy. Zostałem zatrudniony na stanowisku profesora w uczelni (fot. 17).



Fot. 17. Legitymacja uczelniana

Prowadziłem wykłady, ćwiczenia oraz prace dyplomowe w zakresie konstrukcji maszyn. Natomiast dodatkowo, na prośbę moich przełożonych, prowadziłem zajęcia z rysunku technicznego. Współpracowałem z Francuzami odpracowującymi służbę wojskową na uczelni, a podczas tanecznych spotkań towarzyskich oni nas uczyli rocka, a my ich dziewczyny walca. Koledzy tunezyjscy przyjęli nas po przyjacielsku. Powodowało to, że wielokrotnie byliśmy zapraszani na uroczystości weselne (fot. 18).



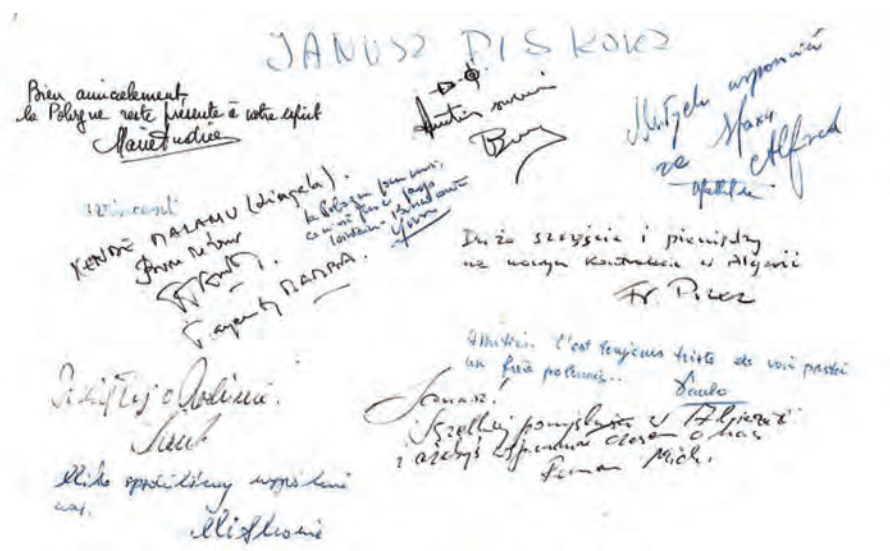
Fot. 18. Ślub tunezyjski

Rewanżowałam się albumami z Warszawy i Krakowa oraz albumami o tematyce lasów i jezior w Polsce. Istotną sprawą bytową było przetrwanie zimy w nieogrzewanym domu. Temperatura w nocy spadała do 10°C, a w dzień wzrastała do 25°C. W związku z tym, o godzinie 10:00 otwieraliśmy wszystkie drzwi i okna, a około godziny 16:00 zamykaliśmy je. Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy spędziliśmy razem. Mieliliśmy własną wędzarnię opalaną drewnem eukaliptusowym. Stąd na świątecznym stole była wędzona pierś indyka, udziec indyka i duże sardyny. Pisząc te wspomnienia, widzę w tej chwili w telewizorze lądujące na rzeszowskim lotnisku amerykańskie Herkulesy C-130. W drugim roku mojej pracy, podczas kryzysu na granicy tunezyjsko-libijskiej, takie same Herkulesy C-130 widziałem lądujące na pobliskim lotnisku. Decyzją Polservice, w tym czasie mogliśmy być tylko na uczelni lub w domu. Nasze dwa samochody były zamknięte za bramą (fot. 14). Zakończenie mojego kontraktu zbiegło się z zakończeniem kontraktu innych Polaków oraz Francuzów. Impreza pożegnalna odbyła się w ogrodach naszej parafii. Gospodarzem był ksiądz Paulo. Każdy z nas otrzymał zdjęcie starego portu w Sfax'ie (fot. 19) podpisane z tyłu przez wszystkich uczestników (fot. 20).

Żegnaliśmy się, pijąc vin rouge sec Haut Mornag i vin rosé demi-sec Sidi Rais oraz polską wódkę.



Fot. 19. Stary port w Sfax'ie



Fot. 20. Podpisy uczestników spotkania pożegnawego



Fot. 21. Żegnam Tunezję różami

Czwarta praca: Algieria (1987–1991)

Setif Université de Setif Institut Mecanique de Precision et d'optique

Rozmowy kwalifikacyjne dla kandydatów do pracy w Algierii odbywały się w czasie, gdy pracowałem w Tunezji. Za zgodą Polse-rvice, na rozmowę przyszła moja żona. Zostałem zakwalifikowany przez stronę algierską do pracy na Université de Setif. W tej sytuacji, na wakacje wyjechałem do Polski, zostawiając moje mienie (garnki, pościel i ubrania) u kolegów w Sfaxie. Osiemnastoletnim Renault 4 zaparkowałem

na lotnisku w Tunisie, zabezpieczając ją przed kradzieżą przez wciśnięcie podniesionej z ziemi zapalki w szczelinę przesuwnej bocznej szyby. We wrześniu już z wizą algierską i dokumentami z Polservice, ruszyłem ze Sfaxu z moim mieniem przesiedleńczym na tylnym siedzeniu. Po przekroczeniu granicy, w pierwszym mieście nabyłem od polskich lekarzy algierskie dinary. Nocowałem już w Setifie i bardzo wczesnym rankiem wyjechałem do Algieru. Tam w siedzibie Polservice otrzymałem pożyczkę na zasiedlenie i dokumenty. Zdążyłem jeszcze zameldować swoje przybycie w sekretariacie Uniwersytetu. Byłem zaskoczony, gdy wręczono mi klucze do mojego mieszkania. Były to trzy duże pokoje, kuchnia, łazienka i dwa duże balkony. Wszystko pokryte było półcentymetrową warstwą pyłu pustynnego, a podłoga usiana była masą martwych karaluchów oraz innych nieznanym mi insektów. Kupiłem środki czyszczące i w ciągu jednego dnia doprowadziłem mieszkanie do stanu użytkowania. Dwoma samochodami zostały przywiezione meble, które w sposób wystarczający zabezpieczyły potrzeby mieszkaniowe dla mnie i mojej rodziny (żona i czworo dzieci). Wszystkie meble były używane, ale w dobrym stanie. Lodówka i kuchenka były nowe. Mieszkanie posiadało własną instalację ogrzewania gazem. Moim sąsiadem piętro niżej był Sławek z Alą i córką Agnieszką. Zostałem zatrudniony na etacie adiunkta. Do moich obowiązków należało prowadzenie wykładów i ćwiczeń oraz prac dyplomowych w zakresie konstrukcji i technologii drobnych mechanizmów. Miałem także nadzór nad pracami w kreslarni. Jeżeli dyplomant wykonywał temat swojej pracy w „metal”, to także miałem obowiązek współpracować z warsztatem. W stosunku do studentów przestrzegałem zasady swobodnego wychodzenia na modlitwę. Zadałem sobie trud nauczenia się na pamięć imion i nazwisk wyróżniających się osób. W pracy bardzo mi to pomogło. Sam jestem absolwentem wydziału mechaniki precyzyjnej, tu pracowałem jako adiunkt wydziału mechaniki precyzyjnej i prowadziłem prace dyplomowe. Jako przykład, dla porównania na zdjęciach (fot. 22) są pokazane trzy pierwsze strony takiej pracy wykonanej pod moim kierunkiem.

Wszyscy Polacy pracujący na Uniwersytecie mieszkali w dwóch oddalonych od siebie osiedlach. Ja mieszkałem w Six cents logements (600 mieszkań). Tu wszyscy mieszkaliśmy w kilku piętrowych blokach, zarówno single jak ja i rodziny z dziećmi. Ci ostatni ze względu na swoje dzieci byli organizatorami tzw. „łączki” (fot. 23). To było miejsce za miastem oddalone nieco od drogi, ale z przepływającym obok strumieniem. Jak było sucho, to woda była w zagłębieniach, jak było mokro, to miejscami było dwa metry wody. Tu zbierali się wszyscy. Dorośli mieli okazję do poruszania ważnych spraw, np. bytowych, zdrowotnych itp.

الجمهورية الجزائرية الديمقراطية الشعبية
 REPUBLIQUE ALGERIENNE DEMOCRATIQUE ET POPULAIRE
 Ministère Délégué aux Universités
 Université de Sétif
 INSTITUT D'OPTIQUE ET DE MECANIQUE DE PRECISION

Mémoire de Fin d'Etudes
 en vue de l'obtention du diplôme
 d'ingénieur d'état en optique et
 mécanique de précision

OPTION : CONCEPTION D'APPAREILS

THEME

**Etude, Conception et
Réalisation d'un Tachymètre
à Force Centrifuge**

Proposé et Suivi Par :
Dr. J. PISKORZ

Réalisé Par :
M. M. HADJADI
M. L. BOURDIM

Présentation Juin 1991

-- DEDICACES --

je dédie ce mémoire à :

- Mes chers Parents.
- Mes frères et sœurs.
- Toute la famille.
- Tous mes Amis(es).

L. Bourdim

je dédie ce mémoire à :

- Ma défunte mère.
- Mon cher Père.
- Mes frères et sœurs.
- Tous mes Amis(es).
- Toute La famille.

M. Hadjadj

--REMERCIEMENTS--

- On tient à remercier vivement notre Professeur:
 Le Dr PISKORS Pour son assistance précieuse
 tout le long de la Préparation et l'élaboration de
 notre thème également, nos sincères remerciements vont à:
- La direction AMC (EL-Eulma) et le département
 outillage Pour leurs accords
 - Mr DELHOURM Brahim Pour ses idées judicieuse
 - GHAROUT Saâd Pour ses travaux d'usinage soignés
 - BACHIR Mourad, GUERMAMI Kamel et TALHI Madir
 Pour leur travaux d'usinage
 - Les enseignants qui ont contribué à notre formation
 - Nos amis qui nous ont aidé de près ou de loin
 en vue de réussir dans la réalisation de notre projet.
 - En fin, nous tenons à exprimer notre Profond respect
 aux membres de jury.

Fot. 22. Przykłady pracy dyplomowej



Fot. 23. Wypoczynek na „łączce”

Dzieci z zapalem bawiły się w wojsko. Tymi zabawami kierowałem (cały czas w Afryce byłem bez rodziny), mianując się pułkownikiem. Jak miałem z czego, to strugałem im karabiny. Awansowałem moich podopiecznych na kolejne stopnie wojskowe. Były zbiórki i nauka krycia się w pobliskich krzakach. W rezultacie tych zabaw uczestniczyłem w bardzo sympatycznym zdarzeniu podczas ceremonii bierzmowania. Dwie siostry zakonne, które przybyły z Biskupem z Konstantyny, usiadły obok mnie. Przedstawiłem się z imienia i nazwiska. Siostry zareagowały z widocznym na ich twarzach szacunkiem: „a to pan pułkownik”. Skromnie skinąłem głową. Z tej grupy częstych bywalców „łączki” wyłoniły się osoby zaprzyjaźnione ze mną. Zaczęliśmy razem spędzać Święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy, a także imieniny. Powstał wśród nas pewien dobrze widziany zwyczaj kupowania w prezencie imieninowym ręcznie wykonanych tac, misek, czajników w starych manufakturach. Na moich imieninach moja żona Ewa odbiera taki prezent (fot. 24).

W każdą niedzielę wyjeżdżaliśmy nad morze. Sezon kąpielowy zaczynał się od połowy marca i trwał do połowy listopada. Jeździliśmy wyłącznie na Plage Rouge nazwaną tak z powodu koloru piasku. Aby do niej dojechać, należało przebić się przez Atlas Teliene. Jedyna droga prowadziła przez cieszącą się złą wojenną sławą wawóz Kherraty (fot. 25).



Fot. 24. Imienin Ewy



Fot. 25. Wąwóz Kherraty



Fot. 26. Kamienie z Plague Rouge

Samochody parkowaliśmy w cudownie pachnącym eukaliptusowym lasku. Z parkingu do plaży schodziliśmy stromo wijącą się ścieżką. Po obu jej stronach rosły gęste, pięknie kwitnące bugenwille. Seans kąpielowy trwał zazwyczaj od godziny 10:00 do 17:00.

Jest czerwiec 1991 r. Zaniepokojona sytuacją polityczną w Algierii przyjeżdża moja żona. Jedziemy na plażę. Po drodze zatrzymują nas

żołnierze przy zaporze ze sprasowanej słomy– na niej na nóżkach karabin maszynowy. Żołnierze śmieją się do nas i częstują brzoskwiniami. My dajemy im butelki z wodą. Żegnamy się z nimi *au revoir*. Zapada decyzja – wracam do kraju.

Piąta praca: Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne MERA-BŁONIE 1992–2003

Po zakończeniu kontraktu wróciłem do pracy w PIAP. Po rozmowie z dyrektorem zacząłem szukać nowego pracodawcy. Jeden telefon do kolegów w FSO ukształtował moje życie zawodowe aż do emerytury. Na Żeraniu przyjął mnie dyrektor ds. rozwoju technicznego mgr inż. Zdzisław Welig. Przy powitaniu dał mi propozycję opracowania zestawów wskaźników do wersji Poloneza MR'93. Do pomocy wyznaczył mgr. inż. Jana Strausa (mojego studenta z wydziału elektrycznego PW) i plastyka Mirosława Kowalczuka. W domu jeden pokój zamieniłem na pracownię projektową. 29 lutego 1992 r. otrzymałem wypowiedzenie pracy w PIAP, a od 1 marca byłem już pracownikiem ZMP Mera-Błonie na stanowisku pełnomocnika dyrektora ds. nowych uruchomień. Zakład dysponował doskonale wyposażoną narzędziownią i wysoko kwalifikowaną załogą. Nowym kierownikiem narzędziowni został Józef Rokicki (MP 68/69). Produkcja nowego zestawu wskaźników (fot. 27) do poloneza MR '93 została uruchomiona w kooperacji z włoską firmą Magneti Marelli¹.

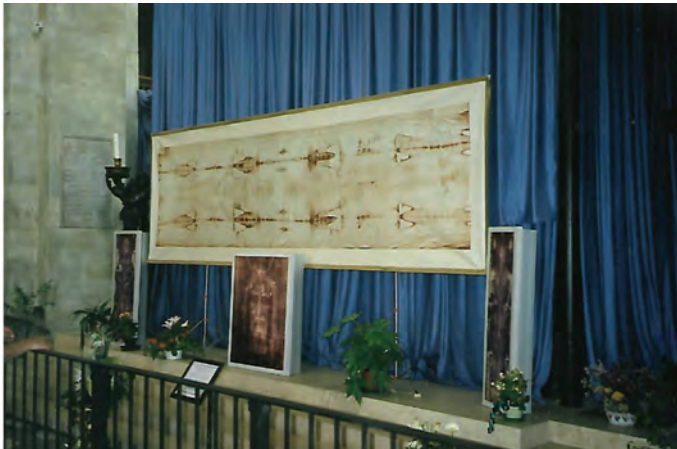


Fot. 27. Zestawów wskaźników do wersji Poloneza MR'93

¹ J. Bezapko, Historia Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych Mera-Błonie 1953–2003. Wydanie II. Towarzystwo Ziemi Błoniejskiej, 2018.

Przez cały czas kooperacji firmę tę reprezentowali panowie Antoino Ravenna i Augusto Riggi, obaj świetnie mówili po francusku. Kooperacja trwała do chwili uruchomienia przez Lumel i Poltik krajowych zamienników.

Inną włoską firmą, z którą miałem kontakt, była Turyńska Telefonica¹. Już w końcowej fazie stosowania ogólnodostępnych automatów telefonicznych Mera-Błonie otrzymało zamówienie na nowy aparat CTPI. Zostałem delegowany z grupą technologów do biura technicznego tej firmy w Turynie. Dokumentację konstrukcyjną otrzymaliśmy już pierwszego dnia. Problemem był dostęp do informacji technologicznych w zakresie wykonania trudnej obudowy. Bezskutecznie czekaliśmy dwa dni. W tym czasie zwiedzaliśmy Turyn ze szczególnym poświęceniem uwagi katedrze turyńskiej, gdzie w jej bocznej kaplicy znajdował się Całun Turyński (fot. 28).



Fot. 28. Całun Turyński

W końcu nie pokazano nam procesu wykonania obudowy. Niejako dla złagodzenia sytuacji otrzymaliśmy gotową obudowę.

Turyn leży w Piemencie, w południowej części Alp. Po drugiej stronie Alp, w południowej Alzacji współpracowałem kilka lat z firmą GRME (Groupe de Realisation Mecanique et Electronique)¹ leżącą w Pulversheim. Produkowaliśmy dla nich szafy sterownicze dla energetyki i telekomunikacji. Wielokrotnie odwiedzałem ją z naszymi technologami. Za każdym razem zatrzymywaliśmy się w hotelu Arc en Ciel (fot. 29).

Każdorazowy przyjazd kończył się wspólną kolacją z daniami tutejszej kuchni. Na talerzu o średnicy ok. 35 cm podawano smażony kotlet

wieprzowy o grubości ok. jednego cala i zajmujący ok 50% powierzchni talerza. Na drugiej połówce leżała kiełbasa. Całość była przykryta czapą gotowanej kiszanej kapusty. Popijaliśmy tak skomponowane danie litrowymi kuflami piwa. Moimi wieloletnimi współpracownikami tej firmy byli Flaig, Maurer oraz Perez. Ten ostatni był ze mną szczególnie zaprzyjaźniony i goszczony u mnie w domu.



Fot. 29. Hotel Arc en Ciel

Inną firmą francuską, którą wizytowałem, był Monétel w Valence. Przyjechałem z kolegą elektronikiem, aby nawiązać współpracę w produkcji kasownika biletów w komunikacji miejskiej w Warszawie. Podpisaliśmy na portierni dokument zachowania poufności. Pokazano nam wszystko, o co prosiliśmy. Niestety, współpraca nie została nawiązana. Rozmowy z nami prowadzili Jacques Giraud i Dominique Bievre.

Wyjeżdżałem często, aby we francuskojęzycznych krajach załatwić bieżące sprawy zakładu. Na przykład wymianę uszkodzonych drukarek do parkomatów u francuskiego producenta. Pomagał mi Marek Stachura. A najlepiej mi utkwiał w pamięci wyjazd z dyrektorem Dziewulskim do zakładów w Lodi, blisko Mediolanu. Na miejsce spotkania wybrano ekskluzywną restaurację w centrum Mediolanu. Oprócz nas, udział wzięli dyrektorzy firmy z Lodi i przedstawiciele polskich placówek handlowych. Na stole w wazach podano fruits de mer oraz butelkę grappy. Zająłem się degustacją langusty, kalmarów, krewetek, ośmiorniczek i krabów. Kelner

zainteresował się moim apetytem, gdyż reszta gości z polskiej strony tym daniem nie była zainteresowana. Wyjaśniłem mu, że sześć lat spędziłem w Tunezji i Algierii. Po chwili kelner postawił przede mną butelkę Cabernet Sauvignon i podał orzechowy sos do kalmarów.

PRZEPUSTKA STAŁA
NA OKAZIATELA

NR ...21...

ZMP MERA-BŁONIE
Nazwa firmy

Janusz Piskorz

Data wydania ...2.01.2002... SZEF

nr rej. sam. Wewnętrznej Służby Ochr.

WFM 6350. Zysman Cichal

data 2.01.2002	data	data
podpis	podpis	podpis
data	data	data
podpis	podpis	podpis

Fot. 30. Ostatnia moja przepustka do Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych Mera-Błonie

Na pożegnanie ZMP Mera-Błonie podniosłem markę narzędziową, znaną wśród mikroskopów wyrzuconych na placu węglowym przed kotłownią podczas likwidacji zakładu.



Fot. 31. Marka Narzędziowa

Szósta praca: Zakłady Mechatroniki MERA-BŁONIE Sp. z o.o. 2003–2007

Zostałem zatrudniony na stanowisku kierownika linii produktów.
Na emeryturę przeszedłem w 2008 roku.

Podziękowanie

Dziękuję Frankowi Szafrąnskiemu, Prezesowi Koła Absolwentów I Przyjaciół Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki za sformułowanie tytułu moich wspomnień „**Język francuski i ja**”.

Alojzy Kazimierz Retajczyk



Studia 1960–1967
Specjalność: Przyrządy Pomiarowe

Od Redaktora do rozdziału „Uratowany” Alka Retajczyka

W poprzednim (II) tomie „Księgi Wspomnień” Alek Retajczyk opisał swoje wspomnienia związane ze studiami, najpierw na Wydziale Mechanicznym Technologicznym, a następnie Wydziale Mechaniki Precyzyjnej. Opisał też swoją bogatą karierę zawodową związaną głównie z pracą w Zakładach Radiowych im. M. Kasprzaka (ZRK) w Warszawie.

W tomie III, w rozdziale „Uratowany”, opisał wspomnienia o zupełnie innym charakterze związane z nagłą chorobą już w okresie emerytalnym. Jest to opis dramatycznych przeżyć doznanych w wyniku zawału serca, a także opis walki personelu medycznego, lekarzy i pielęgniarek w różnych placówkach ochrony zdrowia, o utrzymanie Alka przy życiu. Walki zakończonej sukcesem również dzięki pełnej determinacji postawie pacjenta. W rozdziale nie ma bezpośrednich odniesień do studiów, czy późniejszej kariery zawodowej. Jest natomiast próba krytycznego spojrzenia na braki organizacyjne w ochronie zdrowia, w czym umiejętności zawodowe związane z organizacją i zarządzaniem okazały się bardzo przydatne. Dlatego, między innymi, zdecydowałem o włączeniu tego rozdziału do III tomu Księgi Wspomnień.

Alka nie ma wśród nas. Odszedł 9 listopada 2021 roku

Jest początek października 1961 roku. Po inauguracji roku akademickiego zostaliśmy podzieleni na grupy. Nie znaliśmy się ani z imienia, ani z nazwiska. Najlepiej poradziła sobie z tym część męska, wprowadzając

obowiązującą wówczas formułę pierwszego kontaktu z nieznanym: cześć stary, widzisz stary, nie rób tego stary itd.

Jednakże obecność nielicznych koleżanek skłoniła nas do szybkiego poznania ich imion. Brylował w tym Alek. Był niezwykle szarmancki wobec wszystkich koleżanek bez względu na ich urodę. Był to dobry przykład dla nas wszystkich. Pękły lody, zbliżyliśmy się do siebie. Do załatwiania spraw na poziomie wykładów, ćwiczeń i spraw socjalnych od tej pory zawsze był delegowany Alek. Aż do wyboru specjalizacji byliśmy z Alkiem blisko. Później pojawiły się inne warunki studiów, w innych grupach. Nasze dziewczyny stawały się z czasem narzeczonymi, a także żonami. Nasze więzy studenckie połuźniły się.

O tym, że Alek został Zastępcą Dyrektora ZRK ds. technicznych i rozwoju dowiedziałem się od profesora Zdzisława Mrugalskiego. Tę informację uzupełnił swoją opinią, że jest On spełnionym inżynierem i że posiada charakter koncyliacyjny niezbędny na tym stanowisku. W końcu lat 90., pracowałem z Alkiem przez dwa lata nad wprowadzeniem zmian organizacyjnych w moim zakładzie (ZMP Mera-Błonie), niezbędnych do uzyskania certyfikatu ISO 9000. Alek zmienił się. Był rozgoryczony niezasłużonym upadkiem polskiego przemysłu. Nie tak widzieliśmy obaj nasze emerytury.

Alek zaczął pisać wspomnienia. Pierwsza część dotyczyła przebiegu nauki i pracy zawodowej i umieszczona została w drugim tomie KSIĘGI WSPOMNIENIŃ 1953–2018. Bardzo Alkowi zależało, aby druga część Jego wspomnień dotycząca walki z chorobą ukazała się w tomie trzecim. Stojąc nad Jego grobem powiedziałem Rodzinie, że trzeci tom ukaze się w 60-lecie powstania Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki w czerwcu 2022.

Janusz Piskorz
28.03.2022

URATOWANY

...pewnego dnia– zupełnie nieoczekiwanie, bo przecież nikt nie zna dnia ani godziny– straciłem kontakt ze światem... i tylko dzięki czuwającej nade mną Opatrzności Bożej, jak też determinacji, profesjonalizmowi i mocnej wierze tych, którzy okazali się być do głębi godni miana Człowieka, mogę śmiało rzec, że narodziłem się na nowo.....

Zawał i pierwsza pomoc

Rano, 4 października 2012 roku obudził mnie potworny ból w klatce piersiowej. – *To może być zawał...* – pomyślałem. Nie tracąc czasu zadzwoniłem na nr 112 i poprosiłem o pilny przyjazd karetki reanimacyjnej. Telefon odebrał Pan o miłym głosie. Poprosił, abym opisał objawy związane z bólem. Przyjął moje wyjaśnienia spokojnie, a następnie poprosił o nazwisko i imię oraz adres zamieszkania. W końcu zapytał, czy jestem w stanie otworzyć drzwi wejściowe do mieszkania? – *Spróbuję...* – odpowiedziałem. Wówczas Pan wykazał się godnym podkreślenia mistrzostwem, jeśli chodzi o – dosłowne – *sterowanie* chorym z oczywistymi objawami zawału. Po niezwyklej moim wysiłku i wspomnianym *sterowaniu* mną przez Pana (spod numeru 112), udało mi się drzwi otworzyć. Drogę powrotną od drzwi do krzesła przebyłem tylko dzięki – tak to wtedy odbierałem – coraz rzadziej dziś spotykanemu subtelnemu, a jednak bardzo konkretnemu wsparciu, a także wskazówkom „Pana 112”. Jego kultura, empatia i ciepło w głosie pozwoliły mi się nieco uspokoić. Dotarłem do krzesła i usiadłem przy stole. – *Proszę podeprzeć głowę dłońmi pod brodą i spokojnie czekać, parę minut, na przyjazd karetki* – usłyszałem zalecenie. Czas dłużył się... Na stole leżał lek Acard. Przeczytałem ulotkę i dowiedziałem się z niej, że w przypadku zawału serca można zażyć 4 tabletki leku, pogryźć je i popić szklanką wody niegazowanej (dobrze, że była akurat w zasięgu ręki). Tak też uczyniłem. Po chwili myślałem już tylko o tym, co mam powiedzieć lekarzowi. Przypomniałem sobie, że kilka lat wcześniej poinformowano mnie, że jestem uczulony na nitroglicerynę (dokładnie nie pamiętam, który lekarz i z którego szpitala). W czasie, gdy ja z objawami zawału czekałem na przyjazd karetki reanimacyjnej, moja żona Ewa robiła zakupy w sklepie osiedlowym. Kiedy wracała z zakupami, karetka stała już przy VIII klatce naszego bloku – lekarz, pielęgniarka i dwóch sanitariuszy usiłowali dostać się do wewnątrz. Po otwarciu drzwi wejściowych przez moją żonę – wszyscy razem wsiedli do windy. – *Państwo na które piętro?...* – niczego nie podejrzewając, spytała

Ewa. W odpowiedzi usłyszała numer piętra, na którym mieszkamy. – *Pewnie jadą do sąsiadki, przecież choruje już od wielu miesięcy...* – pomyślała. Po wyjściu z windy medycy oświadczyli, że przyjechali do chorego, który dzwonił na numer 112. Podali nazwisko... i... numer naszego mieszkania. Pod żoną nogi się ugięły. Ta informacja dla niej była szokiem...

Po wejściu do mieszkania doktor zbadał mnie i przeprowadził krótki wywiad lekarski. Poinformowałem go o tym, że zażyłem 4 tabletki Acardu i o uczuleniu na nitroglicerynę. Przed zabraniem mnie na „fotel noszowy” otrzymałem zastrzyk (myślę, że to była morfina). Gdy wynoszono mnie z mieszkania do windy, byłem już jak „roślina”... Nie pamiętam, czy zdążyłem żonie cokolwiek powiedzieć... Lekarz poprosił ją o pilne dostarczenie do Szpitala Bielańskiego: mojego dowodu osobistego, historii choroby i wykazu zażywanych przeze mnie leków. Ostatnim obrazem zarejestrowanym przed umieszczeniem mnie w karetce była osoba gospodarza klatki schodowej nr VIII naszego bloku na Reymonta. Straciłem przytomność... Zawieziono mnie do Szpitala Bielańskiego, gdzie trwała dalsza walka o moje życie.

Rola personelu medycznego Szpitala Bielańskiego w Warszawie w procesie mojego ratowania

Niniejszy opis przebiegu procesu mojego ratowania w Szpitalu Bielańskim opieram (z konieczności – byłem bowiem nadal nieprzytomny) na podejmowanych działaniach i wynikach badań opisanych w dokumencie pt. Karta Informacyjna..... Do ww. Karty... dołączonych jest pięć niżej wymienionych załączników, które zawierają: szczegółowo udokumentowane, prowadzone działania i autoryzowane wyniki badań specjalistycznych, a także odręcznie napisane ustalenia dotyczące wyników konsultacji kardiochirurgicznej z Instytutem Kardiologii w Aninie. A oto one:

- Badania Echokardiograficzne,
- Wynik zabiegu PTCA,
- Wynik badania koronograficznego,
- Wyniki badań diagnostycznych,
- Ustalenia z konsultacji kardiochirurgicznej z Instytutem Kardiologii w Aninie.

W Karcie Informacyjnej pkt. **ROZPOZNANIE OPISOWE** stwierdzono, cyt.: *„Zawał serca z uniesieniem odcinka ST leczony angioplastyką prawej tętnicy wieńcowej implantacją stentu i podaniem Integriliny powikłany wstrząsem kardiogenym, niewydolnością oddechową i niedomykalnością*

mitralną spowodowaną pęknięciem mięśnia brodawkowatego przednio-bocznego. Wielonaczyniowa choroba wieńcowa. Nadciśnienie tętnicze. Otyłość. ...”.

Natomiast, w ww. Karcie... pkt. **EPIKRYZA** napisano, cyt.: „70-letni pacjent o nieznanym wywiadzie chorobowym został przywieziony do szpitala z powodu STEMI ściany dolnej. Początkowo w SOR obrzęk płuc – wymagający wentylacji mechanicznej. W trybie pilnym wykonano koronarografię oraz PCI niedrożnej PTW z implantacją stentu BMS z podaniem eprifibatidu. Poza tym opisano niedrożną GO i 80% zwężenie GPZ. Przy przyjęciu do sali R pacjent w stanie ciężkim, nieprzytomny, zaintubowany, wentylowany w trybie SIMV przez rurkę intubacyjną, z założoną kontrapulsacją wewnątrzortalną. Przedmiotowo z tachykardią 110’ (RZM), IBP ok. 90/60 mmHg. Założono wkłucie centralne, sondę do żołądka. W przyłożkowym ECHO serca stwierdzono istotną niedomykalność mitralną i zerwany mięsień brodawkowaty przednio-boczny. Początkowo pacjent pobudzony, wymagał okresowej sedacji Midanium i.v., rano 05.10.2012 r. z powierzchownym kontaktem. Na czas transportu ponownie sedowany Midanium. Po konsultacji kardiochirurgicznej pacjent zostaje przekazany do Kliniki Intensywnej Terapii Kardiologicznej I.K w Aninie celem dalszego leczenia”.

Po przewiezieniu mnie ze Szpitala Bielańskiego do Instytutu Kardiologii w Aninie zadzwonił do mojej żony lekarz Pogotowia Ratunkowego, który opiekował się w mną w czasie przejazdu i oznajmił (cyt.:) *Pani mąż jest już w Instytucie Kardiologii w Aninie. To cud, że przeżył podróż.* (Tę informację przekazała mi – z wyraźnym wzruszeniem – moja żona, dopiero kilka lat po zawale). **Z analizy treści informacji zawartych w ww. Karcie... wynika wniosek, że rola personelu medycznego PODODDZIAŁU INTENSYWNEGO NADZORU Szpitala Bielańskiego w Warszawie, pod kierunkiem Ordynatora dr. hab. n. med. Marka Dąbrowskiego, w procesie mojego ratowania – moim skromnym zdaniem – jest nie do przecenienia. Dziś, po prawie siedmiu latach mówię Całemu Personelowi Medycznemu wyżej wymienionego PODODDZIAŁU DZIĘKUJĘ, za to wszystko co Państwo dla mnie uczynili:** Sądzę, że wszystkie przeprowadzone w Szpitalu działania medyczne – a w szczególności implantacja stentu – spowodowały podtrzymanie mojego życia i umożliwiły – przeprowadzenie bardzo skomplikowanej operacji serca, a informacje zawarte w Karcie Informacyjnej ułatwiły – w dużym stopniu – kardiochirurgom Instytutu Kardiochirurgii w Aninie jej wykonanie.

Batalia o życie prowadzona przez personel medyczny w Instytucie Kardiologii w Aninie

W Instytucie Kardiologii w Aninie przebywałem na leczeniu w okresie od 05.10.2012 do 19.11.2012 r. Opis przebiegu procesu mojego ratowania w I.K. w Aninie oparłem (również, z konieczności – byłem bowiem nadal nieprzytomny (na podejmowanych działaniach i wynikach badań opisanych w dokumencie pt. Karta Informacyjna..... Karta Informacyjna (Historia choroby) liczy 16 stron, na których są podane: rodzaje przeprowadzonych badań, daty ich przeprowadzenia i konkretne wartości badanych parametrów oraz wartości oczekiwane.

A oto one:

W Karcie Informacyjnej pkt. **ROZPOZNANIE** stwierdzono, cyt.: *Wszczepienie biologicznej zastawki mitralnej (MOZAIC 27 mm) z powodu ostrej niedomykalności mitralnej w mechanizmie mięśnia brodawkowatego tylnego w przebiegu zawału serca z uniesieniem odcinka ST ściany dolnej powikłanym wstrząsem kardiogennym i CABG (SV-GPZ i SV-GM) (05.10.2012. I.K.). Stan po PCI PTW (05.10.2021. Szpital Bielański, Warszawa). Odleżyna okolicy krzyżowo-ogonowej. W ww. Karcie... pkt. **EPIKRYZA** napisano, cyt.: *70-letni pacjent został przyjęty do Instytutu Kardiologii w Aninie w trybie pilnym z powodu zawału serca z uniesieniem odcinka ST ściany dolnej leczonym angioplastyką PTW z implantacją stentu oraz ostrą niedomykalnością mitralną z powodu pęknięcia mięśnia brodawkowatego tylnoprzyszrodkowego. Przy przyjęciu chory w stanie krytycznym we wstrząsie kardiogennym, nieprzytomny na wlewach katecholamin (chory pod wpływem leków sedatywnych-midazolam włączonych poza Instytutem Kardiologii). W trybie nagłym wykonano zabieg operacyjny – wszczepiono zastawkę mitralną (MOZAIC 27mm) i wszczepiono pomosty aortalno-wieńcowe (CABG: SVG- GPZ i SVG- GM). Przebieg pooperacyjny powikłany niewydolnością wielonarządową z dominującą we wczesnym okresie niewydolnością krążeniową i oddechową. Długotrwałe utrzymywano wspomaganie serca kontrapulsacją wewnątrzortalną (IABP 11 dni) oraz infuzją katecholamin (19 dni) a także leczenie niewydolności oddechowej terapią respiratorem (10 dni). Bardzo szybko po operacji rozwinęła się ostra niewydolność nerek (zespół sercowo-nerkowy ostry) leczony terapią nerką zastępczą (CRRT) przez 9 dni a następnie przez forsowną diurezę dużą dawkę furosemidu na dobę w ciągłej infuzji. Powrót świadomości po zabiegu operacyjnym bardzo powolny z okresami pobudzenia psychoruchowego. W okresie pooperacyjnym obserwowano również migotanie przedsionków – rytm zatokowy powrócił samoistnie. W okolicy kości piętowej lewej i kości krzyżowej wystąpiły odleżyny – w trakcie leczenia (odleżyna okolicy krzyżowej po świeżym opracowaniu chirurgicznym w dniu 19.11.2012).**

Pacjent intensywnie rehabilitowany – samodzielny. W RTG klatki piersiowej wykonanym 12.11. br. uwidoczono w niedużym stopniu powiększone serce prawidłowy obraz krążenia płucnego, bez płynu w jamach opłucnych.

W kontrolnym badaniu echokardiograficznym stwierdzono niepowiększoną lewą komorę, z przerostem jej mięśnia, akinezę ściany dolnej i w niedużym stopniu upośledzoną globalną funkcję skurczową (EF 45–50%) oraz prawidłową funkcję zastawki w ujściu mitralnym, bez patologicznej ilości płynu w jamie osierdzia. Zaplanowano wizytę kontrolną w Poradni Kardiologii i Transplantologii za miesiąc (po wcześniejszym telefonicznym uzgodnieniu terminu, 22 3434246) i zalecono dalszą regularną opiekę w trybie ambulatoryjnym. Pacjenta w stanie dobrym wypisano do domu.

W tym roku (2019) minie 7 lat od czasu, kiedy – wróciłem do żywych. Determinacja i profesjonalizm personelu medycznego Instytutu Kardiologii w Aninie zaangażowanego w ratowanie mojego życia przyczyniła się do szczęśliwego zakończenia leczenia po zawale i do tego, że nadal mogę cieszyć się życiem oraz służyć – różnym ludziom – wiedzą i doświadczeniem. Spośród całego grona personelu medycznego I.K. w Aninie pragnąłbym wyróżnić niezwykłego kardiochirurga – Pana doktora Piotra Kołsuta, który to w mistrzowski sposób przeprowadził wielogodzinną operację mojego serca. Dziś po latach mówię Wszystkim wyżej wymienionym DZIĘKUJĘ za to wszystko, co Państwo dla mnie uczynili. Nie czułbym się jednak w zgodzie z samym sobą, gdybym – jako człowiek wierzący – nie wspomniął o niepojętym, acz wyraźnie doświadczonym udziale OPATRZNOŚCI BOŻEJ, w całym procesie mojego ratowania. Myślę bowiem, że Pan BÓG nie wyręcza ludzi w ich czynnościach zawodowych – ale sprawuje nad nimi opiekę, a niektórym – jeśli już zdarzy się im popełnić błędy (albowiem, nie ma co zaprzeczać – *errare humanum est*) – daje szanse na poprawę.

Moje przeżycia w śpiączce farmakologicznej

Najdłuższa... z dróg krzyżowych

Historia tego przeżycia wiąże się z szalonym pomysłem pewnej góralki z Zakopanego. Ta zażywna i pełna niecierpiącej sprzeciwu stanowczości kobieta postanowiła zorganizować największą i najdłuższą w Polsce drogę krzyżową. Droga, z jej pierwszą stacją, zaczynać się miała właśnie w Zakopanem, a kończyć w Warszawie. Niewiasta owa miała już wcześniejsze doświadczenia w organizacji dróg krzyżowych w Kalwarii Zebrzydowskiej. Prawdę

mówiąc, nie brałem udziału w żadnym castingu i o całym projekcie nie wiedziałem dosłownie nic. A tu – ni stąd, ni zowąd – znalazłem się fizycznie w Zakopanem, w okazałych rozmiarów sali, w której stał duży stół, a za nim wśród kierownictwa – odpowiedzialnego za realizację projektu – siedziała potężnej postury groźna góralka – Pani KIEROWNICZKA. Na sali znajdowało się około 75 osób z różnych miejscowości, gdzie miały być zaplanowane kolejne stacje drogi krzyżowej. W pewnym momencie Pani KIEROWNICZKA mocno uderzyła młotkiem w stół, rozpoczynając spotkanie organizacyjne. Przywitała serdecznie wszystkich zebranych w sali, omówiła szczegółowo cały plan realizacji drogi krzyżowej, wyczytała nazwiska i imiona odpowiedzialnych za poszczególne stacje i na końcu wymieniła moje imię i nazwisko – oświadczając, że to właśnie ja mam być Ukrzyżowany. Zacząłem głośno protestować i krzyczeć, że się nie zgadzam. Reakcja KIEROWNICZKI była natychmiastowa: – związać, ogłuszyć, uśpić, przybić do krzyża – *i spokój!*

A jak przyjdzie czas, to się go obudzi i poniesie na krzyżu w drodze – Tak przebyłem w śpiączce farmakologicznej najdłuższą w życiu drogę krzyżową. Po jej zakończeniu „obudziłem się”... Byłem cały mokry i... chciałoby się rzec – *nieludzko* – nieprawdopodobnie zmęczony.

Zjazd rodzinny w nowym, olbrzymim domu na Mazurach obok malowniczo położonego jeziora

Pewnego dnia – w połowie czerwca 2010 roku – moja żona Ewa weszła do mieszkania tak podekscytowana, że zbladłem z przerażenia, a ona na to: – *Nie martw się, nic się nie stało* – wygrałam w Toto Lotka 50 milionów złotych!!! Zamurowało mnie, a ona tak się rozmarzyła, że po 15 minutach: mieliśmy za sobą już podróż dookoła świata i staliśmy się właścicielami willi na Florydzie (a może też na Lazurowym Wybrzeżu). Sprzeciwiłem się propozycjom Ewy i ostatecznie zdecydowaliśmy się na zakup dużego dworu piętrowego na Mazurach obok malowniczo położonego jeziora. Jego uprzednimi właścicielami domu byli architekci z Warszawy, którzy otrzymali olbrzymi spadek w Brazylii i – po sprzedaży dworu i reszty posiadłości – wyjechali z Polski. Dom był piękny, w kształcie litery „u”, z dziesięcioma sypialniami na piętrze, pełnymi węzłami sanitarnymi, biblioteką i czytelnią. Na dole pięćdziesięciometrowy salon z fortepianem firmy Steinway & Sons, jadalnia dla 24 osób, kuchnia, dwa salony kąpielowe, jak też pokój-pracownia dla artystów (architektów i malarzy). Przed domem duży (kilkadziesiąt m kw.) zadaszony taras, którego przeszklenie stanowiły kolorowe witraże. Przed domem

piękny ogród kwiatowy (podobny do dywanów kwiatowych w Ciechocinku – 1000 m²). Za ogrodem blisko stumetrowy pas świerków, jodeł, sosen i kilkanaście dużych dębów, a za drzewami jezioro – z wodą czystą niczym w jeziorze Hańcza. Cały teren (3000 m²) – z dostępem do jeziora – był ogrodzony wysoką siatką. Do domu na Mazurach wprowadziliśmy się 1 czerwca 2011 roku. Na 21 czerwca 2012 roku żona zaprosiła całą naszą rodzinę (siostry i braci z rodzinami oraz wnukami), a także przyjaciół, z którymi utrzymujemy kontakty od ponad pięćdziesięciu lat. Wysłała do wszystkich zaproszenia i w krótkim czasie otrzymała informacje, że w spotkaniu będzie uczestniczyło około 60 osób. Organizację zjazdu rodzinnego zleciła żona renomowanej firmie cateringowej LUX. Ustalono program spotkania, menu, liczbę gości oraz to, że stoły do konsumpcji będą ustawione w podkowie przed tarasem. Początek spotkania zaplanowano na godz. 12:00 a zakończenie na 22:00. Zaplanowano również odpowiednie dodatkowe oświetlenie przed dworem i ognisko nad jeziorem na godz. 18:00.

Na dwa miesiące przed zjazdem rodzinnym – kiedy już wszystko jest związane na tzw. ostatni guzik, ja trafiam do Instytutu Kardiologii w Aninie – po zawale. Na moje szczęście operacja kończy się wielkim sukcesem. Zostaję wypisany do domu na trzy dni przed zjazdem. Co prawda, jeszcze wtedy, z pomocą żony, na nowo uczę się chodzić, jeszcze 95% czasu spędzam w łóżku, ale nie odwołujemy zaplanowanego zjazdu rodzinnego. Pomagają nam w tym przedsięwzięciu lekarze z I.K. w Aninie, oferując dwudobową opiekę medyczną nade mną podczas spotkania rodzinnego. Dla mnie zostaje przygotowane specjalne łóżko o wym. 1,5x2,5 m, na wprost drzwi wyjściowych na taras z możliwością wzrokowego uczestnictwa w rodzinnym zjeździe. Gospodarzem spotkania jest moja żona, która w tej roli spisuje się na (co najmniej olimpijski) medal. Wszyscy goście bawią się wyśmienicie, a moi opiekunowie medyczni zapewniają wszystko, co jest potrzebne choremu i chronią mnie przed witaniem się z gośćmi (w obawie przed ewentualną infekcją). Całe spotkanie kończy się około 22:00. Następnego dnia rano przychodzi do mnie, jeszcze zasnana, żona i pyta jak się czuję po rodzinnym spotkaniu. Długo nie odpowiadam na jej pytanie, proszę tylko, aby przybliżyła się do mnie – co chętnie uczyniła. Wówczas, zamiast mówić jej, że było cudownie (bo było naprawdę fantastycznie) – zanuciłem jej piosenkę śpiewaną przez Jerzego Połomskiego, zatytułowaną *Młodym być*. Była wyraźnie wzruszona i jednocześnie zaskoczona, dlaczego mój wybór padł akurat na tę, a nie inną piosenkę. Zacytowałem treść przedostatniego wiersza refrenu: „zakochanym być i kochanym być.” I już wszystko stało się jasne. Zjazd

rodzinny ze śpiączki farmakologicznej zostanie w mojej pamięci na zawsze, jako najdoskonalsze spotkanie rodzinne.

Wczesna rehabilitacja kardiologiczna w Szpitalu Kardiologicznym w Nałęczowie

W Szpitalu Kardiologicznym w Nałęczowie przebywałem na leczeniu od 20 listopada do 16 grudnia 2012 roku. Standardowa wczesna rehabilitacja kardiologiczna oferowana przez Szpital nie mogła być zastosowana w moim przypadku, ze względu na niezagojone głębokie odleżyny w okolicy krzyżowo-ogonowej. W związku z powyższym Pani doktor prowadząca zleciła mi indywidualne ćwiczenia gimnastyczne, które były prowadzone (codziennie rano przez pół godziny, przy otwartym oknie) w pokoju szpitalnym, pod nadzorem fizjoterapeuty. Wykonywane ćwiczenia miały na celu poprawienia jakości oddychania oraz ruchomości stawów nóg i rąk.

Równoległe do rehabilitacji próbowano przyspieszyć gojenie się odleżyn. Jednak stosowane tu opatrunki – podobnie, jak w I.K. w Aninie – nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Wówczas z pomocą przyszli mi znajomi lekarze ze Szpitala Klinicznego nr 4 z Lublina, ul. Jaczewskiego, z którymi współpracowałem służbowo przez wiele lat. Pewnego dnia po południu, trzech z nich odwiedziło mnie w szpitalu w Nałęczowie. Jeden był specjalistą w dziedzinie leczenia ran trudno gojących się. Po obejrzeniu ran zaproponował swoją metodę leczenia i uzyskał zgodę Dyrektora ds. Medycznych Szpitala w Nałęczowie, na jej zastosowanie. Następnie – w obecności pielęgniarki przełożonej i czterech pielęgniarek wytypowanych przez pielęgniarkę przełożoną – dokonał (w gabinecie zabiegowym) oczyszczenia odleżyn oraz założył opatrunek wg swojej metody leczenia. Po wykonaniu opatrunku, lekarz podyktował całą procedurę wykonywania tego zabiegu i omówił szczegółowo jej treść – punkt po punkcie – w obecności nas wszystkich w gabinecie zabiegowym. Podkreślał wielokrotnie wielką wagę higieny, przy wykonywaniu opatrunku. Procedurę napisała pani pielęgniarka przełożona i zatwierdziła do stosowania. Na pozytywne skutki leczenia nie trzeba było długo czekać. Pierwsza rana (płytsza) zagoiła się już po pół roku, a głębsza po prawie roku.

Dziś po latach mówię Wszystkim wyżej (lekarzom z Lublina) (i niżej wymienionym (z Nałęczowa) DZIĘKUJĘ, za to wszystko co Państwo dla mnie uczynili: Dyrekcji Szpitala w Nałęczowie – za stworzone mi właściwe warunki leczenia, personelowi medycznemu – za cierpliwość i wyrozumiałość przy moim marudzeniu podczas wykonywania bolesnych

opatrunków, Panu Andrzejowi (kierowcy z Pogotowia Ratunkowego) – za bezinteresowne i systematyczne zapewnianie mi owoców oraz wody.

Oprócz gimnastyki szpitalnej stosowałem – za zgodą lekarza prowadzącego – tzw. rehabilitację własną (zgodnie z samodzielnymi pomysłami) – polegającą na codziennym (porannym i wieczornym) spacerowaniu po korytarzu szpitalnym na pierwszym piętrze, jedno lub dwa okrążenia. Początkowo mogłem pozwolić sobie na spacer jedynie przy pomocy „chodzika”. Po tygodniu ćwiczeń nastąpiło takie wzmocnienie mięśni, że byłem w stanie pokonywać te dwa okrążenia korytarza (łącznie ok. 200 m) już bez „chodzika”. W czwartym tygodniu – tuż przed wypisaniem ze szpitala – ustanowiłem rekord – cztery okrążenia (ok. 400 m) samodzielnie. W szpitalu w Nałęczowie pracowałem również nad usprawnieniem szybkości i sprawności myślenia spowolnionego (tak mi się wówczas wydawało) ponad trzytygodniową śpiączką farmakologiczną zastosowaną po operacji serca. Skutecznym lekiem na tę dolegliwość – który podpowiedziała mi intuicja – okazała się lektura książek. Po przeczytaniu dwóch interesujących książek: „Dlaczego wierzę” (autor: Vittorio Messori) i – „Przekroczyć próg nadziei” (Bestseller, autor: Jan Paweł II), mózg zaczął pracować jak dobrze nasmarowany silnik po naprawie (i nadal dobrze działa).

Innym obszarem – ściśle związanym z moim ogólnym stanem zdrowia – nad którym pracowałem, była potrzeba odnowy duchowej po „przejściach sercowych”. Tu lekiem najskuteczniejszym okazały się: żarliwe codzienne modlitwy poranne i wieczorne, jak też udział w niedzielnych mszach świętych, odprawianych w kaplicy (sala jadalni szpitalnej). Większość z osób uczestniczących w mszach (pacjenci i liczna grupa personelu medycznego) przystępowała do komunii świętej. Po jej przyjęciu twarze uczestników mszy jaśniały radością i nadzieją na wyzdrowienie (tak wówczas postrzegałem ich emocje wyrażane podświadomie przez tzw. mowę ciała). To był zapadający w pamięć obraz ludzi szczęśliwych, doświadczających w sercu ukojenia i pokoju.

Do domu zostałem wypisany w stanie ogólnej poprawy, z zaleceniem leczenia farmakologicznego oraz spacerów.

Wymarzona wigilia

Mój powrót świadomości po zabiegu operacyjnym był bardzo powolny.... Dopiero około 25 października 2012 roku „wybudzono” mnie ze śpiączki farmakologicznej. Gdy otworzyłem oczy, po prawej stronie łóżka stali: brat Eugeniusz i Pani doktor anestezjolog Małgorzata

Jasińska (taką informację podał mi brat Eugeniusz) a po lewej siostra Irena. Siostra i brat byli ubrani w zielone fartuchy, czapki i maski, a Pani doktor była ubrana w biały fartuch. Pierwsze słowa, jakie z trudem wy dobyłem z siebie, bo byłem zaintubowany, brzmiały: – *Gdzie ja jestem?...* – Wyraźnie wzruszony i wielce zaskoczony brat, łkając, odpowiedział: – *Na ziemi...* –

Ja zaś, patrząc na wprost widziałem na ścianie krucyfiks oraz obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Jezusa Miłosiernego. Po chwili stwierdziłem:

– *A mnie się wydaje, że jestem w niebie...* – I ponownie brat zapytał, dlaczego tak sądzę? Patrząc na białą postać stojącą obok brata powiedziałem:

– *Bo obok Ciebie stoi Anioł...* – (tak to sobie wtedy wyobrażałem). Zapadła dłuższa chwila ciszy, po czym, Eugeniusz zapytał Panią doktor: – *Ile czasu będzie potrzeba, aby chory mój brat mógł zacząć normalnie żyć?* – Po dłuższej pauzie Pani doktor odpowiedziała: – *Jeszcze w tym roku będzie „czynnie uczestniczył” w wigilii Bożego Narodzenia...* – Ta wiadomość wlała w moją duszę niewyobrażalną nadzieję. Swoją nadzieję oraz całą swoją przyszłość powierzyłem Bogu i nie zawiodłem się. Marzenie się spełniło i po powrocie do domu z rehabilitacji w Nałęczowie już byłem w stanie radośnie uczestniczyć w – zorganizowanej przez moją żonę – wigilii Bożego Narodzenia. Zgromadziło się przy odświętnym stole 9 osób: brat Eugeniusz, siostra Irena z synem Piotrem, przyjaciółka żony z lat szkolnych Jola, syn Jacek z żoną Kasią i córką Anią, moja żona Ewa i ja (jako gospodarze). Atmosferę owego wigilijnego spotkania trudno opisać... Pozostaje nie do powtórzenia. Radość, ciepło spojrzeń i serdeczność życzeń, wspólne śpiewanie kolęd oraz traktowanie mnie jak „nowonarodzonego człowieka” – tego nie są w stanie oddać żadne słowa.

Wszystkim uczestnikom tej niezwyklej wigilii – po prawie siedmiu latach – mówię DZIĘKUJE!

Była to najcudowniejsza, wymarzona moja wigilia w życiu. Dziś składam wspaniałej i dobrej Pani doktor Małgorzacie Jasińskiej swoje najserdeczniejsze podziękowania za to prorocze, niemal biblijne zdanie:

– *Jeszcze w tym roku będzie czynnie uczestniczył w wigilii Bożego Narodzenia...* – wypowiedziane we właściwym miejscu i czasie.

Zaangażowanie najbliższej rodziny, krewnych, przyjaciół i znajomych w trakcie leczenia oraz w okresie rehabilitacji

W tym roku (2019) minie 7 lat od czasu, kiedy wróciłem do żywych, bowiem zaraz po zawale straciłem przytomność, a po operacji serca zostałem wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej i dopiero po ponad trzech tygodniach „wybudzono” mnie z niej. To był pierwszy powód, który sprawił, że nie wiedziałem o kilku faktach związanych z dużym zaangażowaniem się wielu ww. osób (w okresie leczenia i rehabilitacji). Drugim powodem było traktowanie tematu mojego stanu zdrowia, nawet przez najbliższe mi osoby, jako tematu drażliwego. Długo unikano wszelkich rozmów z nim związanych. Sytuacja zmieniła się dopiero po naszych (Ewy i moich) złotych godach, które obchodziliśmy 10 czerwca 2017 roku.

A oto czego dowiedziałem się po naszym jubileuszu o zaangażowaniu niżej wymienionych osób:

Ewa (żona) była pierwszą osobą z rodziny, na którą spadła – jak grom z jasnego nieba – wiadomość o moim zawale i następna, że cudem przeżyłem transport ze Szpitala Bielańskiego do Instytutu Kardiologii w Aninie. Te i inne porażające wiadomości o krytycznym moim stanie zdrowia nie odebrały jej jednak nadziei na możliwość uratowania mnie. Całą swoją ufność skierowała ku Bogu. Poinformowała o ww. faktach – żyjącą jeszcze wtedy – siostrę Angelę z Siedlec, księży: Prałata z naszej parafii (Marii Magdaleny na Wawrzyszewie) i Jacka z parafii przy ul. Broniewskiego, oraz moje siostry i braci, a także naszych pobożnych Przyjaciół – z prośbą o modlitwę o moje uratowanie. W mojej intencji zostały odprawione Msze święte w zakonie sióstr w Siedlcach oraz przy grobie Świętego Jana Pawła II w Rzymie. Tę ostatnią ofiarowali w mojej intencji nasi Przyjaciele: Ewa i Leszek, a Mszę świętą odprawił kardynał Tarcisio Bertone. Z wielu informacji dotyczących trudnych wówczas dla mnie chwil, najbardziej wzruszyła mnie informacja przekazana mi przez Jacka o żarliwej modlitwie Ewy w kaplicy Instytutu Kardiologii w Aninie, w czasie mojej wielogodzinnej operacji serca. Jacek powiedział mi: – *Tato, nie mogłem uwierzyć jak Mama bardzo gorąco prosiła Boga o Twoje uratowanie. Wyobraź sobie, że Mama – nie zważając, że w kaplicy modlą się również inni wierni – wyszła z ławki, podeszła do tabernakulum i chwyciwszy się jego obramowania, łkając, głośno wołała: Boże uratuj Alka, Boże uratuj Alka, Boże uratuj Alka...*

I Jacek zakończył: – *Czy Pan Bóg miał inne wyjście?... – musiał pomóc chirurgowi Cię uratować!* – Ewa codzienną troską o mnie – od wielu lat

– daje dowód wdzięczności Bogu za to, że wysłuchał modłów Jej i innych osób. **Jacek (syn)** po otrzymaniu od Ewy nw. informacji, że zostałem przewieziony ze Szpitala Bielańskiego do Instytutu Kardiologii w Aninie (zadzwoił do mojej żony lekarz Pogotowia Ratunkowego, który opiekował się mną w czasie przejazdu i oznajmił „*Pani mąż jest już w Instytucie Kardiologii w Aninie. To cud, że przeżył podróż*” **(przyjechał do Instytutu Kardiologii w Aninie w tempie ekspresowym.** Po uzyskaniu informacji od lekarzy o krytycznym moim stanie i szansie uratowania życia z prawdopodobieństwem pięćdziesiąt procent, **podjął błyskawiczną decyzję o potrzebie przeprowadzenia operacji serca i podpisał na nią zgodę.** Od dnia, kiedy odzyskałem przytomność i mogłem już mówić, Jacek codziennie był ze mną w kontakcie telefonicznym i często odwiedzał mnie z Ewą oraz ze swoją żoną Kasią i raz z córką Anią, która miała wtedy dopiero siedem lat. Po wypisaniu z Instytutu Kardiologii przywiózł mnie do domu, a zaraz następnego dnia – razem z siostrą Jagodą – zawiózł do Nałęczowa, a po miesiącu z powrotem przywiózł do Warszawy. Zawoził (i przywoził z powrotem) mnie jeszcze do sanatorium do Ciechocinka i nigdy nie narzekał, że jest to dla niego kłopot. Nadal interesuje się moim stanem zdrowia i wspiera tak, jak to tylko On – Syn (duża litera nie jest tu przypadkowa) – Jacek najlepiej potrafi.

Ania (wnuczka) podówczas siedmioletnia, odwiedziła mnie w Aninie, gdy byłem jeszcze „przykuty” do łóżka bóleści. Przekazała mi wówczas swój dar młodziutkiego serduszka i dowód miłości. Był to rysunek na jednej kartce – z jednej strony przedstawiał „widok raj” (kwiatki na błękitnym tle), na odwrocie było narysowane czerwone „pulsujące serce”. Przy powitaniu oboje mieliśmy oczy pełne łez... Wypowiedzieliśmy jedynie krótkie słowa o wzajemnej tęsknocie i miłości. **Kilka chwil patrzyliśmy sobie w oczy w milczeniu. Na koniec Ania przytuliła się do mnie i powiedziała: – Nie martw się, Dziadku, będzie dobrze... I wyszła,** ponieważ lekarz zgodził się tylko na pięciominutowe spotkanie ze mną. Trzeciego dnia po odwiedzinach Ani wstałem – przy pomocy rehabilitanta – i zacząłem stawiać pierwsze kroki... do normalności.

Rodzeństwo, krewni, przyjaciele i znajomi – w trakcie leczenia oraz w okresie rehabilitacji okazywali mi i mojej rodzinie dużo serca i życzliwości. Wyjątkową aktywnością i serdecznością wykazali się w czasie zorganizowanej przeze mnie akcji na terenie Instytutu Kardiologii, podczas której rozpocząłem – przy ich pomocy– naukę chodzenia. Zajęcia trwały w sobotę i niedzielę, a „dyżurni pomocnicy” przyjeżdżali w określonych dniach i godzinach zgodnie z uzgodnionym „harmonogramem

zająć”. W wyniku przeprowadzonych dwudniowych bardzo intensywnych ćwiczeń mogłem już w następnych dniach poruszać się – przy pomocy chodzika – po pokoju i korytarzu szpitalnym. Po tych niezwykłych moich „wyczynach” zostałem wypisany „w stanie dobrym” do domu.

Życie po zawale i wczesnej rehabilitacji kardiologicznej

Mój ogólny stan zdrowia po zawale uległ istotnemu pogorszeniu. Efektywność (wydolność) pracy serca i nerek spadła do poziomu poniżej 50%, zaś płuc do stanu uczucia ciągłego braku powietrza (oddychanie ze stale otwartymi ustami). Miejski Zespół ds. Orzekania Niepełnosprawności w Warszawie – po zapoznaniu się z moją dokumentacją medyczną – postanowił zaliczyć moją niesprawność do stopnia „ZNACZNEGO”. Dlatego też mój tryb życia po zawale musiał – w bardzo dużym stopniu – być ściśle dostosowany do aktualnego stanu zdrowia. Oczywistym stała się konieczność zrezygnowania z wielu moich ulubionych – od wielu lat – przyjemności, jak na przykład: pieszych wycieczek górskich, długich spacerów po plaży nad morzem, czy tańców na weselach lub balach sylwestrowych. Nie mogłem uczestniczyć (lub je ograniczyć) również w bieżącym życiu kulturalnym – oglądać wystawianych oper, słuchać koncertów w Filharmonii Narodowej czy oglądać spektakli teatralnych. Koniecznym stało się również ograniczenie spotkań towarzyskich itp... Co – przede wszystkim – spowodowało, że od zawału przeżyłem jednak szczęśliwie już prawie siedem lat i jestem nadal – czasami i mimo wszystko – radosnym człowiekiem. Otóż – moim zdaniem – są to niżej opisane „czynniki”.

Oparcie życia własnego i małżeńskiego na mądrości naszych przodków, wyrażającej się w przysłowiu „Bez Boga ani do proga”.

Od chwili kiedy zamarzyłem, aby Ewa została moją żoną, często chodziłem do kościoła św. Anny i tam – klęcząc w skupieniu przed Chrystusem Ukrzyżowanym – modliłem się o spełnienie mojej prośby. Natomiast w październiku 2012 roku – kiedy ja walczyłem o życie w Aninie – Ewa z synem Jackiem i prawie całą rodziną, przyjaciółmi oraz bliskimi błagała Boga i Matkę Bożą w kaplicy szpitalnej w Instytucie Kardiologii o moje uratowanie. W obydwu ww. przypadkach i wielu innych trudnych dla nas sytuacjach życiowych – byliśmy wysłuchiwanie przez Chrystusa i Jego Matkę. **Wniosek: Człowiek przetrwa wszystko**

– **gdy idzie przez życie razem z Bogiem** Dlatego też tak ważne jest, aby codziennie utrzymywać stałą więź z Panem Bogiem.

Systematyczna aktywność ruchowa

Systematyczna aktywność ruchowa ma kluczowe znaczenie w procesie rehabilitacji i powrocie do „normalnego życia” pacjentów po zawałach i operacjach kardiochirurgicznych. W moim przypadku nastąpiło to po około dwóch latach stosowania niżej opisanych rodzajów aktywności ruchowej. Pierwszą stosowaną – przeze mnie do dzisiaj – aktywnością były (i nadal są) codzienne spacerunki po płaskim lub łagodnym, nieco urozmaiconym pod względem powierzchni terenie. Początkowa długość tras spacerowych wynosiła około 500 m, następnie dystans był stopniowo zwiększany (do 1000 m), według własnego samopoczucia i możliwości fizycznych. Drugim rodzajem aktywności była rehabilitacja kardiologiczna w Szpitalu Bródnowskim, z której korzystałem przez cztery lata po powrocie ze Szpitala Kardiologicznego w Nałęczowie. Program rehabilitacji obejmował: 30 minut ćwiczeń na ergometrze rowerowym (pod ciągłym nadzorem personelu medycznego), 30 minut gimnastyki prowadzonej przez specjalistkę z dziedziny kardiologii i 30 minut ćwiczeń w basenie Szpitalnym. Trzecim „rodzajem aktywności” było wykonywanie – przez cztery lata – lekkich prac na działce, pod lasem (nie kopałem warzywnika i nie podejmowałem się cięższych zajęć, nie podnosiłem także przedmiotów ważących więcej niż 4–5 kg).

Wszystkie wyżej opisane działania/ćwiczenia/aktywności przyczyniły się do tego, że we wrześniu 2014 roku mogłem już trochę – choć jeszcze w tempie raczej wolnym – zatańczyć na weselu siostrzenicy Moniki i poślubionego przez nią Piotra w warszawskim hotelu Bristol. Wyobraziłem sobie przy tym, że spoglądają na mnie z uznaniem i pewną dozą podziwu fundator hotelu – Ignacy Jan Paderewski (podobno czasami ćwiczył nawet 12 godzin dziennie) i śpiewający ongiś z hotelowego balkonu Jan Kiepura...

Właściwa dieta i systematyczne zażywanie zaordynowanych leków

Rygorystyczne przestrzeganie właściwej diety oraz systematyczne zażywanie zaordynowanych leków są bezwzględnie konieczne w okresie rekonwalescencji osób po zawałach i operacjach kardiochirurgicznych. Szczególnie dotyczy to pacjentów, którzy: stosują leki przeciwzakrzepowe dla utrzymania – ustalonego przez lekarza – wskaźnika INR, są chorzy na cukrzycę, mają podwyższony cholesterol lub mają

kłopoty zdrowotne z nerkami. Ważne jest, aby tacy pacjenci – jak wyżej opisani – byli pod stałą opieką kardiologa i innych odpowiednich lekarzy specjalistów. Lekceważące podejście pacjentów do konieczności respektowania zaleceń lekarzy specjalistów może skończyć się dla nich poważnymi kłopotami zdrowotnymi, jak np.: ponownym zawałem lub udarem mózgu.

Dbanie o sprawność umysłu

Metodą, która okazała się być najskuteczniejszą – w moim przypadku – w procesie odzyskiwania i utrzymywania normalnej sprawności umysłu, było i nadal jest czytanie książek. Również napisanie w roku ubiegłym „Wspomnień z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę” oraz pisanie niniejszego tekstu do „Uratowanego” przyniosły dalsze poprawę sprawności umysłu.

Oszczędny tryb życia

Tak, jak wcześniej napisałem „mój tryb życia po zawale – w bardzo dużym stopniu – musiał być ściśle dostosowany do aktualnego stanu zdrowia. Oczywiście stała się konieczność zrezygnowania z licznych moich ulubionych – od wielu lat – przyjemności”. Nie wchodząc w szczegóły, dokładnie wsłuchuję się w głos mojego organizmu i nie szarżuję (!!!), a pozwalam mu odpocząć, np.: ucinam sobie krótką drzemkę.

Moje marzenie

Po zawale i operacji serca przebywałem na leczeniu w Instytucie Kardiologii w Aninie, w październiku na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej (OIOM), zaś w listopadzie w innej Klinice Instytutu. Jakość realizowanych procedur medycznych w OIOM.... oceniam jako wzorową, natomiast w Klinice jako znacznie niższą. Jednak, jako pacjent, uważam, że mimo niższego (niż w OIOM) standardu realizacji świadczonych usług medycznych w Klinice..., to w Instytucie Kardiologii zostałem uratowany. Dlatego też myślę, że nikogo nie powinien dziwić tak mocny mój związek emocjonalny z Instytutem Kardiologii w Aninie. Na bieżąco śledzę jego rozwój i osiągnięcia, jak np.: ostatnio wykonane zabiegi jednoczesnego przeszczepienia serca i nerek oraz serca i wątroby u jednego pacjenta. Również zajęcie przez Instytut Kardiologii

drugiego miejsca w rankingu „Wprost” (2019) dotyczącego najlepszych szpitali kardiologicznych w Polsce – ucieszyło mnie.

W ww. rankingu zwyciężyło Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu, a trzecie miejsce przypadło I Katedrze i Klinice Kardiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Myślę, że Instytut Kardiologii w Aninie w 2029 roku, czyli w 50. rocznicę jego utworzenia, ma szansę zostać Polskim Liderem Jakości realizowanych procedur medycznych w zakresie: kardiologii, kardiochirurgii, transplantacji i rehabilitacji kardiologicznej. To jest to moje marzenie i jednocześnie szczere życzenie dla Instytutu Kardiologii w Aninie na Rok Jego Jubileuszu.

Mnie, człowiekowi w wieku 76 lat, absolwentowi Wydziału Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej, który oprócz wieloletniej praktyki konstrukcyjnej i produkcyjnej ma ponad 35 lat doświadczeń w organizacji i zarządzaniu, jak też we wdrażaniu systemów zarządzania jakością według norm ISO serii 9000, wydaje się, że ww. cel może zostać osiągnięty pod warunkiem podjęcia i wdrożenia przez Instytut działań polegających na:

- zidentyfikowaniu i dokładnym zaplanowaniu realizowanych procedur medycznych,
- ustaleniu ich wysokich standardów jakościowych,
- przeszkoleniu całego personelu,
- skutecznym wdrożeniu,
- systematycznej ocenie uzyskiwanych wyników,
- ciągłym doskonaleniu aż do osiągnięcia ostatecznego strategicznego celu Instytutu.

Podziękowania

Kończąc moje wspomnienia, pragnę podziękować z całego serca tym osobom, które najbardziej przyczyniły się do ich powstania.

Żonie – Ewie i synowi – Jackowi dziękuję za informacje o zdarzeniach, które nastąpiły po zawale – kiedy straciłem przytomność, a potem byłem w stanie śpiączki farmakologicznej. Obydwoje byli pierwszymi osobami, które czytały powstające sukcesywnie kolejne rozdziały „wspomnień” i zgłaszały mi swoje uwagi.

Szwagrowi – Krzysztofowi dziękuję szczególnie za wnikliwą analizę stworzonego przeze mnie tekstu i konstruktywną krytykę. Jego uwagi przyczyniły się – w poważnym stopniu – do stworzenia „wspomnień sercowych” w pigułce.

Koledze Robertowi (ze studiów na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej) i **Jego Przyjacielowi kardiologowi** dziękuję za opracowanie „Słownika skrótów”.

*

W stronach równego jak stół Mazowsza, z których pochodzę, żył poeta, wybitny tłumacz poetyckiej klasyki rzymskiej, nad wyraz skuteczny społecznik, organizator oświaty, pedagog – Stefan Gołębiowski (1900–1991). Napisał kiedyś, iż: ...*nie ma innego czasu – jest tylko czas dla ludzi...*

Używał pseudonimu *Jan Smutek*. Myślę jednak, że w przytoczonej tu maksymie zawarte jest raczej przesłanie o pogodzie ducha i wierze we wzajemne, pozytywne oddziaływanie człowieczej dobroci.

Wszystkim,
którzy poświęcili mi czas
– zarówno *Siłom wyższym*,
doskonałym medycznym profesjonalistom,
jak też tym, którzy ofiarowali mi ludzką miłość i życzliwość –
Wszystkim,
których postawy i zachowania sprawiły, że zostałem
URATOWANY
– pragnę raz jeszcze, w najgłębszej pełni tego słowa –
jak *n a j s e r d e c z n i e j*
powiedzieć

D Z I Ę K U J Ę

Słownik skrótów

EKG – elektrokardiogram – wykres aktywności elektrycznej serca

PTCA – Percutaneous Coronary Angioplasty – przezskórna angioplastyka wieńcowa

ST – odcinek EKG

STEMI – ST Elevated Myocardial Infarction – zawał z uniesieniem odcinka ST

SOR – Szpitalny Oddział Ratunkowy

PCI – Percutaneous Coronary Intervention – przezskórna interwencja wieńcowa

PTW – prawa tętnica wieńcowa

BMS – bare metal stent – stent metalowy niepowlekany lekiem

GO – gałąź okalająca lewej tętnicy wieńcowej

GPZ – gałąź przednia zstępująca lewej tętnicy wieńcowej

SIMV – Synchronized Intermittent Mandatory Ventilation – synchroniczna przerywana wentylacja obowiązkowa – tryb pracy respiratora polegający na synchronizacji z oddechem własnym pacjenta

CABG – Coronary Arterial Bypass Graft – pomostowanie aortalno-wieńcowe

SV-GPZ – pomost żylny wszczepiony do gałęzi przedniej zstępującej lewej tętnicy wieńcowej (popularny bypass)

SV-GM – pomost żylny wszczepiony do gałęzi marginalnej lewej tętnicy wieńcowej

IABP – Intra Aortal Baloon Pumping – kontrapulsacja balonem aortalnym

CCRT – Continuous Renal Replacement Therapy – ciągła zastępcza terapia nerkowa

RTG – badanie radiologiczne (rentgen)

EF – ejection fraction – frakcja wyrzutowa

INR – to inaczej znormalizowany czas protrombinowy– wskaźnik krzepliwości krwi

i.v. – intra venous – dożylnie podanie leku

Warszawa, sierpień 2019 r. Alojzy (Alek) Retajczyk

Józef Rokicki



Studia: 1963–1969
Specjalność: Drobne Mechanizmy
i Przyrządy Precyzyjne

OD WARSZAWY DO POLONEZA Udział absolwentów Wydziału Mechaniki Precyzyjnej PW

Udział absolwentów Mechaniki Precyzyjnej w rozwoju motoryzacji w Polsce siłą rzeczy, wynikającą z profilu wykształcenia, ogranicza się głównie do ich pracy w fabrykach kooperujących z producentami głównymi samochodów, które produkowały na ich rzecz prędkościomierze, zegary, wskaźniki i zestawy wskaźników. Autor zdaje sobie sprawę, że absolwenci pracowali także u producentów samochodów (np. mgr inż. Wanowski Marek abs. 1980 r. FSO), a także w innych fabrykach kooperujących z producentami samochodów.

Głównym producentem samochodów było FSO na Żeraniu w Warszawie i ono determinowało wszelkie uruchomienia i modernizacje samochodów osobowych.

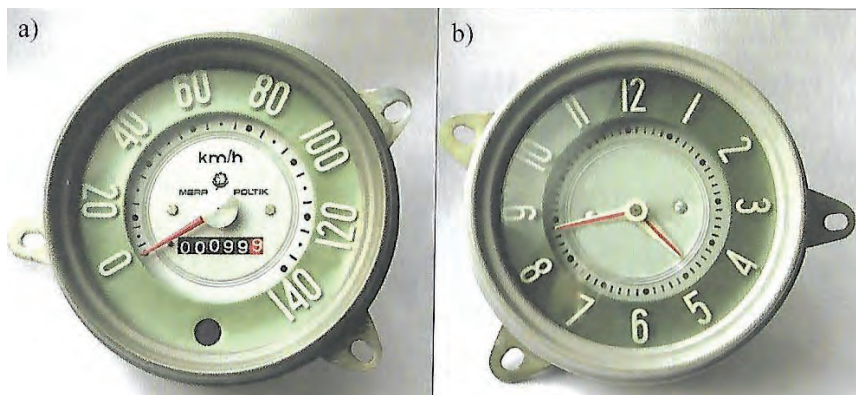
Nasi absolwenci pracowali głównie w zakładach: „Mera”-Błonie w Błoniu, „Mera”-Poltik w Łodzi, „Mera”-Lumel w Zielonej Górze, „Mera” - Pafal w Świdnicy i w Instytucie „Mera”-PIAP w Warszawie.

WARSZAWA, SYRENA

Historia motoryzacji w Polsce po II wojnie zaczyna się od rządowych decyzji o budowie fabryki samochodów osobowych w Warszawie (FSO) w styczniu 1950 roku i przekazaniu jej bezpłatnie licencji na produkowany w GAZ-Gorki (ZSRR) samochód „Pobieda”. Samochód ten

otrzymał nazwę „Warszawa”, a jej pierwszy egzemplarz zjechał z taśmy montażowej FSO 6 listopada 1951 roku. Samochód ten doczekał się wielu odmian i modernizacji opracowywanych i wdrażanych do produkcji przez kadre techniczną FSO. Produkcję zakończono 30 marca 1973 roku. Na bazie tego samochodu produkowano samochody „Nysa” i „Żuk”.

Do samochodu **Warszawa** produkowane były od ok. 1952 roku prędkościomierze i zegary w Łódzkiej Fabryce Zegarów (przed wojną Silberstein) później Mera-Poltik (fot. 1). Fabryka miała doświadczenie, gdyż od 1950 roku produkowała prędkościomierze do samochodu ciężarowego „Star 20” opracowane przez zespół pod kierownictwem inż. Władysława Trylińskiego późniejszego profesora Wydziału MP. W fabryce całe zawodowe życie spędzili absolwenci MP, inż. Łuszczynski Jerzy (abs. 1956), inż. Ośrodek Wiesław (abs. 1959) i mgr inż. Wojda Jan (abs. 1967). Ludzie ci tworzyli trzon kadry inżynierskiej w fabryce.



Fot. 1. Prędkościomierz (a) i zegar (b) do samochodu „Warszawa” (fot. J. Wojda)

W międzyczasie na Żeraniu w Warszawie opracowano i uruchomiono samodzielnie, jako produkcję uboczną, popularny samochód o nazwie „Syrena”.

Sto pierwszych Syren wyprodukowano w 1957 na Żeraniu. Zajmowała się tym spółka państwowo-prywatna Więckowski i spółka. Więckowski był blacharzem z Bielan, który wraz z czeladnikami przez osiem godzin młotkowali blachę, zyskując pieszczotliwą nazwę „dzięcioły” (pierwsze Warszawy M20 też były młotkowane – patrz bibliografia 2). Producentem samochodu była FSO w Warszawie, a producentem silnika WSM w Bielsku-Białej.

Syrena zyskała dużą popularność. Produkowana była w wielu odmianach i modyfikacjach. Produkcję seryjną rozpoczęto w 1958 roku. W 1972 roku FSO przekazał produkcję do Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej.

Syrena miała ciekawą rzeczą, drzwi otwierały się w lewo – do przodu. Kiedy w 1981 roku wraz z kolegą przekraczałem granicę turecką (do Istambułu) Syreną 105, otoczył nas spory tłum gapiów, którzy z podziwem patrzyli na samochód, nie mogąc zgadnąć marki, a z nazw, które wymieniali, znali prawie wszystkie zachodnie. Kiedy między granicą bułgarską a Istambułem na wybojach urwała nam się rura wydechowa wraz z tłumikiem, kolega znalazł w rowie rozbity samochód zachodni, znalazł rurę (bez tłumika) i przy pomocy pilnika od paznokci dopasował nowy „zamiennik”. Dojechalśmy na nim tam i z powrotem do Polski. Dopiero koło Radomia zatrzymała nas milicja, taki robiliśmy chałas.

POLSKI Fiat 125p

W kwietniu 1966 roku władze PRL zatwierdziły kupno licencji na średni samochód osobowy od FIAT-a w Turynie. Samochód ten nazwano Polski Fiat 125p, a jego produkcję umieszczono w FSO w Warszawie.

Pierwszy samochód zjechał z taśmy montażowej FSO 28 listopada 1967 roku. W 1983 roku, na życzenie licencjodawcy, nazwę samochodu ostatecznie zmieniono na FSO 125p. Produkowany był w wielu odmianach jak przykładowo: 125p Kombi; 125p Sanitarka; 125p Pickup, 125p MR 73; 125p 75; 125p 76; 125p 86. Produkcję zakończono 29 czerwca 1991 roku.

Na zlecenie Zjednoczenia „Mera” (przypisek 3), w 1968 roku ZMP „Błonie”, już jako ZMP „Mera”-Błonie, **uruchomił zestaw wskaźników do samochodu Polski Fiat 125p**. Była to licencja włoskiej firmy Borletti. Zestaw ten miał prędkościomierz taśmowy. W 1970 roku do ww. samochodu uruchomiono w ZMP „Błonie” termostat woskowy na podstawie licencji włoskiej firmy Savara, który później przekazano do oddziału w Zambrowie. Autor rozpoczął pracę w styczniu 1970 roku od prób laboratoryjnych tego termostatu. Władze wyższe zlecając do ZMP „Mera”-Błonie ww. tematy, kierowały się sporym doświadczeniem załogi zakładu, a szczególnie kadry inżyniersko-technicznej, w której znaczną część stanowili absolwenci Mechaniki Precyzyjnej.

Dyrekcja „Mera”-Błonie wiedząc wcześniej o czekających ją zadaniach, ogłosiła z wyprzedzeniem nabór kadry inżynierskiej, a szczególnie

z Wydziału Mechaniki Precyzyjnej i Wydziału Elektroniki PW. Dużą zachętą był przydział mieszkania w budowanych od 1953 roku, razem z miastem, blokach. Nie zawsze to było natychmiast, ale wszyscy cierpliwi mieszkanie dostali (autor przez cały 1970 rok mieszkał w hotelu robotniczym, ale dach nad głową miał), (patrz przypisek 3). Ponadto zakład fundował stypendia.

W tym czasie w kadrze inżynieryjno-technicznej stopniowo zjawiali się absolwenci Wydziału Mechaniki Precyzyjnej (załącznik 1.1), którzy ambitnie podejmowali stawiane im zadania techniczne; produkcyjne, badawcze i organizacyjne. Fachowcy ci pracowali na stanowiskach konstruktorów, technologów, kontrolerów jakości, mistrzów itp., dzielnie konfrontując wiedzę teoretyczną z realiami produkcyjnymi i twórczo je rozwijając, byli młodymi ludźmi, entuzjazm mieli wielki. Wiemy, że do produkcji wyrobu potrzebny jest projekt i konstrukcja wyrobu, ale najwięcej czasu zajmuje najczęściej żmudna technologia wraz z próbami i badaniami. Do produkcji detali i podzespołów trzeba zaprojektować i wykonać narzędzia do produkcji detali i do montażu podzespołów; zaprojektować i wykonać przyrządy oraz stanowiska montażowe, diagnostyczne, badawcze i odbiorcze. Szczególnie jeśli w wyrobie występuje mechanika precyzyjna. Dzisiaj technologia decyduje o randze firmy i państwa, chociaż niestety musi być pomysł na wyrób.

Produkcję zestawu wskaźników przekazano w 1972 roku do zakładu „Mera”-Pafal w Świdnicy. Produkcję termostatów przekazano w 1971 roku do oddziału „Mera”-Błonie w Zambrowie. W fabryce nadeszła era produkcji drukarek wierszowych i znakowych, która wyniosła ją na szczyt, a także stała się przyczyną upadłości, kiedy załamał się system radziecki (monokultura produkcji).



Zestaw wskaźników wprowadzony po ostatniej modernizacji samochodu w 1986 r.

W 1986 roku przeprowadzono modernizację samochodu Fiat 125p, wprowadzając nowy zestaw wskaźników. Projekt opracowało FSO.

Konstrukcję wykonano w „Mera”-PIAP w Warszawie. Prowadzącym był Bojanek Ignacy (abs. 1967). Produkcję uruchomiono w „Mera”-Pafal w Świdnicy. W zestawie tym w miejsce prędkościomierza taśmowego wprowadzono prędkościomierz wskazówkowy (wymóg przepisów).

Trzeba nadmienić, że w 1975 roku opracowano obrotomierz elektroniczny MS1, którego produkcję uruchomiono w „Mera”-LUMEL w Zielonej Górze. Obrotomierz ten montowano od modelu MR75 obok zestawu wskaźnika. Później był produkowany także jako uniwersalny obrotomierz MS2 (bibliografia nr 1).

Produkcję samochodów 125p zakończono 29 czerwca 1991 roku.

POLONEZ

W wrześniu 1974 roku zawarta została umowa licencyjna z FIAT Turyn na opracowanie dla FSO nowego modelu samochodu osobowego klasy średniej. Po raz pierwszy FSO otrzymała dokumentację samochodu nieprodukowanego seryjnie. Ambicje kadry inżynierskiej FSO zderzyły się z realiami produkcyjnymi. We własnym zakresie trzeba było opracować oprzyrządowanie produkcyjne, badawcze, diagnostyczne i kontrolne. Pierwsze egzemplarze Poloneza zawierały niestety sporo usterek produkcyjnych. Autor pamięta, jak zimą 1980 roku mężnie znosił w Zakopanem przymusową wentylację przez przednie szybki samochodu jako pasażer, ale obaj z kierowcą byliśmy dumni z samochodu, który jeździł też w górach.

Partię informacyjną samochodu Polonez w wersji pięciodrzwiowej (podstawowej) wykonano w listopadzie 1977 roku, natomiast produkcja ciągle ruszyła od 3 maja 1978 roku.

W samochodzie tym zastosowano nową zaprojektowaną przez FSO deskę rozdzielczą wraz z nowym zestawem wskaźników. Dokumentacja konstrukcyjna zestawu została wykonana w „Mera”-PIAP w Warszawie. Prowadzącym temat był Piskorz Janusz przy znaczącym udziale konstrukcyjnym Ławniczaka Włodzimierza (abs. 1973).

Produkcję seryjną zestawu uruchomiono w „Mera”-Pafal w Świdnicy.

W zestawie tym zastosowano wskaźnik temperatury, wskaźnik poziomu paliwa i wskaźnik ciśnienia oleju, oparte na logometrach z samochodu Fiat 125p oraz obrotomierz na bazie mechanizmu obrotomierza MS1.

Kooperantem głównym był ZMP „Mera”-Poltik z Łodzi, który produkował prędkościomierze i zegary kwarcowe analogowe. W prędkościomierzu zastosowano kasowanie drogomierza kasowalnego wałkiem

giętkim wyprowadzanym przez szybę zestawu. W konstrukcji zegara kwarcowego zastosowano nowoczesny silnik krokowy.

Prowadzacy i zaangażowani konstrukcyjnie byli absolwenci MP, Łuszczynski Jerzy, Ośrodek Wiesław, Wojda Jan i w produkcji reszta kadry technicznej fabryki – załącznik 2.

Dla „Mera”-Poltik, Zakład Pomiarów Parametrów Ruchu Instytutu „Mera”-PIAP wykonał stanowisko diagnostyczne do skalowania prędkościomierzy. Temat prowadził Świdorski Grzegorz (abs. 1968) – załącznik 2.

POLONEZ Caro MR91 i MR93

Tak jak w przypadku fiata, polonez był ciągle ulepszany oraz modernizowany przez zaplecze konstrukcyjno-badawcze FSO i produkowany w różnych wersjach.

W latach 1989–1991 wprowadzono do produkcji model Polonez Caro MR91.

Na rok 1993 zaplanowano w FSO przeprowadzenie poważnej modernizacji samochodu, który otrzymał oznaczenie Polonez MR93. W ramach tej modernizacji zaprojektowano nowy zestaw wskaźników.

Na jesieni 1992 r. ZMP „Mera”-Błonie były w głębokim kryzysie po załamaniu się w 1991 roku produkcji drukarek (monokultura produkcyjna), dostarczanych do ZSRR i krajów zaprzyjaźnionych. Zwolnienia grupowe spowodowały, że załoga z paru tysięcy zmalała do 371 osób, z tego połowa nie miała co robić. Dyrekcja wyprzedawała, co się da, i szukała nowych wyrobów do produkcji. W związku z tym zatrudniała pojedynczych specjalistów do realizacji określonych tematów.

Do zakładu „wrócili” Piskorz Janusz, Rokicki Józef, Krzywiński Kazimierz i inni.

ZMP „Mera”-Błonie otrzymały zamówienie na dostawę zestawów wskaźników do Poloneza MR93. Temat „zaistniał” w zakładzie w połowie 1992 roku. Uruchomienie Zestawu było dużym wyzwaniem dla zakładu, który był w rozsypce.

Rysunek ofertowy zestawu opracował zespół autorski: Piskorz Janusz, Rokicki Józef, Straus Jan (FSO).

Tylko szybkie uruchomienie seryjnej produkcji było szansą, że zakład „odbije się od dna” i rozpocznie znośną egzystencję. Załoga wykazała pełną mobilizację, zaangażowanie i poświęcenie.

Kooperantami głównymi byli:

1. „Mera”-Lumel, który dostarczał obrotomierze oraz wskaźniki temperatury, ciśnienia oleju i poziomu paliwa skonstruowane na bazie logometrów z centralną osią z zastosowaniem magnesów neodymowych.

Prowadzaczami temat i zaangażowani bezpośrednio byli: Matysik Bogdan, Mróz Janusz i reszta kadry technicznej zakładu.

2. „Mera”-Poltik, który dostarczał prędkościomierze i elektroniczne kwarcowe analogowe zegary. Prowadzącym był Wojda Jan i reszta załogi technicznej.

Wspomnienia autora (Józef Rokicki (abs. 1969))

Uruchomienie Zestawu Wskaźników MR93 do POLONEZA

Do „Mera”-Błonie wróciłem w sierpniu 1992 roku. We wrześniu objąłem kierowanie Wydziałem Narzędziowni jako **Główny Specjalista**. Było to istotne, bo wydział zyskał pewną autonomię, a w praktyce był samodzielny, czyli miał swoją sekcję konstruktorów oprzyrządowania i technologów. Kierownik mógł samodzielnie przyjmować doraźne (i za nie odpowiadać) zamówienia zawętrze w pełnym zakresie, o ile nie kolidowały z produkcją na rzecz zakładu. W ramach wydziału uruchomiony został Oddział Wtrysku (kier. S. Skrzypkowski). Miało to istotne znaczenie dla uruchamianych później zestawów, gdyż produkcja strategicznych detali (korpus, obudowa, szyba) mogła odbywać się w jednym miejscu fizycznie i osobowo (konstrukcja form, ich wykonanie, próby form i produkcja detali z tworzyw sztucznych).

Do zadań Narzędziowni należało wykonanie całości oprzyrządowania i produkcja części z tworzyw sztucznych. Na zadanie to składały się: konstrukcja form wtryskowych, wykrojników i okrojników; wykonanie ich w metalu; uruchomienie produkcji części z tworzyw we **właśnym** gnieździe wtryskarek oraz współpraca z innymi Wydziałami przy uruchomieniu produkcji. Konstrukcją oprzyrządowania zajmowali się: inż. Borkowski Stanisław, Więclawski Roman (pracowali do upadłości Zakładu) i Kamiński Zbigniew (zwolnił się wcześniej).

Wykonaniem oprzyrządowania kierował inż. Domagalski Karol. Istotną rolę odegrał Mrzygłocki Antoni, który opracowywał technologię, kierował i wykonywał osobiście pracę na elektrodrążarkach.

Gniazdem (Zespołem) Wtryskarek kierował bezpośrednio Skrzypkowski Stefan przy pomocy technologa wtrysku Łukasiewicza Radosława. Gniazdo to było w trakcie organizacji z resztek maszyn, które zostały w Zakładzie.

Należy podkreślić, że połączenie konstrukcji, wykonawstwa form wtryskowych w metalu oraz uruchomienie produkcji detali na tych formach pozwoliło na w miarę szybkie osiągnięcie celu, eliminując zbędne animozje, które mogłyby pojawić się między poszczególnymi fazami prac.

Odpowiedzialność za całość prac była jednoosobowa i spoczywała na kierowniku Narzędziowni.

Głównymi detalami w zestawie były: obudowa, korpus, szyba, obwód drukowany, wskazówka duża (kpl), wskazówka mała (kpl).

Wykonanie obudowy przewidziano w kooperacji, gdyż jedyna duża wtryskarka (FO-330 prod. Ponar-Żywiec) przewidziana była do produkcji korpusu i szyby. Ostatecznie (po perypetiach) obudowę wykonywała Pollena w Warszawie.

Obwód drukowany wycinany był na Wydziale Blacharni (P4), gdzie kierownikiem był Kryk Jan.

Wskazówka duża (kpl), wskazówka mała (kpl) i światłowód przekazywane były do kooperanta mierników Mera-Lumel w Zielonej Górze. Narzędziownia wykonywała detale z wtrysku, P4 wykonywał przeciwagi, Wydział Montażu (P2), malował, montował i wysyłał (sprzedawał), a kierował nim Kryński Tadeusz (abs. 1972).

Taka sytuacja produkcyjna pozostała już do zakończenia produkcji wszystkich zestawów.

Ideogramy wykonywał w kooperacji Bisel System sp. z o.o.

Forma na szybę była dość skomplikowanym mechanizmem. Konstrukcja szyby miała „pułapki” konstrukcyjne (wgłębienia pod zapinkę), i do ich zaformowania forma miała ruchome suwliwo-uchylne wstawki (8 szt.). Wstawki te musiały działać bardzo precyzyjnie, gdyż inaczej następowało wyłamywanie ścianek i pękanie szyby. Trzeba wiedzieć, że detal z formy jest gorący i ma osłabioną wytrzymałość mechaniczną. Konstruktor tej formy inż. Borkowski Stanisław nocami nie spał, ale konstrukcję zrobił dobrą. Dopieszczaliśmy ją przez 3 kwartały (przy prowadzeniu bieżącej produkcji), aż działała dobrze, ale chwala konstruktorowi (poprawki plus minus 0,02 mm okazywały się zbawienne).

Pierwsze wtryski szyby zaczęto koło południa (lato, ciepły dzień 1993 r.), trwały i trwały, aż wieczorem były pierwsze szyby **dobre**. Problemem stało się, jak te szyby składować (nikt o tym wcześniej nie pomyślał).

Na pow. hali mieściło się ok. 65 szt. W pojemniku szyby się sklejały, deformowały i rysowały (szyba wyjęta z formy ma ok. 90–100°C). Poradzono sobie szybko i poszczególne detale po prostu przekładano gazetami. Na nastrój pracowników wtrysku dobrze też podziałał dyr. Zakładu

Dziewulski Tadeusz, który koło północy pojawił się z naręczami gazet, dzięki temu do rana produkcja szyb na miesiąc była załatwiona (na wtryskarkach tak jest, że 1000 szt. to pestka godzinowa, jak forma działa). Trochę z tej produkcji trzeba było wyrzucić, bo okazało się, że gorące tworzywo łapie farbę gazetową (treści chyba nie, bo odzewów od władz nie było albo dyrekcja nie przekazała).

Należy zaznaczyć, że szyba wyjęta z formy szła bezpośrednio na montaż, bez jakiegokolwiek dodatkowej obróbki (podobnie było z szybą do MR97).

Do historii wydziału przeszła wizyta włoskiej delegacji, której szef sceptycznie patrzący na niezbyt imponujący stan i wygląd wtryskarki FO-330, po obejrzeniu zdjętej bezpośrednio z formy szyby głośno wykrzyknął po francusku „miracle” (cud). Formy na główne detale wykonano do sierpnia 1993 r., rozpoczęto uruchamianie produkcji, a ostatnie formy wykonano i uruchomiono we wrześniu 1993 r. (wskazówki). Na całość prac zasadniczych poszło ok. **21 412** godz.

Wszystkie główne detale tego zestawu były bazą do uruchomienia zestawu do samochodu **LUBLIN III**, a głównie do samochodu wojskowego **HONCKER** (Irak).

W międzyczasie zostały wykonane dublery form na szybę (01.96 r. – 3010 h) i na obudowę (03.96 r. – 5070 h) i do wykonania ww. zestawów wystarczyły „drobne” poprawki i korekty. Dlatego na szybie tych zestawów są owalne ślady po usuniętych otworach, gdyż nikt poważny nie zamówi formy za „miliony”, kiedy nasza armia potrzebuje 160 szt. samochodów na rok (droższe od złota).

POLONEZ Caro Plus i ATU Plus

W 1997 roku rozpoczęto produkcję zmodernizowanych samochodów oznaczonych symbolem Polonez Caro Plus i Polonez ATU Plus. Dla tych samochodów opracowano nowy zestaw wskaźników – MR97.

Zarys zewnętrzny obudowy wskaźników wzięto, na życzenie Dawoo, z samochodu Espero, różniący się zasadniczo od stosowanych do tychczas. Zespół autorski (J. Piskorz, J. Rokicki, J. Strauss – FSO) opracował rysunek ofertowy. Produkcję seryjną uruchomiono w ZMP „Mera”-Błonie. Kooperantami głównymi byli „Mera”-Lumel z Zielonej Góry i „Mera”-Poltik z Łodzi (patrz s. 138). Do samochodów tych wprowadzono centralny zamek do blokady drzwi opracowany i produkowany w ZMP „Mera”-Błonie.

Uruchomienie Zestawu Wskaźników MR 97 do Poloneza

W produkcji zestawu wskaźników głównymi detalami były: **korpus, obudowa, szyba** wykonane z tworzywa sztucznego **ABS i PMMA** oraz obwód drukowany. Tworzyły one zamkniętą przestrzeń, do której montowano poszczególne zespoły jak prędkościomierz, obrotomierz, zegar, wskaźniki oleju i paliwa oraz lampki.

Rysunki konstrukcyjne detali wykonywałem po godzinach pracy oraz w soboty i niedziele (bez nadgodzin) na desce kreślarskiej w pokoju konstruktorów wydz. Narzędziowni (TN). Miało to dużą zaletę, gdyż obok były deski kreślarskie konstruktorów oprzyrządowania (TN), inż. Stanisława Borkowskiego i Romana Więclawskiego. Gdy detal miał już gotowy kształt zewnętrzny, zaczynali oni rysować (konstruować) formę wtryskową na ten detal. Po skończeniu rysunku detalu dopieszczano tylko wymiarowanie wstawek formujących. Równoległe „zapuszczano” wykonanie tych form w metalu na warsztacie, zaczynając od wykonania płyt (uwaga – formy były nietypowe i nie dało się zastosować gotowych zestawów, poza tym dyrektor nie miał pieniędzy). Przyspieszyło to znacząco wykonanie form wtryskowych i innych narzędzi. Rysunki światłowodów i inne wykonano jako odręczne szkice. Później konstruktorzy z TK przerysowali to na komputerze, tworząc wymagane instrukcjami podzespoły i zespoły do produkcji wyrobu. Było to możliwe, bo byłem jednocześnie kier. wydz. Narzędziowni oraz gniazda wtrysku, a także bezpośrednio kierowałem sekcją konstrukcyjną oprzyrządowania w TN.



Zestaw wskaźników samochodu Polonez Caro Plus i Polonez Atu Plus

Pierwsze egzemplarze zestawów miały być w I kwartale 1997 r., wydz. Narzędziowni (TN) był w trakcie wykonywania form wtryskowych na korpus i szybę oraz narzędzi na szereg innych detali. Wykonanie obudowy w metalu zlecono do Narzędziowni w Poniatowej. Wykrojenik na obwód drukowany wykonywała Narzędziownia „Mera-Lumel” Zielona Góra.



Fot. 1. Inż. J. Rokicki przy wtrysku obudowy zestawu wskaźników

Na jesieni 1996 oceniono, że termin uruchomienia jest zagrożony, głównie dlatego, że Poniatowa miała spore zaległości. Narzędziownia w trybie awaryjnym przystąpiła do konstrukcji i wykonania uproszczonej i tymczasowej formy wtryskowej (wstawki z Al) na obudowę (zużyto na nią 655 h). Od listopada 1996 zaczęto wykonywać 15 szt. **prototypów** zestawów (model był wcześniej). Korpusy (i korpusiki diod) wyfrezowano. Uproszczone wtryski obudów frezowano klejono i wiercono. Podobnie przygotowywano szereg innych drobnych detali. Produkcję od **prototypów** i dalej rozpoczęto w lutym 1997 r. w momencie kiedy uzyskano z wtrysku pierwsze dobre szyby (02.07) oraz obwody drukowane z wykrojnika wykonanego przez Narzędziownię „Mera”-Lumel 02.07) (koszt 33000 zł netto). Także w lutym 1997 r. Bisel System sp. z o.o. (kooperant ideogramów) opanował produkcję ideogramów oraz na nasze zamówienie wykonał do nich wykrojniki (koszt 36800 zł netto). Pod koniec lutego 1997 r. Narzędziownia skończyła formę na korpus i inne narzędzia.

W marcu 1997 r. Narzędziownia w Poniatowej skończyła formę na obudowę. Ze względu na opóźnienie zmniejszono pierwotną cenę umowną z 75000 zł na 62500 zł netto (trzeba przyznać, że forma była trudna). Na tymczasowej naszej formie na obudowę wykonano ok. 5000 szt. wtrysków. Ponieważ konstrukcja przewidywała ultradźwiękowe klejenie szyby z obudową (PMMA z ABS), a przyrządu jeszcze nie było, uruchomiono w sali konferencyjnej Narzędziowni gniazdo awaryjne klejenia zastępczego, czyli chemicznie (zrobiono to z potrzeby i z marszu, nie zważając na uzyskiwanie różnych atestów i zezwoleń zgodnych z BHP i innymi przepisami, ale dozór czuwał 24 h na dobę, a nawet po północy). Przyrząd do grzewania ultradźwiękowego wykonano w Instytucie Telekomunikacyjno-Radiowym w Warszawie i odebraliśmy go w czerwcu 1997 r. (koszt 42500 zł netto).

Oprócz głównych form Narzędziownia wykonała szereg przyrządów pomocniczych i wykrojników oraz udzieliła pomocy w wykonaniu narzędzi u kooperantów (łącznie na 1833 h).

Jak zaznaczono wcześniej, Narzędziownia dostarczała detale z wtrysku do kooperantów wykonywane na naszych formach. Ponieważ „Mera-Poltik” Łódź podjął uruchomienie i produkcję prędkościomierza, korzystając z kooperacji z fabryką Avtopribor we Włodzimierzu (Rosja), my **w październiku 1997** wykonaliśmy formy na szkielet i kasownik i rozpoczęliśmy dostawę części.

Łącznie na wykonanie zasadniczego oprzyrządowania do zestawu wykorzystano ok. 12 720 h (w tym światłowody L+P – 1500 h).

Uruchomienie zamka centralnego (do blokady drzwi samochodów)

Temat zaistniał w Zakładzie w 1993 r. Zamek w pierwotnym zamysle miał być przeznaczony do samochodów Polonez prod. FSO. Bazą (wzorem) był zamek firmy H.MOSS. Z firmą tą podpisano memorandum o współpracy 26.06.1993 r.

Pismem z dnia 12.07.1993 r. przekazano do FSO, do badań kwalifikacyjnych, 4 szt. siłowników MOSSa ze sterowaniem (powyższe memorandum było załącznikiem). W efekcie podpisano z FSO umowę z dnia 11.11.1994 r. o uruchomieniu produkcji zamka centralnego do drzwi samochodów w „Mera-Błonie”.

Dokumentację konstrukcyjną zamka prowadziła Wojtenko Małgorzata (abs. 1968). Zamek centralny składa się generalnie z siłownika, centralki sterującej i części łączących – mechanicznych (wsporniki i cięgna) i elektrycznych (wiązki kabli łączących).



Fot. 2. Henryk Misiak przy maszynie

Siłownik w całości składa się z części z tworzyw sztucznych (nie licząc silnika), do produkcji których Narzędziownia zaprojektowała i wykonała wszystkie formy i potem wykonywała produkcję. Formy na elementy gumowe wykonał i wykonywał produkcję Kontech Pruszków.

Formy zostały wykonane w październiku 1995 r. i po zrobieniu prototypów rozpoczęto próby, głównie wytrzymałościowe, założono normę 40 000 zadziałań. Z uzyskaniem tej normy były kłopoty, gdyż głównie wyłamywały się zęby w zębniku podwójnego koła zębatego (7 zębów). Osiągano wyniki od 8600 poprzez 33300 do 59700 zadziałań. Próby prowadził wydz. TD, a personalnie Misiak Henryk, Nowakowski Leon oraz Kober Zbigniew. Próbowano różnych materiałów, zmieniano gumowe zderzaki, ale przełom przyniosło dopracowanie praktyczne zarysów zębów. Formalnie formę na koło zębate zakończono w marcu 1996 r. Drugim mankamentem było urywanie się przodu siłownika. Zdecydowanie pomogło tutaj wzmocnienie (dodatkowe uźebrowanie) obudowy.

Na siłownik uzyskano w Urzędzie Patentowym wzór użytkowy, nr świadectwa PL 57617 Y1. Na wykonanie oprzyrządowania specjalnego do siłownika zużyto 7700 godz.

Oprzyrządowanie na centralkę zakończono w grudniu 1995 r., zużywając 5900 godz. Oprzyrządowanie na części złączne (głównie metalowe)

zakończono w październiku 1995 r., zużywając 3300 godz. Później wykonywano dublery oprzyrządowania.

Pierwszą partię siłowników na sprzedaż (4000 szt.) wykonano w sierpniu 1996 r., zmontowanych przez wydz. TD.

Planowany pierwotnie do jednego samochodu, „zamek” jako system centralnej blokady zamków miał ok. 40 wykonań przeznaczonych do całej gamy samochodów – załącznik 1.2.

INNE TEMATY niezwiązane z FSO

Firmą, która ściśle zajmowała się tematami związanymi z motoryzacją był Instytut „Mera PIAP w Warszawie, a ściśle Zakład Pomiaru Parametrów Ruchu.

1. W 1976 r. opracowano założenia i projekt wstępny traktometru typu 675/220 i 676/221 dla ciągnika licencyjnego M-F-P (Masey Ferguson). Temat prowadził Rokicki Józef wraz ze Świderskim Grzegorzem (abs. 1968), kierownik sekcji.

Traktometr służy w traktorach (ciągnikach) do pomiaru motogodzin (zliczania i wskazywania sumy obrotów silnika) oraz chwilowej prędkości obrotowej silnika.

Produkcja seryjna uruchomiona została w „Mera”-Poltik w Łodzi. Ze strony Poltiku tematem zajmował się Łuszczczyński Jerzy.

2. W latach 1975–1982 Instytut „Mera”-PIAP sprzedał licencję do NRD na opracowanie i uruchomienie produkcji seryjnej mechanizmu tachometru do pojazdów samochodowych w zakładzie w Beierfeld (koło Aue – Saksonia).

Konstrukcja miała być uniwersalna, tak aby zmieniając podzielnice i obudowy oraz pojedyncze detale, można było zmontować prędkościomierze do samochodów osobowych, ciężarowych i motocykli wymiennie z drogomierzem kilometrowym lub milowym, a także traktometr, produkowane w NRD.

Licencja obejmowała: opracowanie konstrukcji, opracowanie technologii, wykonanie oprzyrządowania, głównie form wtryskowych, wdrożenie do produkcji form wtryskowych na wtryskarkach miejscowych i uruchomienie produkcji seryjnej. Zakładała też określoną wielkość produkcji. Ten wymóg spowodował, że trzeba było wykonać po dwie–trzy sztuki form wielogniazdowych na każdy detal z wtrysku. Dodatkowym wymogiem była 100% zamienność części, co wymagało zawężenia tolerancji wykonawczych tak, żeby mieściły się w rozkładzie prostokątnym (nie Gaussa).

Prowadzącym temat był Świdzki Grzegorz, opracowaniem konstrukcji zajmował się Rokicki Józef, którzy czynnie uczestniczyli także na każdym etapie realizacji zadania zarówno na miejscu, jak i w Beierfeld. Formy wtryskowe wykonywane były w zakładzie FORMET w Bydgoszczy.

Dodatkowo w „Mera” PIAP wykonane było stanowisko diagnostyczne w sekcji Tworka Jana.

Autor dziękuje wszystkim kolegom za pomoc w opracowaniu ww. tekstu i przeprasza wszystkich absolwentów, o których, z braku wiedzy, nie wspomniano.

ZAŁĄCZNIKI

Niżej wymienieni absolwenci brali bezpośredni udział w tworzeniu wyrobów albo byli konstruktorami oprzyrządowania, technologami, konstruktorami stanowisk diagnostycznych i badawczych oraz dignostami lub kierownikami produkcji na różnych szczeblach.

1. ZMP Błonie i ZMP „Mera”-Błonie.

1.1. Uruchomienie produkcji zestawu wskaźników i termostatu Savara do Fiata 125.

Byli to: mgr inżynierowie: Szafranski Andrzej (abs. 1964); Gajewski Ludwik (abs. 1966); Gryc Zbigniew (abs. 1966); Hardej Kazimierz (abs. 1966); Reszka Ryszard (abs. 1966); Szafranski Franciszek (abs. 1966); Śliwa Lech (abs. 1966); Wojcicki Ryszard (abs. 1966); Hipsz Edward (abs. 1967); Piskorz Janusz (abs. 1967); Wojtenko Grzegorz (abs. 1967); Bańkowski Krzysztof (abs. 1968); Dojer Paweł (abs. 1968); Goławski Andrzej (abs. 1968); Śliwa z d. Hejda Maria (abs. 1968); Mucha Janusz (abs. 1968); Wojtenko Małgorzata (abs. 1968); Woliński Krzysztof (abs. 1968); Kober Zbigniew (abs. 1969); Rembowski Krzysztof (abs. 1969); Rokicki Józef (abs. 1969); Socha Andrzej (abs. 1969).

1.2. Uruchomienie produkcji zestawu wskaźników MR93 do Poloneza, zestawu wskaźników MR97 do Poloneza Caro Plus i ATU Plus oraz zamka centralnego do blokady drzwi.

Byli to mgr. inżynierowie: Reszka Ryszard (abs. 1966), Piskorz Janusz (abs. 1967), Wojtenko Grzegorz (abs. 1967), Wojtenko Małgorzata (abs. 1968), Kober Zbigniew (abs. 1969), Rokicki Józef (abs. 1969), Kryński Tadeusz (abs. 1972); Misiak Henryk (abs. 1980); Mrzygłocka z d. Bortacka

Elżbieta (abs. 1974); Gontarz Waldemar (abs. 1975); Prosiński Stanisław (abs. 1979); Nowakowski Leon (abs. 1979).

2. Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów „Mera”-PIAP w Warszawie.

inż. Biskup Witold (abs. 1960), inż. Małecki Janusz (abs. 1959), inż. Tworek Jan (abs. 1961), mgr inż. Moliński Tadeusz (abs. 1967), mgr inż. Świdorski Grzegorz (abs. 1957), dr inż. Piskorz Janusz (abs. 1967), mgr inż. Bojanek Ignacy (abs. 1979), mgr inż. Rokicki Józef (abs. 1969), mgr inż. Ławniczak Włodzimierz (abs. 1973), mgr inż. Pokorski Michał (abs. 1974), dr inż. Osipow Sylwin (1985).

3. Łódzka Fabryka Zegarów (d. Silberstein) później „Mera”-Poltik w Łodzi.

inż. Łuszczynski Jerzy (abs. 1956), inż. Ośrodek Wiesław (abs. 1959), mgr inż. Wojda Jan (abs. 1967, mgr inż. Czuma Benedykt (abs. 1966), Hauke Elżbieta (abs. 1970).

4. Lubuskie Zakłady Aparatów Elektrycznych Lumel później „Mera”-Lumel w Zielonej Górze.

Brak danych.

5. „Mera”-Pafal w Świdnicy.

Brak danych.

Bibliografia

1. Górski Mirosław– Historia konstrukcji samochodów FSO 1951–2011. Wydawnictwo M.M., wyd. III, 2013.
2. Andrzej Krzysztof Wróblewski – Kolebka polskiej motoryzacji, wyd. WEI, 2021.
3. Jerzy Bezałko – Historia Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych ME-RA-BŁONIE 1953–2003. Wyd. Towarzystwo Ziemi Błońskiej w Błoniu, 2010.
4. Absolwenci– 45-lecie Wydziału Mechatroniki – Wydział Mechatroniki PW. Wyd. Wydział Mechatroniki PW, 2007.
5. Zdzisław Mrugalski (oprac.) – 50 lat Wydziału Mechatroniki d. Mechaniki Precyzyjnej 1962–2012. Wyd. Wydział Mechatroniki PW, 2012.
6. Zdzisław Mrugalski – Przemysł zegarowy w Polsce. Wyd. ITeE – PIB, Radom 2010.

Przypiski

Przypisek 1.

Historia Wydziału Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej powstałej w 1915 roku zaczyna się od decyzji Rządu PRL z 1952 roku o konieczności utworzenia wydziału w dziedzinie mechaniki precyzyjnej. Zadanie to powierzono inż. Henrykowi Trebertowi. We wrześniu 1953 roku zorganizowany został Oddział Mechaniki Precyzyjnej na Wydziale Mechanicznym Technologicznym przy ulicy Narbutta w Warszawie. Od października 1953 roku studia na nim rozpoczęło, od 3 roku, około 60 studentów zwerbowanych z innych wydziałów Politechniki głównie z wydziałów mechanicznych.

W 1962 roku Oddział Mechaniki Precyzyjnej został przekształcony w samodzielny: WYDZIAŁ MECHANIKI PRECYZYJNEJ Politechniki Warszawskiej.

Decyzja o utworzeniu Wydziału MP wynikała z potrzeby dopływu kadry inżynierskiej do rozwijającego się w PRL nowoczesnego przemysłu precyzyjnego i elektronicznego, a w dalszej perspektywie z obserwowanych tendencji rozwijającego się na zachodzie przemysłu automatyki i informatyki.

W 1963 roku studia magisterskie na Wydziale MP ukończyło 39 absolwentów, aby w 1975 roku dojść do 330. W roku akademickim 1996/1997 nazwę wydziału zmieniono na Wydział Mechatroniki, która bardziej odpowiada wyzwaniom i oczekiwaniom współczesności i wyzwaniom oraz potrzebom współczesnego przemysłu w Polsce.

Przypisek 2.

W 1965 roku powstało Zjednoczenie Przemysłu Automatyki i Aparatury Pomiarowej „Mera” (ZPAiA „Mera”), które było „czapą” nad 19 jednostkami organizacyjnymi – 15 zakładów produkcyjnych z przedsiębiorstwem „Mera” oraz Instytut Maszyn Matematycznych „Mera” IMM; Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów – „Mera” PIAP; Pracownia Pomiarowo-Technologiczna – „Mera” Meral; Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego – Metronex.

Przypisek 3.

Od 1953 roku zaczęły działalność Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne „Błonie” w Błoniu (później „Mera”-Błonie) powołane przez władze PRL

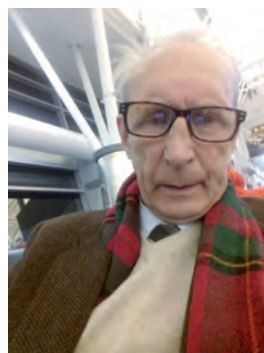
do produkcji na potrzeby zbrojeniowe, a powstałe na bazie byłej fabryki zapalek Kreugera.

Produkowano narzędzia, tłoczniaki, sprawdziany, przyrządy. W latach następnych produkowano m.in. zapalniki o konstrukcji zegarowej do pocisków przeciwlotniczych, prędkościomierz motocyklowy M-55 oparty na wzorcu VDO przeznaczony do motocykli Junak, skutera Osa i w wersji zmodyfikowanej do samochodów Mikrus (uruchomienie produkcji 1958 r.), a także tarcze telefoniczne (uruchomienie produkcji 1961 r.), przystawki balansowe (uruchomienie produkcji 1964 r.), mechanizmy przesuwu taśmy do rejestratorów (uruchomienie 1966 r.), liczydła do liczników pomiaru energii elektrycznej (uruchomienie produkcji 1967 r.).

Sławę zakładowi ZMP Błonie przyniosła produkcja zegarków nareęcznych na licencji I Moskiewskiej Fabryki Zegarków im. Kirowa w Moskwie, która trwała od 1961 r. do 1969.

Antoni Stolarek

Absolwent Oddziału Mechaniki
Precyzyjnej PW



Było, minęło ... no nie – jeszcze pamięć trwa

Mechanika Precyzyjna i pierwsza praca

Czerwiec 1957 r. Wtedy właśnie skończyłem 22 lata i uzyskałem dyplom magistra inżyniera w specjalności „budowa drobnych mechanizmów” na Oddziale Mechaniki Precyzyjnej Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Warszawskiej. Nastąpiło to po pięciu latach studiów, z czego dwa pierwsze odbyłem na Wydziale Mechanicznym Konstrucyjnym.

Studentem byłem raczej niezłym – poza przygodą z dwóją ze Studium Wojskowego po drugim roku (poprawioną po wakacjach) nie miałem większych wpadek. Jednak dopiero na trzecim roku, kiedy znalazłem się już na Mechanice Precyzyjnej, poczułem pełen smak studiów. Treść wykładów i ćwiczeń wydała mi się o wiele bardziej przystępna i praktyczna w odróżnieniu od bardziej ogólnych, nieco abstrakcyjnych, wykładów z pierwszych dwóch lat. Równocześnie osobowość wykładowców i asystentów (w większości z praktyką przemysłową) przy znacznie mniejszej liczbie słuchaczy (zajęcia były prawie kameralne, dla ok. 20 osób) przyczyniały się do uczucia przyjemności studiowania i łagodzenia lęku wobec kolejnych egzaminów z dyplomowym włącznie.

W tym względzie trudno nie wspomnieć naszych profesorów, twórców i ikony Oddziału (a później Wydziału) Mechaniki Precyzyjnej, dziś już nieżyjących Henryka Treberta, Władysława Trylińskiego, Kazimierza

Głębieckiego, Jana Matysiaka, Jana Obalskiego, Antoniego Sidorowicza, Eugeniusza Wolniewicza i pozostałych wykładowców, m.in. Jerzego Brynka (regulacja i sterowanie), Janusza Majchra (elektronika), Zdzisława Marciniaka (obróbka plastyczna), Andrzeja Pokrasena (obróbka powierzchniowa), Włodzimierza Prosnaka (hydromechanika), Tadeusza Sawickiego (metrologia), Stefana Sulikowskiego (sprawdziany), Kwiryna Zuchowicza (elektrotechnika), a także mego Ojca Władysława (organizacja produkcji). To oni stworzyli sympatyczną i przychylną studentom atmosferę studiów. Ich wiedza, umiejętności jej przekazywania, a nawet nieliczne, ale charakteryzujące ich ułomności czyniły, że na Narbutta w gmachu Nowej Technologii czuliśmy się u siebie i że nadal jesteśmy przywiązani do MP, chociaż dzisiaj nosi Ona szlachetniejszą nazwę Mechatroniki i zmieniła nieco lokalizację.

Oczywiście ta dobra atmosfera była także powodowana przez kolegów współstudentów. Po latach pamiętam ich różnie, w zdecydowanej większości w pamięci zapisali się dobrze – przeważało wśród nas poczucie koleżeństwa, utrwalane w stosunkach towarzyskich a m.in. także na obozie wojskowym kiedy wszyscy znajdowaliśmy się w takiej samej sytuacji niezależnie od stopnia „aktywności społecznej”. Z niejednymi spotkaliśmy się niedługo po dyplomie, pracując w tej samej firmie, innych spotykaliśmy okazjonalnie, o jeszcze innych tylko z rzadka docierały wiadomości o ich osiągnięciach zawodowych. Był to zresztą rocznik dobrze zapisany w historii Wydziału. Wśród absolwentów byli m.in. późniejsi dziekani MP/Mechatroniki Zdzisio Drozd, Waldek Oleksiuk, Gienek Rajczyk, Marek Żelazny. Z niektórymi spośród kolegów z czasu studiów nadal trwa bliska przyjaźń, utrwalana w międzyczasie przez wspólnie przeżywane radości i wspólnie trawione troski, stopniowo narastające wraz z wiekiem.

Warto zauważyć, że studiowanie w owym czasie było pozbawione komputerów, googli i wikipedii a nawet kalkulatorów elektronicznych. Rysunki techniczne będące istotną treścią prac studenckich na wydziałach mechanicznych wykonywaliśmy ręcznie. Podstawowe pomoce i narzędzia pracy studenta stanowiła deska kreślarska (i to zwykle leżąca na stole) a do tego liniały, ekierki, krzywki, cyrkle, grafiony, ołówek i tusz. Podstawowym miejscem pracy studentów była kreślarnia, gdzie oprócz robót twórczych a przy tym często i późnonocnych odbywały się seanse brydżowe jako rozrywkowe przerywniki i ćwiczenia umysłowe.

Obliczenia, których nie brakło przy kartkówkach, na egzaminach, w pracach przejściowych i dyplomowej, wykonywaliśmy przy pomocy tablic logarytmicznych i suwaka, zaglądając do tablic fizycznych, żeby

sprawdzić gęstość materiału, ciepło właściwe, wskaźnik rozszerzalności czy też wskaźniki wytrzymałości. Mało tego, nie było podręczników dla tych bardziej specjalistycznych przedmiotów. Pamiętam, że wielkim szczęściem było zdobycie niemieckiego wydania „Bauelemente der Feinmechanik” czy też rosyjskiego wydania „Osnovy awtomatiki”, a choćby i trzytomowego kompleksowego wydania „Fizika”. Zresztą wiele wydawnictw rosyjskich poszerzało nasze możliwości „naukowe”, bowiem stanowiły one często, niedostępne po polsku, bardzo staranne tłumaczenia opracowań zachodnich – co z tego, że sprzed pięciu czy dziesięciu lat. Okazywało się wówczas, że nauka języka rosyjskiego, nielubiana przez nas choćby ze względu na cyryliczne „krzesółka”, bardzo się przydawała.

Czas moich studiów to był jednocześnie czas ważnych wydarzeń i zmian w sytuacji politycznej w kraju i Europie. Rozpoczywałem studia w okresie apogeum stalinizmu, wszechwładzy PZPR i ZMP, wszechobecności marksizmu-leninizmu, rozpraw z podejrzanymi o niewłaściwą postawę, kolorowe skarpetki, skłonność do jazzu lub o kontakty z krewnymi za granicą. Ale już na pierwszym roku wypadła śmierć wodza rewolucji, której towarzyszyły warty przy okolicznościowych gazetkach ściennych, pewnie szczere łzy żalu profesora Berlera (to taki główny „nauczyciel” marksizmu) na balkonie auli w czasie żałobnego zgromadzenia, ale i oczekiwanie na zmiany. I nadszedł rok 1956. Przypadek zrządził, że czerwcowe tzw. wydarzenia poznańskie przebiegły przy udziale studentów naszego roku MP, ponieważ właśnie w dniu wybuchu strajku u Cegielskiego (wówczas ZISPO, tj. Zakłady Przemysłu Obrabiarkowego imienia Stalina) przyjechaliśmy do Poznania w celu zwiedzenia Targów Międzynarodowych. W rezultacie na własne oczy widzieliśmy pochód robotniczy, słyszeliśmy śpiewy oraz wznoszone hasła i okrzyki, przestrach milicji, a następnie interwencję wojskową z odgłosami strażaków i widokiem czołgów na ulicach. Docierały do nas wiadomości (właściwie plotki), że w innych miastach, a także w Warszawie doszło do podobnych demonstracji, więc staraliśmy się wydostać z Poznania i wracać do domu. Pociągi nie kursowały, a zdarzały się jedynie jakieś pojedyncze pojazdy kierujące się w kierunku dróg wylotowych. Jednym z nich na stosie cegieł udało się wyjechać w kierunku Warszawy, a we Wrześni (chyba) udało się wsiąść do pociągu i ostatecznie stwierdzić, że w stolicy nic się nie dzieje, a nawet nie wiadomo, że coś się dzieje w Poznaniu. Nie był to koniec przygody z „wypadkami poznańskimi”, ponieważ w dwa dni po powrocie przypadał termin wyjazdu na obóz wojskowy przewidziany w harmonogramie studiów. Wyjeżdżaliśmy z peryferyjnego dworca Warszawa Praga – stacja docelowa to Biedrusko pod Poznaniem, a cała podróż

zajęła prawie dobę. Zaskakujące było, że w rozmowach prowadzonych w czasie jazdy niektórzy z naszych kolegów byli już gotowi przekonywać pozostałych, że wydarzenia, które dopiero co wspólnie widzieliśmy, to sprawa dywersantów politycznych, a nie demonstracja robotnicza i że wojsko słusznie wystąpiło w obronie zagrożonych zdobyczy klasy robotniczej. A przecież w Poznaniu widzieliśmy to samo – i my, i oni. Ale „oni” w międzyczasie zdążyli uzyskać „jedynie prawdziwą” świadomość. Biedrusko okazało się być miejscem kwaterowania jednostki pancerniej, która jeszcze nie wróciła z akcji przeciw poznańskim robotnikom. Kiedy żołnierze już wrócili, to dowództwo zadbało, aby umundurowani studenci nie kontaktowali się z żołnierzami służby zasadniczej no bo wzajemna wymiana poglądów na to, co się stało i w czym uczestniczyli, mogłaby mieć niepożądane skutki. Oficerowie polityczni zostali zaangażowani do klarowania nam, jak to było „naprawdę” i kto był inspiratorem zajść (oczywiście chodziło o wrogą agenturę) tyle tylko, że ich kwalifikacje nie dorównywały naszemu dowcipowi i naszej wiedzy. Wynikło z tego tylko tyle, że politrucy unikali rozmów ze studentami, a studenci uzyskali nieco nadliczbowej swobody, a nawet odrobiny uznania ze strony faktycznego dowództwa. W ten sposób nasza studencka świadomość została wzbogacona o doświadczenia „poznańskie”, co było pewnym zwieńczeniem zaznajamiania się z destalinizacją. Niedługo okazało się, że wyprzedziliśmy w tym względzie inne KaDeeLe. Mianowicie po lipcowym obozie wojskowym przez dwa tygodnie gościliśmy na wydziale kolegów z Politechniki Budapeszteńskiej, po czym następne dwa tygodnie spędziliśmy z rewizytą u nich, w Budapeszcie. U nas już destalinizacja trwała, mogliśmy sobie już na wiele pozwolić, a na Węgrzech jeszcze się nie zaczęła i napotkaliśmy tam zarówno „partyjną atmosferę”, jak i pomnik Stalina w centrum miasta. Oczywiście dotyczyło to sfery oficjalnej, bowiem indywidualnie nasi węgierscy koledzy myśleli podobnie do nas ale jeszcze tego raczej nie okazywali. To stanowiło pewien paradoks, ponieważ już dwa miesiące później na Węgrzech wybuchła rewolucja, a nam wypadło obserwować z daleka tragizm tych wydarzeń i niepokoić się o los naszych niedawno poznanych kolegów. Jak się później okazało, większość z nich wyemigrowała wówczas z kraju i odzywali się później z Austrii, Niemiec czy Kanady.

A u nas rozsypało się ZMP, samowolnie tzn. z woli samej młodzieży powstawały nowe organizacje, którym jednak nie udało się przetrwać, pojawił się nowy ton w prasie. „Po prostu” po nowemu zaczęło podejmować problemy autentycznie trapiące młodą (a pewnie i nie tylko młodą) społeczność i przedstawiać zaskakujący (czyli zgodny z „drugoobiegowymi”

odczuciami) punkt widzenia na sprawy dotychczas ukrywane a funkcjonujące w świadomości społecznej odmiennie niż w oficjalnej propagandzie. Nie wiem skąd płynęła nasza wiedza o AK i o bohaterstwie powstania warszawskiego, represjach okresu stalinowskiego czy o agresji sowieckiej 1939 r. i Katyniu – ale ona była i to była inna wiedza niż podawana nam w szkole i nie tylko. Podobnie nie wiem też skąd się brało nasze przekonanie o wyższości poziomu życia i techniki w krajach tzw. kapitalistycznych nad osiągnięciami ZSRR i innych krajów obozu. Przecież nie mieliśmy możliwości poznać tego z autopsji ani z literatury, ani choćby z telewizji, bo jej praktycznie nie było. A jednak rodzina, znajomi i poufny przekaz z różnych źródeł, niewiara w to, co było natarczywie podawane oficjalnie, robiły swoje. Pomimo, a może właśnie z powodu nachalnej indoktrynacji, ciągłej i płynącej z wielu stron.

Jeszcze przyszło nam przeżywać euforię październikowych strajków i demonstracji studenckich i robotniczych, emocje związane z wiadomościami o ruchach wojsk radzieckich i niepewnej postawie naszego ludowego wojska, nadzieje wywołane przez październikowe ósme plenum KC PZPR i bliskość też zawartych w przedstawionym tam referacie Gomułki i wynikających z tego oczekiwań na rzeczywistość i trwałą demokratyzację życia. A po tym przyszło rozczarowanie stosunkiem władz do rewolucji węgierskiej i wkrótce konieczność protestu młodzieży przeciwko likwidacji „Po prostu”. A to już był wyraźny sygnał końca kilkumiesięcznego okresu „odnowy” – „nowe” wracało.

W tej czasami wzniosłej a czasami przygnębiającej atmosferze politycznej kończyliśmy studia. Dyplomy uzyskiwaliśmy w różnym czasie, inżynierowie o rok wcześniej, a magistrowie poczynając od czerwca 1957 r.

Ja też studia pomyślnie ukończyłem, podstawową wiedzę zawodową zgromadziłem i znalazłem się w zupełnie nowej sytuacji, wobec nowych wyzwań. Do tej pory wystarczyło uczyć się, zdać egzaminy semestralne no i fajno – można być zadowolonym a nawet dumnym z siebie (jeśli dobrze poszło). Od teraz jednak będzie inaczej. Mam odpowiadać nie tylko przed egzaminatorami w sesjach wiosennej i letniej. Muszę się wykazać samodzielną umiejętnością wykorzystania zdobytej wiedzy w pracy, którą muszę podjąć i która ma mi zapewnić środki utrzymania. Co więcej, z tego co potrafię mam od teraz permanentnie zdawać egzamin nie wobec nauczycieli (zazwyczaj naturalnie empatycznych), ale i wobec przyszłych współpracowników, nieznanymi mi przełożonych, a także wobec ewentualnych podwładnych. Sam mam zadbać o swój autorytet tam, gdzie mnie los rzuci.

Nie powiem, żebym się tego nie lękał. Nakazów pracy już nie było, więc bałem się czy i gdzie uda mi się podjąć pracę i tego czy się nie zblamuję, czy moja wiedza wystarczy dla przyglądających mi się uważnie obserwatorów, którym moja praca ma przynieść praktyczny pożytek („o, inżynierek przyszedł, co on tam wie i umie”). Trzeba będzie godzić ambicję startującego inżyniera z pokorą wobec niewątpliwego niedokształcenia tak w dziedzinie praktycznych umiejętności obsługi maszyn i czynności obróbczych, a już szczególnie w sferze relacji międzyludzkich i umiejętności współdziałania. Część tej niewiedzy wypadnie ukrywać dopóki nie potrafię załatać odczuwanej luki. Dość długo trwało zanim te startowe lęki ustąpiły, wraz z poznawaniem współpracowników i nabywaniem doświadczenia.

Zatrudnienie po studiach znalazłem szybko i to w Warszawskich Zakładach FotoOptycznych, co samo z siebie spełniało nadzieję na pracę w dziedzinie zbieżnej z kierunkiem kształcenia. Do tego była to fabryka, którą już zdążyłem poznać w czasie praktyki po czwartym roku a i nieco później, kiedy robiłem pracę dyplomową dotyczącą prowadzonej tam produkcji. Ta przebyta praktyka to było zetknięcie się z techniką i organizacją montażu aparatu fotograficznego, a praca dyplomowa nosiła tytuł „Technologia migawki aparatu fotograficznego”. Można było więc uważać, że dobrze trafiłem. Tym bardziej że razem ze mną trafiło tam jeszcze kilku innych kolegów z roku (Jurek Biedrzycki, Bogdan Filar, Janek Jasný, Janek Kozłowski, Ryska Żuraw), a ponadto pracowało tam już kilku z rocznika poprzedniego (Janek Daktera, Piotrek Matejuk, Adaś Mikołajczyk, Stefcio Surdy, Kazio Szadurski, Piotrek Zajac, Andrzej Zieliński). W kolejnych latach przybywali kolejni absolwenci MP (z mojego rocznika jeszcze Jurek Ekner, Tomek Modzelewski, Radek Prejzner, Bogdan Siekierski), a niektórzy odchodzili – tak że w sumie było nas tam zawsze kilkanaście znajomych osób. Dodać trzeba, że nasza fabryka, WZFO, była fabryką nową, zaprojektowaną dla tej właśnie produkcji a uruchomioną w 1955 r., a więc ledwie dwa lata przed moim zatrudnieniem. Że to „nasza fabryka”, to mogę to teraz powiedzieć z czystym sumieniem. Tak do dziś ją traktujemy, my z MP (nie mylić z „my ZMP”), ale także wielu innych byłych pracowników (umysłowych i fizycznych). Niestety, po kilku zmianach właścicielskich fabryka w 1995 r. przegrała z transformacją systemową (no i z konkurencją). Wzajemne zżycie załogi i trwała pamięć wykazało niedawne (maj 2018 r.) 50-osobowe spotkanie odbyte po parudziesięciu latach na terenie dawnego WZFO. A można powiedzieć, że mieliśmy szczęście, bo teren fabryki nie został zaorany, budynki nie obróciły się w ruinę, a po likwidacji fabryki (wtedy działającej pod nazwą

Optomechanika Krokus) funkcjonuje tu szanowana Prywatna Wyższa Szkoła Nauk Społecznych, Komputerowych i Medycznych.

No dobra, więc zacząłem pracę w WZFO we wrześniu 1957 r. Trafiłem do Biura Produkcji, gdzie zostałem planistą z zadaniem zapewnienia terminowego wykonywania części do aparatów START i nowo uruchamianych FENIX-ów. Moi sąsiedzi od biurka, też planiści, tyle że już doświadczeni (niektórzy jeszcze sprzed wojny) mieli podobne zadania odnośnie do aparatów DRUH oraz powiększalników Krokus. Do pomocy mieliśmy grupę kobiet, które wedle naszych zleceń na maszynach do pisania wypełniały stosy dokumentacji produkcyjnej: karty przewodnie, kwity materiałowe i karty pracy dla każdej kierowanej do wykonania serii części. Trudno było nie dostrzec ich trudu oraz potrzeby mechanizacji tych czynności. Kilka lat później, kiedy dostępne stały się systemy obliczeniowe oparte na technice kart dziurkowanych (maszyny NRD-owskiej firmy Soemtron) taka możliwość się pojawiła. Tak się złożyło, że przypadło mi wówczas w udziale wdrażanie tego systemu w WZFO (już jako szefowi działu organizacji) i racjonalizacja całego szeregu procedur analityczno-obliczeniowych tak w dziedzinie emisji dokumentacji produkcyjnej, jak i rachuby płac i kosztów, księgowości, sprzedaży i planowania. To było bardzo ciekawe i owocne przedsięwzięcie konsumujące moje uprzednie doświadczenia zyskane w dziedzinie obsługi i kierowania produkcją, nawiązujące w swej istocie do inspiracji z wykładu profesora Trylińskiego o maszynach biurowych. To w trakcie tych wykładów i ćwiczeń zaczynałem rozumieć zasady działania maszyn do pisania i liczenia i możliwości ich zastosowania, również tych bardziej zaawansowanych, wykorzystujących karty dziurkowane. O komputerach wtedy jeszcze w Polsce nie słyszeliśmy, chociaż nieliczni entuzjaści już i w Polsce o nich myśleli.

Biuro Produkcji jako miejsce mojej pracy i przypadające mi zadania zasadniczo odbiegały od tego, co robili moi koledzy z MP. W większości pracowali w Biurze Konstrukcyjnym, a ponadto na montażu i w Kontroli Technicznej. Tylko jeden z nich, Janek Daktera, pracował na wydziale produkcyjnym, tj. w Narzędziowni. Moja pozycja wydawała mi się dużo mniej ważna w porównaniu z tym, co robią moi koledzy konstruktorzy. Uważałem wówczas, że to oni, pod kierownictwem Głównego Konstruktor inżyniera Janusza Jirowca, kreatora powojennych polskich aparatów fotograficznych i inspiratora produkowanego w WZFO sprzętu ciemniowego, tworzą markę firmy. Bo przecież to konstruowane przez nich aparaty i powiększalniki są obecne w sklepach, opisywane w gazetach, eksportowane. Wykonywałem swoją robotę z przekonaniem (organizacja produkcji zainteresowała mnie jeszcze w czasie studiów), ale w poczuciu

podrzędności. Krępowiałem się w kontaktach ze znajomymi, przecież kolegami – ale konstruktorami. Bo moje zadania to jedynie dopilnowanie dokumentacji (tj. „papierków”) wedle tego co dyktują ci moi „wyżej stojący” i kreujący produkowane wyroby. Można powiedzieć, że się ich lękałem w pewnym sensie.

Praca w Biurze Produkcji pozwoliła mi jednak gruntownie poznać cały łańcuch zależności, które trzeba uwzględnić, żeby w końcu było z czego montować poszczególne wyroby. Poznałem schematy montażowe wyrobów, przebieg i pracochłonność operacji, jakie są konieczne dla wykonania poszczególnych części, rodzaje i ilości materiałów, z których są wykonywane. Nie chodzi zresztą tylko o uświadomienie tej całej złożoności, ale i o rozpoznanie kłopotów, które utrudniają albo uniemożliwiają zachowanie ciągłości i planowości procesów produkcyjnych. A więc braki materiałowe, przeciążenie niektórych stanowisk obróbczych, wadliwie wykonane operacje, brak dyscypliny w trybie uruchamiania poszczególnych robót – to wszystko powoduje zakłócenia w przebiegu produkcji części i ogranicza możliwości montażu wyrobów. A plan wymaga ... W ten sposób poznawałem tajemnice procesu produkcyjnego – czyli stopniowo zyskiwałem to, czego konstruktorzy nie mieli okazji bezpośrednio poznać. Zyskiwałem coś, czego oni nie mieli. No i stopniowo uświadamiałem sobie, że to, co robię jest nie mniej ważne a co więcej niezbędne aby konstruktorskie idee i pomysły mogły nabrać materialnego kształtu.

Po pewnym czasie awansowałem. Najpierw na stanowisko kierownika Biura Produkcji, a następnie, pewnie szczęśliwym zbiegiem okoliczności, powierzono mi stanowisko kierownika Wydziału Obróbki Mechanicznej. Zakład był ciągle młody, kadra się dopiero kształtowała, więc już po trzech latach pracy, w wieku 25 lat, przypadło mi kierowanie ponad setką ludzi wykonujących różne funkcje, w większości pracowników fizycznych. Byli to tokarze, frezerzy, ślusarze, ustawiacze automatów i rewolwerówek, znaczna ilość kobiet obsługujących maszyny, sprzątaczkę a o obok nich brygadziści, majstrowie (mistrzowie), rozdzielcy robót, rachmistrze. Każdy z nich miał za sobą lata praktyki, na wylot znał obsługiwane maszyny, wiedział jak posługiwać się pomocnymi narzędziami i przyrządami, a ja znałem to co najwyżej z wykładu – no może i nielicznych ćwiczeń warsztatowych. Gdybym jeszcze przynajmniej miał za sobą technikum, ale ja byłem wykształcony w ogólniaku. No nie powiem – było o czym myśleć, w czym się doksztalać (i to szybko), czego pilnować i z kim się użerać. Niebagatelne znaczenie miała także pora rozpoczęcia codziennej pracy – trzeba było przychodzić razem z resztą załogi

wydziału, tj. na szóstą rano, a wychodzić po jej wyjściu i po odrobieniu codziennych zadań, czyli zwykle po 15⁰⁰ a czasem i później.

To był zresztą dopiero początek. Niedługo zacząłem dostrzegać kolejne aspekty przyjętego awansu i zawichości bycia kierownikiem wydziału. Poza codziennymi kłopotami z pilnowaniem przebiegu produkcji, co samo w sobie jest bardzo męczące wobec całego szeregu pojawiających się trudności w dotrzymaniu przygotowanego wcześniej planu (i nieuniknionego tłumaczenia się z opóźnień i nawalank), doszły wkrótce problemy utrzymania planowanego poziomu kosztów funkcjonowania Wydziału, kłopoty kadrowe (nieobecności, choroby, zwolnienia, nawalanki jakościowe), awarie a na dodatek problemy wynikające z wadliwych i nieterminowo dostarczanych materiałów i półfabrykatów, z nieudanie wykonanych części itd. Niezależnie od konieczności elastycznego reagowania na powstające zakłócenia i nieciągłości istniała potrzeba podejmowania interwencji w wielu innych komórkach fabryki. A więc problemy materiałowe w Dziale Zaopatrzenia, problemy awarii i napraw w Dziale Głównego Mechanika, problemy kosztów w Dziale Księgowości, problemy kadrowe w Dziale Kadr a wreszcie problemy jakościowe w placówkach Działu Kontroli, a w szczególnych przypadkach w Dziale Technologicznym lub nawet w Dziale Konstrukcyjnym, kiedy trzeba było zabiegać o dopuszczenie nieodpowiednio wykonanej, ale neutralnej konstrukcyjnie części. Poprzez takie sytuacyjnie wymuszone kontakty poznawałem problemy i osoby, równolegle poznawano mnie i problemy mego Wydziału w innych jednostkach fabryki.

Dopiero w tych warunkach tak naprawdę uświadomiłem sobie co najmniej dwie, dość szczegółowe, rzeczy, o których jaką taką, ale niedostateczną wiedzę wyniosłem ze studiów.

Pierwsze to kwestia oprzyrządowania także takiego, które nie było wymienione w opisie procesu technologicznego, a stanowiło standardowe wyposażenie pomocnicze poszczególnych stanowisk albo było wytworem racjonalizatorskich pomysłów obsługujących je pracowników. Widziałem i doceniałem jego różnorodność, złożoność i znaczenie dla osiągnięcia wystarczającej jakości i racjonalnej pracochłonności wykonania. Studia pozostawiły tu wielką lukę, a ta luka potężnie zwiększała potrzebę uznania kwalifikacji podwładnych i współpracowników. Tej luki nie można pewnie zapełnić inaczej niż tylko przez zwiększenie praktyk i zajęć warsztatowych w czasie studiów, a wątpię, aby to było możliwe w zakładach politechnicznych w sytuacji, kiedy nowoczesność szybciej dociera do przemysłu niż do uczelni. W miarę poznawania rzeczywistych

warunków produkcji wzrastało przekonanie, że jeden z najistotniejszych czynników kosztowych stanowi problem, aby tak oprządzić proces produkcyjny, żeby koszty wykonania przyrządów nie przekroczyły oszczędności jakie można w zamian uzyskać na pracochłonności i ewentualnym unikaniu wad wykonania.

Druga kwestia to narastająca świadomość, jak długie i skomplikowane mogą być w rzeczywistości łańcuchy wymiarowe w przypadku bardziej złożonych części i jaki to ma zasadniczy wpływ na powtarzalność i rozrzut uzyskiwanych wymiarów możliwy do osiągnięcia w danych warunkach produkcyjnych (stopień automatyzacji, precyzja uchwytów i przyrządów) czasem odbiegających od wymagań konstrukcyjnych. Z problemem konfliktu pomiędzy wymaganiami konstrukcyjnymi a możliwościami warsztatowymi i racjonalizacją nakładów na przygotowanie techniczne też niedostatecznie zetknąłem się w czasie studiów. Temu pewnie można zaradzić na studiach – a może już zaradzono, przecież upłynęło już kilkadziesiąt lat.

Na stanowisku kierownika wydziału ważna też była uzyskiwana stopniowo świadomość, z czego powstają koszty i jaki wpływ ma na nie organizacja produkcji i jak można je minimalizować przynajmniej w obrębie jednego wydziału produkcyjnego (energia, materiały pomocnicze, porządki, braki, naprawy i remonty, nadzór).

Oceniając po latach, nie mam wątpliwości, że praca w Biurze Produkcji i na wydziale produkcyjnym pozwoliła mi następnie skutecznie działać na stanowisku Głównego Technologa (i stosunkowo krótko na stanowisku szefa działu organizacji). Nie mam też wątpliwości, że moja ścieżka „kariery” od planisty przez kierownika wydziału obróbczego i szefa działu technologicznego pozwoliła mi wszechstronnie poznać problematykę przedsiębiorstwa i umożliwiła wykonywanie zadań dotyczących analizy i projektowania jego rozwoju. Wykonywałem je pod koniec samodzielnego funkcjonowania WZFO w 1967 i 1968 r. (częściowo już w Polskich Zakładach Optycznych) jak i po przejściu do pracy w biurze projektów (dwadzieścia pięć lat w BPS Promasz). Końcowym etapem mojej pięćdziesięcioletniej pracy zawodowej było zatrudnienie w Agencji Rozwoju Przemysłu, gdzie na przedsięwzięcia gospodarcze patrzyłem już z innego poziomu. Przyszło mi wówczas zastanawiać się nad przyczynami niewydolności (i upadku) przedsiębiorstw, które przecież na ogół oferowały rzeczy i usługi potrzebne na rynku, a także rozstrzygać o możliwościach egzystencji i kierunkach restrukturyzacji przedsiębiorstw a przy

tym o efektywności finansowania dużych przedsięwzięć inwestycyjnych w warunkach zagrożeń płynących z transformacji systemowej.

Tyle lat życia i różnych doświadczeń sprawiło, że teraz już wiem, że solidnie odbyte, ciekawe i dobrze podane studia, interesująca i stopniowo poszerzająca horyzonty praca zawodowa, powstałe przy tych okazjach przyjaźnie (niektóre dożywotnie) oraz kochająca się rodzina wpływają na szczęśliwe życie i na przekonanie, że praca zawodowa może sprawiać przyjemność a nie być udręką. Komplikacje i konflikty, które są nieuniknione w pracy i w życiu, nie muszą przygnębiać, a mogą stanowić jedynie czynniki mobilizujące do myślenia i działania.

Niestety to przykre, ale coraz częściej – a w naszym odczuciu przedwcześnie, powstałe wówczas miłości, przyjaźnie i znajomości kończą się pogrzebami naszych Mistrzów-Profesorów, Kolegów, a także naszych małżonków i czasami naszych dzieci.

Warszawa, marzec 2019 r.

A

Adamska Małgorzata 77
Arczewski Krzysztof 46

B

Babiarz Edward 73
Babiuch Edward 92, 93
Balcerowicz Leszek 30
Banasiak Jacek 58
Bańkowski Krzysztof 147
Baranowski Ryszard 21
Berler (prof.) 153
Bertone Tarcisio 125
Białas Zofia 73
Biedrzycki Jerzy 49, 58, 156
Bievre Dominique 110
Biskup Witold 94, 95, 98, 148
Błaszczak Adam 21
Błaszczak Maria 21
Bodnicki Maciej 49
Bojanek Ignacy 137, 148
Borkowski Stanisław 139, 140, 142
Borowicz Jacek 61, 72
Borowiec Andrzej 75
Brynek Jerzy 152
Bukowski (prof.) 46

C

Chmielewski Marian 96
Chrostowski Arkadiusz 49
Ciesielski Adam 73
Cieśllicki Krzysztof 50

Ciołkowski Konstanty 95
Czerwiec Wiesław 49
Czuma Benedykt 148

D

Daktera Jan 156, 157
Dębski Mirosław 92
Dobija Otto 54
Dojer Paweł 147
Dolińska Anna 40
Domagalski Karol 139
Domalewski Bronisław 75
Drozd Zdzisław 152
Ducal Tadeusz 46, 47
Dwojak Stanisław 96, 97
Dziewulski Tadeusz 110, 141
Dziubalski Łukasz 49

E

Ekner Jerzy 156

F

Filar Bogdan 156
Foik Marian 19
Fontanari 85 88

G

Gajewski Ludwik 147
Gąsiorek Anna 38 40
Gevers George 35
Ginter Anna 30, 40

Ginter Mirosław 5, 7
Ginter Tomasz 31, 42
Giraud Jacques 110
Głębicki Kazimierz 151
Gmurczyk Wiesław 74
Gołaszewski Krzysztof 21
Goławski Andrzej 93, 147
Gołębiowski Stefan 131
Gomułka Władysław 155
Gontarz Waldemar 148
Gosztowtt L. 45
Grajdek Ryszard 88
Gryc Zbigniew 147
Grygorczuk Jerzy 50
Grzyb (Lenkiewicz) Sławomir 75

H

Hańko Artur 55
Harajda Andrzej 96
Hardej Kazimierz 147
Hauke Elżbieta 73, 148
Hipsz Edward 147

I

Igielski Janusz 49
Irena (Retajczyk) 124
Izydorczyk Roman 21

J

Jacewicz Jan 21
Janiszowski Krzysztof 50
Janczewska Jadwiga 61
Jankowski Gumpert 92
Jan Paweł II 123
Jaroszewicz Piotr 92, 93
Jarząbek Dariusz 55
Jasińska Małgorzata 123, 124
Jasny Jan 156

Jaszczuk Witold 48, 49
Jęczyk Piotr 55
Jirowiec Janusz 157

K

Kalinowski Andrzej 90
Kamiński Krzysztof 21
Kamiński Zbigniew 139
Karpiniński J. 80
Karpowicz-Plewka Jadwiga 61, 73
Karwowska Hanna 73
Kielak Andrzej 58
Kiepusza Jan 128
Kieszkowska Elżbieta 75
Kipling Rudyard 38
Klim Karolina 40
Kober Zbigniew 145, 147
Koch Stanisław 21
Kohlman Wojciech 58
Koj Jędrzej 16
Kopacz Ewa 45
Kopeć Edward 61
Kosierkiewicz Monika 73
Kościelny Andrzej 10
Kościelny Jan Maciej 10, 50
Kotowski Włodzimierz 66
Kowalczyk Mirosław 108
Kowalkowski Roman 13
Kościński Andrzej 61 78
Kozłowski Jan 156
Królak Adam 19
Kryk Jan 140
Kryński Tadeusz 140, 147
Krysiek Maria 73
Krzysztof (szwagier) 130
Krzywiński Kazimierz 80, 90, 92, 138
Kubicki Zbigniew 73
Kubiczek Irena 73
Kubryński Krzysztof 46, 59

Kulisz Henryk 21
Kurek Jerzy 50
Kurpiewski Jerzy 92 93
Kuryło Janusz 73
Kuskowski Krzysztof 35
Kusznierewicz Jan 48
Kusznierewicz Mateusz 47, 58, 59
Kusznierewicz Zbigniew 45
Kutibaszwili Artur 90
Kwiatkowska Ewa 73

L

Lentz Henryk 96
Leśkiewicz Henryk J. 15, 43, 66
Leśniewski Przemysław 42
Lipiec Barbara 21
Lipka J. 47

Ł

Łapiński Zdzisław 97
Ławniczak Włodzimierz 96, 98, 148
Łukasiewicz Radosław 139
Łukasik Artur 52
Łuszczynski Jerzy 96, 134, 138, 146,
148

M

Majcher Janusz 152
Makos Tomasz 49
Makowski Piotr 94, 95
Małecki Janusz 148
Marciniak Krzysztof 50, 58
Marciniak Zdzisław 152
Marczyński Józef 25
Matejuk Piotr 156
Matysiak Jan 151
Matysik Bogdan 139
Mazowiecka Krystyna 63

McEnroe John 43
Meisner Henryk 92
Messori Vittorio 123
Michałowski Marcin 55
Michałowski Władysław 73
Mierzejewski Jerzy 80
Mikołajczyk Adam 156
Milczarek Michał 55
Misiak Henryk 145, 147
Mizerska Anita 38, 40
Mizerski Marceli 38
Modzelewski Tomasz 156
Moliński Tadeusz 148
Morawski Ryszard 21
Mrozek Irena 74
Mróz Janusz 139
Mrugalski Zdzisław 79, 94, 114
Mrzygłocka z d. Bortacka Elżbieta
147
Mrzygłocki Antoni 139
Mucha Janusz 147

N

Niemiec Bogusław 32
Nowakowski Leon 145, 148

O

Obalski Jan 151
Oleksiuk Waldemar 152
Olszewska Maria 73
Osipow Sylwin 148
Ośrodek Wiesław 134, 138, 148

P

Paderewski Ignacy Jan 128
Pan Andrzej 123
Panek Jerzy 73
Panek Małgorzata 73

Patorski Krzysztof 13
 Paulo (ksiądz) 102
 Pawłowski Janusz 19
 Pawłowski Jerzy 52, 58, 80
 Piątkowski Edmund 19
 Pietrucha Józef 46
 Piotr (s. Ireny) 124
 Piskorz Janusz 79, 93, 114, 137, 138,
 141, 147, 148
 Pliszka Leszek 21
 Podolak Janusz 75
 Pohl Mieczysław 10, 12
 Pokorski Michał 92, 93, 148
 Pokrasen Andrzej 152
 Polok Władysław 21
 Potyński Andrzej 52, 58
 Prejzner Radosław 156
 Prosiński Stanisław 148
 Prosnak Włodzimierz 152

R

Ratajczyk Eugeniusz 152
 Ravenna Antonino 109
 Reczyński Kazimierz 81
 Rejczak Jan 75
 Relidziński Grzegorz 55
 Rembowski Krzysztof 147
 Reszka Ryszard 147
 Retajczyk Anna 126
 Retajczyk Ewa 106, 107, 115, 116, 120,
 124, 125, 126, 127, 130
 Retajczyk Alojzy (Alek) 5, 113, 132
 Retajczyk Eugeniusz 123, 124
 Retajczyk Jacek 124, 125, 126, 127,
 130
 Retajczyk Katarzyna 124, 126
 Riggi Augusto 109
 Robert (kol. Retajczyka) 131

Rokicki Józef 92, 93, 108, 133, 138,
 139, 141, 143, 146, 147, 148
 Romanowski Edward 9
 Roszczyk (Krawczyk) Barbara 75
 Różycka Jadwiga 73
 Rudnicki Zbigniew 73
 Rudzisz Janusz 21
 Rybak Marek 21
 Rymuza Zygmunt 48, 49, 50, 55, 58
 Ryszawa Ewelina 52

S

Samsel Mateusz 55
 Sawicki Tadeusz 152
 Scuvie Jean 35
 Semper Elżbieta 73
 Sidorowicz Antoni 151
 Siekierski Bogdan 156
 Siemienichina 90, 95
 Siostra Angela 125
 Sitnik Robert 59
 Skrzat Andrzej 58
 Skrzynecka Katarzyna 21
 Skrzynecki Włodzimierz 21, 25
 Skrzypkowski S. 139
 Smereczyńska Aleksandra 76
 Smirnow Andrzej 58
 Socha Andrzej 147
 Sołtan Wojciech 61, 73
 Srokosz Ryszard 92
 Stachura Marek 110
 Stobnicki Marek 61
 Stolarek Antoni 151
 Stolarek Władysław 152
 Straus Jan 108, 138, 141
 Sulikowski Stefan 152
 Supronowicz Henryk 58
 Surdy Stefan 156

Szaban Józef 58
Szadurski Kazimierz 156
Szafrąński Andrzej 147
Szafrąński Franciszek 5, 61, 81, 90,
112, 147
Szawłowski Franciszek 82, 83, 84
Szczerek Marian 50
Szmidt Józef 19
Szotek Janusz 97
Szuster Jan Tomasz 46

Ś

Śliwa Lech 147
Śliwa z d. Hejda Maria 147
Śliwiński Janusz 66
Świderski Grzegorz 138, 146, 147, 148
Świniarski Dariusz 94, 95, 98

T

Tarnowski Zdzisław 94, 95, 96
Tereszczuk Piotr 58
Trebert Henryk 8, 11, 18, 149, 151
Treliński Piotr 92
Tryliński Władysław 47, 48, 49, 54,
80, 134, 151, 157
Tworek Jan 147, 148

W

Wachowski Zygmunt 88
Walczak Elżbieta 73
Wanowski Marek 133
Warcholiński Bogdan 55
Welig Zdzisław 108
Wesołowski Andrzej 66
Wiechetek (Smereczyńska) Barbara
73

Wielki Kazimierz 33
Wierciak Jakub 49
Wierzbińska Małgorzata 73
Wierzchoń Tadeusz 50
Więckowski 134
Więclawski Roman 139, 142
Wiktorow Włodzimierz 10
Wilczek Wiesław 21
Witajewski Jan 26
Wojcicki Ryszard 147
Wojciechowska Lucyna 21
Wojda Jan 134, 138, 148
Wojtenko Grzegorz 147
Wojtenko Małgorzata 147
Wojtowicz Maria 8, 43
Wojtyła Karol 34
Woliński Krzysztof 147
Wolniewicz Eugeniusz 152
Wolski Włodzimierz 49

Z

Zajac Piotr 156
Zakrzewska-Rolińska Eulalia 9
Zawodniak 88
Zebrowska Sabina 73
Zieliński Andrzej 156
Zięba Stefan 50
Ziółkowska Katarzyna 40
Zrzelski Andrzej 61
Zuchowicz Kwiryn 152

Ż

Żelazko Zygmunt 21
Żelazny Marek 65, 66, 152
Żuchowski Czesław 66
Żuraw Ryszard 156
Żurawski Józef 21
Życki Dominik 59

Spis treści

Ginter Mirosław	
Wspomnienia MP.....	7
Kusznierewicz Zbigniew	
Swoją przygodę z Wydziałem Mechaniki Precyzyjnej... ..	45
Koziński Andrzej	
Życiorys podróżami pisany	61
Piskorz Janusz	
Język francuski i ja.....	79
Retajczyk Alojzy Kazimierz	
Uratowany	115
Rokicki Józef	
Od Warszawy do Poloneza	133
Stolarek Antoni	
Było, minęło... ..	151
Indeks nazwisk.....	163
Reklama	171



Sprawdzony partner w innowacyjnych projektach

KOMPLETNE
SYSTEMY AUTOMATYKI



REALIZACJE

AUTOMATYKA
PRZEMYSŁOWA



SIEMENS

SYSTEMY ALARMOWE
DO SEPARATORÓW



LABKOTEC

ELEKTROTECHNIKA
KOLEJOWA



SCHALTBAU

ELEKTROTECHNIKA
PRZEMYSŁOWA



SCHALTBAU



IMPOL-1

ELEMENTY
AUTOMATYKI



2022

IMPOL-1 F.Szafranski Sp. J.
02-255 Warszawa, ul. Krakowiaków 103
tel. (22) 886 56 02, fax. (22) 886 56 04

www.impol-1.pl



Mini
**Drukarki
Termiczne**
i nie tylko

już 31 lat

DRUKARKI TERMICZNE

- głowicowe
- liniowe stacjonarne i przenośne
- dla lekarzy
- firm kurierskich
- dla leśników...
- modułowe do zabudowy

MEFA Sp. z o.o.
05-870 Błonie,
ul. Grodziska 15

(+48 22) 731 79 50
handel@mefa.com.pl

www.mefa.com.pl



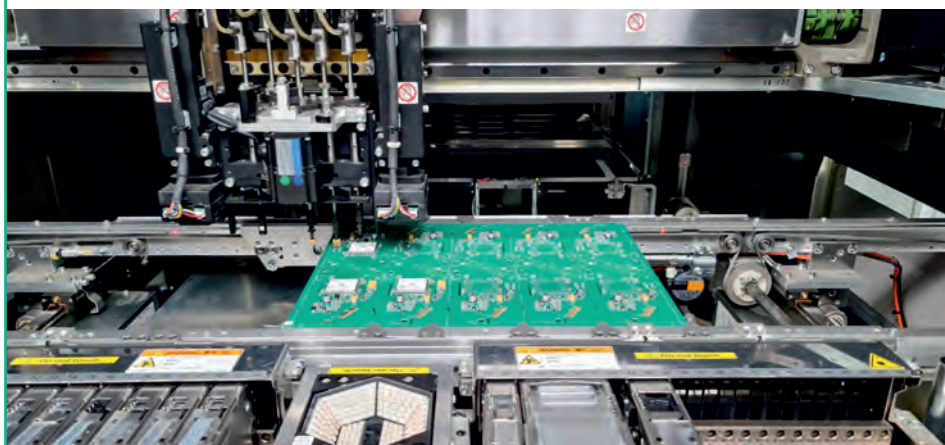


office@technosystem.com.pl

+48 22 110 13 02

ul. Słoneczna 125

05-506 Lesznowola Kolonia



Firma Technosystem w unikalny sposób łączy działalność w zakresie kontraktowej produkcji elektroniki oraz własnej aparatury kontrolno-pomiarowej m.in. dla laboratoriów kwantowych. Mamy ponad 12-letnie doświadczenie w montażu elektroniki. Nasz nowoczesny park maszynowy składa się z trzech linii montażowych SMT, zdolnych do montażu ponad 200 tys. komponentów SMT na godzinę. Prowadzimy owocną współpracę z wieloma branżami, takimi jak telemedycyna, telekomunikacja i przemysł lotniczy. Zapewniamy specjalistyczne doradztwo projektowo-techniczne oraz profesjonalną i niezawodną obsługę.

60 lat Mechatroniki

Zapraszamy do rejestracji na uroczyste obchody 60-lecia utworzenia Wydziału Mechatroniki (dawniej Wydziału Mechaniki Precyzyjnej), które odbędą się 3.06.2022 r.

Skrzynka kontaktowa obchodów: jubileusz.mchtr@pw.edu.pl

Na uczestników obchodów czeka bogaty program oraz pakiet okolicznościowych gadżetów, torba wydziałowa oraz publikacje.

Ramowy program dnia:

08.30–09.00 Msza św. w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli (ul. Rakowiecka 61)

09.15–10.00 Wizyty w laboratoriach i spotkania w zakładach

10.00–11.00 Sympozjum Naukowe „Od Mechaniki Precyzyjnej do Mechatroniki” – tradycja i przyszłość. Prezentacje perspektyw rozwoju mechatroniki (Audytorium 11)

- Instytut Mikromechaniki i Fotoniki
- Instytut Automatyki i Robotyki
- Instytut Metrologii i Inżynierii Biomedycznej

11.00–11.45 Prezentacja osiągnięć Studenckich Kół Naukowych (Audytorium 11)

11.45–12.45 Wizyty w laboratoriach i spotkania w zakładach (cd.)

13.00–14.30 Oficjalna część obchodów jubileuszu 60-lecia utworzenia Wydziału Mechatroniki (Audytorium 11)

- Hymn
- Okolicznościowe wystąpienie Dziekana Wydziału
- Wystąpienie Rektora PW
- Prezentacja historii Wydziału
- Uczczenie osób zasłużonych dla Wydziału Mechaniki Precyzyjnej i Wydziału Mechatroniki
- Wystąpienie Prezesa Koła Absolwentów
- Wystąpienia zaproszonych Gości
- Koncert muzyki klasycznej

15.00–18.00 Piknik (parking wydziałowy)

19.00 Spotkanie Jubileuszowe zorganizowane przez Koło Absolwentów

Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki w Klubie Studenckim „Stodoła”

(rejestracja na stronie <https://www.stodola.pl/koncerty/60-lecie-wydzialu-mechatroniki-spotkanie-jubileuszowe-136091.html>).

W godzinach 09.15–13.00 czynna będzie recepcja (parter)

Udział w uroczystych obchodach jest nieodpłatny. Dodatkowa, płatna wejściówka obowiązuje na Spotkanie Jubileuszowe zorganizowane przez Koło Absolwentów Wydziału Mechaniki Precyzyjnej/Mechatroniki w Klubie Studenckim „Stodoła”.

Klauzula informacyjna związana z potwierdzeniem udziału w uroczystości

Klauzula informacyjna związana z promocją wydarzenia

SPOTKANIE JUBILEUSZOWE



KOPA LAT WYDZIAŁU MECHATRONIKI dawniej MECHANIKI PRECYZYJNEJ POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

3 czerwca 2022 r.

ISBN 978-83-7789-681-5